

Opowiadania

Pohl Frederik



calibre 0.9.43

23 słowa

**Siedzę na brzegu czegoś, co uchodzi za łóżko. Jest zrobione z luźno
przeplecionych taśm stalowych i nie ma materaca, tylko dodatkowy koc
szarzielonego koloru. Nie jest to wygodne, ale oczywiście ci tutaj
spodziewają się, że będzie mi jeszcze mniej wygodnie. Mają bowiem nadzieję,
że zostanę zabrany z aresztu w komisariacie do więzienia okręgowego, a
następnie do kostnicy. Och, oczywiście najpierw będzie proces, ale to tylko
formalność. Nie tylko zostałem schwytyany z dymiącym pistoletem w dłoni nad
charczącym przedśmiertnie przez dziury w gardle Connaughtem, ale również
przyznałem się do tego. Ja bowiem - z pełną świadomością czynu i działając z
premedytacją oraz szczególnym nasileniem złej woli, jak to nazywają -
zastrzeliłem Laurence'a Connaughta.**

**Morderców się uśmierca. Mają mnie więc uśmiercić. Szczególnie zaś
dlatego, że Laurence Connaught ocalił mi życie.**

**No cóż, są okoliczności łagodzące. Nie spodziewam się, by przekonały one
przysięgłych.**

**Connaught i ja byliśmy przez całe lata bliskimi przyjaciółmi. W czasie wojny
straciliśmy kontakt, w kilka lat po wojnie spotkaliśmy się znowu w
Waszyngtonie. Dorastaliśmy więc osobno. On stał się człowiekiem pełniącym
misję. Pracował nad czymś bardzo ciężko; nie chciał rozmawiać o swej pracy,
a w jego życiu nie istniało nic innego, co pomogłoby nam się porozumieć. A ja
- cóż, ja też miałem własne życie. Nie związane z badaniami naukowymi.**

Zawaliłem studia medyczne, on zaś je kontynuował. Nie wstydy się tego, bo nie ma w tym nic, czego mógłbym się wstydzić. Po prostu nie byłem w stanie znieść krojenia trupów. Nie lubiłem tego, nie chciałem, a gdy mnie zmuszano, robiłem to źle. Dałem więc spokój studiom.

Nie miałem więc tytułów naukowych, ale nie są one potrzebne na posadzie strażnika w Senacie.

Nie wydaje się to wam olśniewającą karierą? Oczywiście nie, ale lubiłem tę robotę. Gdy strażnicy są blisko, senatorowie są przyjaźni i odprężeni, można też dowiedzieć się niezwykłych rzeczy o tym, co dzieje się za kulisami władzy.

A poza tym strażnik w Senacie może okazywać względy: dziennikarzom, którzy wdzięczni są za wskazanie interesującej nowinki; urzędnikom administracji, którzy czasem umieją zawiązać całą intrygę opierając się na jednej niedbale rzuconej i powtórzonych im uwadze; czy komukolwiek, kto podczas gorącej debaty chciałby znaleźć się na galerii dla gości.

Larry Connaught też należał do tej kategorii. Spotkałem go któregoś dnia przypadkowo na ulicy, rozmawialiśmy przez chwilę, on zaś zapytał; czy mógłbym go wprowadzić na zbliżającą się debaty o polityce zagranicznej.

Owszem, mogłem. Zadzwoń do niego nazajutrz z wiadomością, że mam dla niego przepustkę. No i przyszedł. Właśnie wpatrywał się żarliwie swoimi małymi, mokrymi oczkami we wstającego, by zabrać głos, Sekretarza, gdy niespodzianie rozległ się wrzask i garść środkowoamerykańskich fanatyków wyciągnęła broń, starając się zmienić amerykańską polityki zagraniczną za pomocą prochu strzelniczego.

Sądzę, że pamiętacie tę historię. Było ich tylko trzech. Dwóch z pistoletami,

jeden miał granat ręczny. Rewolwerowcom udało się zranić dwóch senatorów i strażnika. Byłem tam właśnie i rozmawiałem z Connaughtem; zauważyłem człowieczka z granatem ręcznym i rzuciłem się na niego. Zwalilem go z nóg, ale granat poleciał. Z wyciągniętą zawleczką. To były sekundy. Skoczyłem po granat, ale Larry Connaught mnie wyprzedził.

Artykuły w dziennikach zrobiły bohaterów z nas obu. Było prawdziwym cudem - napisały - iż Larry, który przykrył granat własnym ciałem, zdołał wyszarpnąć go spod siebie i odrzucić w miejsce, w którym wybuchł nie czyniąc nikomu szkody.

Bo wybuchł, lecz odłamki nie zraniły nikogo. Dzienniki podały, że Larry wskutek wybuchu stracił przytomność. Rzeczywiście stracił. Trwało to sześć godzin, a, gdy odzyskał zmysły, był odurzony jeszcze przez cały dzień.

Dlatego odwiedziłem go następnego wieczoru

Ucieszył się na mój widok.

- Niewiele brakowało, Dick - powiedział. - Przypomniało mi to bitwę na Tarawie.

- Nie byłem tam - odpowiedziałem. - Chyba ocaliłeś mi życie, Larry.

- Ech, tam, Dick. No wiesz, po prostu skoczyłem. Szczęśliwie, mam wrażenie.

- Gazety mówią, że byłeś wspaniały - odpowiedziałem. - Mówią też, że zrobiłeś to tak szybko, że nikt nie dostrzegł, co właściwie zaszło.

Zrobił lekceważący gest, ale jego mokre oczka miały wyraz czujności.

- Sądzę, że w gruncie rzeczy nikt tego tak dokładnie nie obserwował.

Westchnąłem.

- J a obserwowałem.

Przez chwilę przyglądał mi się bez słowa. Powiedziałem:

- Znajdowałem się między tobą i granatem. Nie przeskoczyłeś koło mnie, nade mną, ani przeze mnie. Ale znalazłeś się nad granatem. - Larry zaczął kręcić głową przecząco. - P o n a d t o Larry, upadłeś na granat. Wybuchł pod tobą. Wiem o tym, bo w tym momencie prawie leżałem na tobie, eksplozja zaś wyrzuciła cię w powietrze. Czy miałeś na sobie kamizelkę przeciwkulkową?

Odchrząknął.

- No cóż, w gruncie...

- Daj spokój, Larry - przerwałem.

Zdjął okulary i zaczął przecierać swe wodniste oczy.

- Czy nie czytałeś gazet? Granat wybuchł o jard dalej mruknął.

- Larry - odpowiedziałem łagodnie - ja tam byłem.

Larry Connaught wyglądał, jakby mu się zrobiło niedobrze. Opadł na oparcie fotela, gapiąc się na mnie. Był małym człowieczkiem, ale nigdy nie wyglądał na tak małego, jak w tym wielkim fotelu. Patrzył na mnie, jakbym był Nemezis we własnej osobie.

I w końcu się zaśmiał. Zaskoczył mnie; zdawał się niemal uszczęśliwiony.

- Cóż u diabła, Dick - powiedział. - Wcześniej czy później muszę komuś o tym powiedzieć. Czemu nie tobie?

Nie mogę wam przekazać wszystkiego, co powiedział. Opowiem większą część. Ale nie to, co najważniejsze.

T e g o nie powiem nigdy i n i k o m u .

- Powiniennem być się spodziewać, że zapamiętasz powiedział i uśmiechnął

się do mnie z żalną serdecznością. - Te nasze dyskusje w kafeteriach, co?

Całe noce przegadane na wszystkie tematy. Ale ty nie zapomniałeś.

- Powiedziałeś wtedy, że umysł ludzki posiada zdolność psychokinezy -

odrzekłem: - Powiedziałeś, że wystarcza siła umysłu, by człowiek mógł przenieść swe ciało w dowolne miejsce i w jednej chwili, bez pomocy maszyn i nie kiwnąwszy nawet palcem. Powiedziałeś, że dla umysłu ludzkiego nie ma nic niemożliwego.

Powtarzając to czułem się jak kompletny idiota, bo te pomysły były śmiechu warte. Wyobraźcie sobie człowieka, który może p o m y ś l e ć siebie z jednego miejsca w drugie! Ale... byłem przecież na tej galerii. Oblizalem wargi i spojrzałem na Larry'ego Connaughta, czekając na potwierdzenie.

- Ależ byłem wtedy schlany - powiedział Larry. Zaśmiał się. - Wyobraź sobie!

Sądzę, że okazałem zdziwienie, bo Larry poklepał mnie po ramieniu i odzyskując powagę powiedział:

- Oczywiście, Dick. Nie masz racji, ale równocześnie ją masz. Sam umysł nie może dokonać niczego podobnego - to był po prostu głupi, szczeniacki pomysł.

A 1 e - ciągnął dalej, a jego oczy zaczęły błyszczeć podnieceniem, słowa zaś stały się szybsze i głośniejsze - a 1 e istnieją - no cóż - techniki wiążące umysł z siłami fizycznymi, zwykłymi siłami fizycznymi, których używamy na co dzień i które mogą zrobić wszystko. Wszystko! Wszystko, co wymarzyłem i jeszcze to, czego dotychczas nie odkryłem. Przelecieć przez ocean? W sekundę, Dick!

Izolować wybuchającą bombę? Oczywiście, łatwo! Widziałeś, jak to zrobiłem.

Och, to oczywiście wymaga pracy. Wymaga dopływu energii - nie da się uciec od praw natury. Znokautowało mnie to na cały dzień. Ale zadanie było trudne;

o wiele łatwiej na przykład spowodować, by pocisk rozminął się z celem. A jeszcze łatwiej wydobyć nabój z komory ładunkowej i przenieść do kieszeni, by w ogóle nie mógł zostać wystrzelony. Masz ochotę na angielskie klejnoty koronne? Możesz je mieć, Dick!

- Czy możesz przewidywać przyszłość? - zapytałem. - Nie. - Zmarszczył brwi.

- Dick, to było głupie pytanie. To nie są przesady...

- A jak z czytaniem cudzych myśli? Twarz mu się rozjaśniła.

- O, pamiętasz coś z tego, co mówiłem przed laty. Nie, Dick, tego też nie mogę zrobić. Może kiedyś, jeśli będę nad tym pracował... Cóż, obecnie nie umiem. Ale jednak potrafię robić nie gorsze rzeczy. Mogą podsłuchiwać wszystko co się dzieje, mogę widzieć wszystko co chce ujrzeć, gdziekolwiek na Ziemi. Albo poza nią, Dick! To jest trudne, ale robiłem to. Mars! Widziałem go, wygląda jak kamienne usypisko.

Odchrząknąłem.

- Pokaż mi coś z tego, co potrafisz - poprosiłem.

Uśmiechnął się. Larry był zadowolony z siebie i nie miałem mu tego za złe.

Przez całe lata, od dnia gdy wpadł na pierwszy trop, krył się z tą sprawą. Przez dziesięć lat prób i eksperymentów był niemal zawsze na błędnej drodze, ale ciągle coraz bliżej... M u s i a ł o tym opowiedzieć. Myślę, że był naprawdę zadowolony z tego, że ktoś się na koniec domyślił.

- Pokazać ci coś? - powiedział. - Czemu nie, zastanówmy się, Dick. -

Rozejrzał się po pokoju i mrugnął do mnie. - Widzisz to okno?

Spojrzałem. Okno otworzyło się z trzaskiem drewnianych ram. I zamknęło.

- Radio - powiedział Lamy. Pstryknięcie i jego mały odbiornik sam się

włączył. - Uwaga. - Radio znikło i znów się pojawiło. - Było na szczycie Mount Everestu powiedział Larry lekko dysząc. Wtyczka na przewodzie radioodbiornika uniosła się i wyciągnęła w stronę gniazdka, ale po chwili opadła na podłogę. - Nie - powiedział Larry drżącym głosem - pokaże ci coś naprawdę trudnego. Patrz na radio, Dick. Uruchomię je bez podłączania do sieci! Same elektrony...

Wpatrywał się intensywnie w odbiorniczek. Ujrzałem, jak skala się zapala, przygasa i rozpala stałym blaskiem; głośnik zaczął chrypieć. Stałem dokładnie za Larrym, dokładnie nad nim.

Posłużyłem się telefonem, który stał na stole obok. Ryzykowałem potężnie i wiedziałem o tym. Udało się. Trafiłem go dokładnie za uchem. Zwinął się, nie wydawszy głosu. Uderzyłem go jeszcze dwa razy, metodycznie, aż byłem pewien, że się nie ocknie przynajmniej przez godzinę. Odwróciłem go, a telefon postawiłem na miejscu. Zrewidowałem całe jego mieszkanie.

Znalazłem w biurku wszystkie jego notatki. Wszystkie informacje. Tajemnicę robienia tego, co robił. Wziąłem za telefon i zadzwoniłem do policji waszyngtońskiej. Gdy usłyszałem syrenę za oknem, wyjąłem służbowy pistolet i przestrzeliłem Larry'emu gardło. Zanim zdążyli go dotknąć, był już trupem.

Bo, widzicie, ja znałem Laurence'a Connaughta. Byliśmy przyjaciółmi i zaufałem mu własne życie. Ale tu szło o coś więcej, niż tylko życie.

Dwadzieścia trzy słowa nauczyły mnie robić to, co robił Laurence Connaught. Każdy, kto umie czytać, może to zrobić. Zbrodniarze, zdrajcy, szaleńcy-formuła będzie służyła każdemu.

Laurence Connaught był uczciwym człowiekiem, myślę nawet, że był

idealistą. Ale co będzie z człowiekiem, który stanie się Bogiem? Wyobraź sobie, że powiedziano ci dwadzieścia trzy słowa, które pozwolą ci sięgnąć do każdego skarbcza bankowego, zajrzeć do każdego zamkniętego pokoju, przejść przez każdą ścianę? Wyobraź sobie, że strzał pistoletowy nie może cię zabić? Wyobraź sobie, że możesz stanąć pod spadającą bombą atomową i w mgnieniu oka przenieść się o tysiąc mil dalej?

Mówi się, że władza demoralizuje, a władza absolutna demoralizuje absolutnie. A nie istnieje bardziej absolutna władza niż ta, którą dają dwadzieścia trzy słowa, mogące wyswobodzić z każdego więzienia i dać wszystko, czego się zapragnie. Larry był moim przyjacielem. Ale zabiłem go z zimną krwią, wiedząc, co robię. Dlatego, że on nie mógł być strażnikiem sekretu, który zrobiłby z niego króla świata...

Ale ja mogę.

Przełożył Jerzy Wilczyński

Czekając na olimpijczyków

"Dzień dwóch odrzutek"

Gdybym pisał to jako powieść, zatytułowałbym rozdział o ostatnim dniu w Londynie na przykład "Dzień dwóch odrzutek". A dzień to był paskudny, koniec grudnia, tuż-tuż przed świętami. Było zimno, mokro i w ogóle parszywie (mówilem, że to Londyn, nie?), ale wszystkich ogarnęło jakieś podniecenie wynikłe z oczekiwania: właśnie ogłoszono, że Olimpijczycy przybędą nie później niż w sierpniu przyszłego roku i każdy już się napalał. Nie mogłem znaleźć wolnej taksówki i spóźniłem się na lunch z Lidią. Jak było w Manahattanie? - zapytałem siadając w boksie obok niej, tuż po szybkim

pocałunku na powitanie.

- Niczego sobie - odpowiedziała nalewając mi drinka. Lidia też była pisarką...

w każdym razie oni nazywają siebie pisarzami, ci, którzy łażą za sławnymi ludźmi i zapisują o nich wszystkie plotki i żarty, a potem wydają to wszystko w książkach ku rozweseleniu prostaczków. Przecież to nie jest prawdziwe p i s a

n i e, nie ma w tym nic twórczego, ale zysk daje niezły, a i zbieranie danych (tak mi mówi Lidia) to sama przyjemność. Lidia poświęcała dużo czasu na

kursowanie za osobistościami, co wcale się dobrze nie przysłużyło naszemu romansowi. Oczekala, aż skończę pierwszego drinka, po czym zapytała:

- Skończyłeś już swoją książkę?

- Nie nazywaj tego "moją książką" - odparłem. - Ona ma tytuł: Ośła Olimpiada. Po południu idę do Marcusa w tej sprawie.

- Nie nazwałabym tego wstrząsającym tytułem - zauważyła. Lidia zawsze chętnie przekazuje mi swoją opinię o czymś, co jej się nie podoba. - Nie sądzisz, że już za późno na pisanie jeszcze jednego romansu naukowego o Olimpijczykach? - Potem uśmiechnęła się słodko i dodała: - Mam ci coś do powiedzenia, Jul. Ale najpierw się napij.

I już wiedziałem, co mnie czeka, a była to pierwsza odrzutka.

Na własne oczy obserwowałem cały proces. Jeszcze przed ostatnią wyprawą "badawczą" Lidii za ocean zacząłem podejrzewać, że jej początkowo

plómienne uczucie cokolwiek ochłodło, nie byłem więc zaskoczony, kiedy teraz, bez żadnych dalszych wstępów oświadczyła mi: - Mam kogoś, Jul.

- Rozumiem - powiedziałem. Naprawdę to rozumiałem; naląłem sobie trzeciego drinka, podczas gdy ona opowiedziała mi o wszystkim.

- To dawny pilot kosmiczny, Juliuszu. Był na Marsie, na Księżycu, wszędzie, i w ogóle jest uroczy. Nie uwierzysz, ale jest też mistrzem w zapasach.

Oczywiście ma żonę, jak się to często zdarza, ale porozmawia z nią o rozwodzie, gdy tylko dzieci trochę podrosną.

Spojrzała na mnie wyzywająco, wyraźnie chcąc, żebym wyzwał ją od idiotek.

Ja w ogóle nie miałem zamiaru się odzywać, ale na wypadek, gdybym miał, dodała: - Nic mi nie mów, co myślisz.

- Nic nie myślałem - zaprotestowałem.

Westchnęła. - Dobrze to zniosłeś - rzekła, a brzmiało to tak, jakbym sprawił jej zawód. - Posłuchaj, Juliuszu, wcale tego nie ukartowałam. Możesz być pewien, że zachowam dla ciebie wiele sympatii. Chciałabym, żebyśmy pozostali przyjaciółmi... Mniej więcej wtedy przestałem jej słuchać.

Mówiła coś jeszcze w tym samym duchu, ale jeśli mnie coś w tym zaskoczyło, to tylko szczegóły. W sumie świadomość końca naszego romansu przyjąłem nader spokojnie. Zawsze wiedziałem, że Lidia ma słabość do mocnych ludzi.

Co gorsza, nigdy nie darzyła szacunkiem tego, co ja piszę. Tak jak wielu innych gardziła romansami naukowymi opisującymi przyszłość i przygody na innych planetach, czego więc mogłem się na dalszą metę spodziewać?

Pożegnałem więc ją pocałunkiem i uśmiechem (i jeden, i drugi był niezbyt szczery) i ruszyłem w stronę biur mojego wydawcy. Tu spotkała mnie druga odrzutka. Ta zabolala mnie naprawdę.

Redakcja Marka znajdowała się w starym Londynie, nad rzeką. To stara firma, w starym budynku, a i ludzie w niej zatrudnieni też mają swoje lata.

Kiedy firmie potrzebni są urzędnicy czy redaktorzy, zazwyczaj zatrudnia

byłych nauczycieli, których uczniowie czy studenci już wyrosli i już ich nie potrzebują. Firma ich przyucza do nowego zawodu. Oczywiście dotyczy to tylko niższych stanowisk; wyżsi, tak jak sam Mark, to swobodni pracownicy szczebla kierowniczego, na stałej pensji, z prawem do nie kończących się, zakrapianych winem obiadków z autorami, które zazwyczaj kończą się dobrze po południu.

Musiałem czekać na niego całą godzinę; wyraźnie był to dzień właśnie takiego obiadku. Nie złościłem się. Byłem święcie przekonany, że nasze spotkanie okaże się krótkie, mile i finansowo korzystne. Dobrze wiedziałem, że Ośła Olimpiada to jeden z moich najlepszych romansów naukowych. Nawet tytuł obmyśliłem sprytnie. Książka była z klasycznym podtekstem, aluzją do Złotego osła Lucjusza Apulejusza sprzed gdzieś dwóch tysięcy lat; klasyczne wątki splełem w komiczną, przygodową opowieść o przyjściu prawdziwych Olimpijczyków. Z góry umiem stwierdzić, czy rzecz się spodoba, a w tym wypadku. wiedziałem, że czytelnicy wprost się na nią rzucą.

Kiedy w końcu dotarłem do Marcusa, ten miał oczy szkliste, jak zwykle po obiadku. Na biurku zobaczyłem mój maszynopis.

Zobaczyłem też przypięty do niego kwit z czerwoną obwódką i był to pierwszy zwiastun złych wieści. Kwil był orzeczeniem cenzora, a czerwona obwódka oznaczała obstat.

Mark nie trzymał mnie długo w napięciu. - Nie możemy wydać - odezwał się kładąc dłoń na maszynopisie. - Cenzorzy odrzucili.

- Nie mieli prawa! - zawrzasnąłem, przez co siedząca za biurkiem w kącie stara sekretarka Marcusa obrzuciła mnie niemiłym spojrzeniem.

- Ale to zrobili - odparł Mark. - Powiem ci, co tu jest napisane: "...jego charakter może urazić członków delegacji Konsorcjum Galaktycznego, których potocznie nazywa się Olimpijczykami..." i jeszcze "...w ten sposób zagraża bezpieczeństwu i spokojowi w Imperium..." i jeszcze wiele różnych rzeczy, które w sumie oznaczają "nie". Nie ma nawet propozycji zmian; po prostu całkowite veto. To teraz makulatura, Jul. Zapomnij o tym.

- Ale w s z y s c y piszą o Olimpijczykach! - zaskowyczałem.

- Wszyscy p i s a l i - poprawił mnie. - Obecnie, gdy już są blisko, cenzorzy wolą nie ryzykować. - Rozwalił się w fotelu i pocierał oczy; wyraźnie żałował, że nie poszedł się zdrzemnąć, zamiast łamać mi serce. Potem dodał zmęczonym głosem: Więc co masz zamiar zrobić, Jul? Napiszesz nam coś zamiast tego? Rozumiesz, to musi być szybko; sekretariat nie lubi, jak się przeciąga datę wykonania umowy ponad trzydzieści dni. I ma to być coś dobrego. Nie ma mowy, żebyś zamydlił mi oczy jakąś starocią z dna twojej szuflady - i tak zresztą już to wszystko widziałem.

- Jak, na piekła, mam napisać całą nową książkę w trzydzieści dni? - zawołałem.

Wzruszył ramionami; wyglądał na coraz bardziej śpiącego i coraz mniej zainteresowanego moimi problemami. - Jak nie możesz, to nie możesz.

Pozostaje ci tylko zwrócić zaliczkę - powiedział do mnie.

Szybko się uspokoiłem. - No, nie - zacząłem mówić - nie ma takiej potrzeby.

Co prawda nie wiem, czy skończę w trzydzieści dni...

- A ja wiem - przerwał mi. Wzruszyłem ramionami. Masz już pomysł na nową? - zapytał.

- Mark - powiedziałem cierpliwie - zawsze mam pomysły na nowe książki.

Taki właśnie jest zawodowy pisarz. To maszyna do produkcji domysłów.

Zawsze mam więcej pomysłów, niż mógłbym wykorzystać...

- No więc? - upierał się przy swoim.

Poddałem się, bo jeśli moja odpowiedź brzmiałaby "tak", on zaraz by chciał wiedzieć, co to za pomysł. - Nie całkiem przyznałem.

- W takim razie - stwierdził - lepiej od razu idź tam, skąd bierzesz pomysły, bo obojętnie, czy na dostarczenie książki, czy na zwrot zaliczki, masz tylko trzydzieści dni.

I macie tu wydawcę.

Wszyscy są tacy sami. Na początku bardzo mili i wylewni, w czasie owych długich alkoholowych obiadków i optymistycznych rozmów o milionowych nakładach wciskają ci umowy do podpisu. A potem robią się paskudni. Chcą, żeby im jeszcze dostarczyć gotowy materiał. Kiedy go nie dostaną albo kiedy cenzorzy położą obstat, to już nie ma żadnych miłych rozmówek tylko rozważania o tym, jak to będzie, gdy edyle wtrąca cię do ciemnicy za długi. Poszedłem więc za jego radą. Wiem, dokąd trzeba chodzić po pomysły, i nie jest to Londyn. Zresztą żaden rozsądny człowiek nie zostaje w Londynie na zimę, ze względu na pogodę i natłok obcokrajowców. Wciąż jeszcze nie mogę się oswoić z widokiem owych rosłych, rustykalnych przybyszów z Północy oraz smagłych Hindusek i Arabek w samym sercu miasta. Przyznaję, często pociąga mnie ów czerwony znak kastowy i para czarnych oczu błyskających spod tych wszystkich szat i zasłon. Można to tak ująć: to co sobie wyobrażamy, jest zawsze bardziej podniecające niż to co widać, szczególnie jeśli widać na

przykład niską, kręłą Brytyjkę w rodzaju Lidii.

Kupiłem więc bilet na nocny ekspres do Rzymu, gdzie miałem się przesiąść na wodolot do Aleksandrii. Pakowałem się porządnie, nie zapominając o kapeluszu słonecznym z szerokim rondem, o płynie odstraszającym owady oraz - och, oczywiście - o rysiku i tabliczkach, na wypadek gdyby wpadł mi do głowy jakiś pomysł na książkę. Egipt! Miasto, gdzie zaczynała się właśnie sesja zimowa konferencji na temat Olimpijczyków... gdzie znajdę się wśród uczonych i astronautów nieodmiennie tryskających pomysłami do nowych romansów naukowych, które ja napiszę... gdzie będzie ciepło...

Gdzie edyle mojego wydawcy będą mieli kłopoty z odnalezieniem mnie w przypadku, gdyby żaden pomysł na książkę się nie pojawił.

Tam, dokąd się chodzi po pomysły

Żaden się nie pojawił.

Było to pewne rozczarowanie. Niektóre z moich najlepszych rzeczy powstały w pociągach, samolotach i na statkach, ponieważ tam nikt nie przeszkadza, a człowiek nie może się urwać na spacer, bo nie ma dokąd pójść. Tym razem nic z tego nie wyszło. Przez cały czas, gdy pociąg sunął mokrą, pustą, zimową angielską równiną, siedziałem trzymając tabliczkę przed sobą i rysik gotowy do akcji, ale gdy wjechaliśmy do tunelu, tabliczka była wciąż dziewicza.

Nie miałem się co oszukiwać: był to kanał. Całkowity, zupełny kanał. W mojej głowie nie działo się nic, co mogłoby się przeistoczyć w pierwsze sceny nowego romansu naukowego.

Nie po raz pierwszy w mojej karierze literackiej przytrafiła mi się blokada twórcza. To jakby choroba zawodowa każdego pisarza. Ale tym razem było

najgorzej. Naprawdę wiązałem wielkie nadzieje z Oślą Olimpiadą; liczyłem nawet, że się ukaże dokładnie w tych cudownych dniach, kiedy Olimpijczycy osobiście zjawią się w naszym Układzie Słonecznym, z czego wyniknie znakomita reklama i książka osiągnie wręcz n i e s a m o w i t y nakład... a co gorsza, wydałem już całą zaliczkę. Pozostała mi tylko pewna, bardzo niewielka rezerwa kredytowa.

Nie po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać, co by to było; gdybym zajął się inną pracą. Gdybym na przykład został w służbie państwowej, tak jak chciał tego ojciec.

Właściwie to nie miałem żadnego wyboru. Urodziłem się w trzechsetną rocznicę rozpoczęcia podboju Kosmosu, a mama powiedziała mi, że pierwszym słowem, jakie wymówiłem, był "Mars". Mówiła też, że powstało pewne nieporozumienie, bo zrazu myślała, że chodzi o boga, nie o planetę, więc wraz z ojcem poważnie zastanawiali się, czy nie przygotowywać mnie do stanu duchownego. Kiedy jednak umiałem już czytać, wszyscy dobrze wiedzieli, że mam bzika na punkcie Kosmosu: Tak jak większość moich rówieśników (tych, co lubią moje książki) wychowywałem się na relacjach z wypraw kosmicznych. Miałem ledwie kilkanaście lat, gdy odebrano pierwsze zdjęcia z próbnika wysłanego w stronę Julii, planety obiegającej Alfe Centauri; zdjęcia przedstawiały kryształowe struktury i drzewa o srebrnych liściach. Korespondowałem z innym chłopakiem, który mieszkał w jednej z jaskiniowych kolonii na Księżycu, i zaczytywałem się wprost relacjami z pościgów edyli. za przestępcami po księżycach Jowisza. Nie byłem jedynym wśród moich rówieśników, którego oczarował Kosmos, ale ja z tego nigdy nie

wyrosłem.

Oczywiście zostałem pisarzem romansów naukowych; o niczym więcej nie miałem zielonego pojęcia. Gdy tylko zarobiłem pierwsze pieniądze za fantastykę, rzuciłem posadę sekretarzy u jednego z posłów cesarskich na zachodniej półkuli i spróbowałem się utrzymywać wyłącznie z pisania.

I nawet nieźle mi to wychodziło - nienajgorzej, powiedzmy - a właściwie, mówiąc ściśle, utrzymywałem się na pewnym, choć nie zawsze równym poziomie z dwóch romansów naukowych rocznie, przy czym na moje hobby - ładne kobiety, jak Lidia - mogłem sobie pozwolić z dodatkowego wynagrodzenia, gdy któraś z moich książek doczekała się adaptacji telewizyjnej lub teatralnej.

I wówczas nadeszły sygnały od Olimpijczyków, i cała produkcja romansów naukowych zyskała zupełnie inne oblicze.

Była to oczywiście najbardziej sensacyjna wiadomość w całej historii ludzkości. A więc istnieją inne rasy inteligentne zamieszkujące gwiazdy naszej Galaktyki! Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, że to wydarzenie będzie miało na mnie wpływ tak bezpośredni, jeśli nie liczyć radości.

Bo z początku była to radość. Udało mi się dostać do wnętrza owego radioobserwatorium w Alpach, które nagrało tamte pierwsze sygnały, i usłyszałem je na własne uszy:

Bip ua bip..

Bip ii bip ua bip bip

Bip ii bip ii bip ua bip bip bip.

Bip ii bip ii bip ii bip ua uuuuu.

Bip ii bip ii bip ii bip ii bip ua bip bip bip bip bip.

Teraz to wydaje się bardzo proste, ale minęło trochę czasu, nim ktoś się domyślił, co oznaczają te pierwsze sygnały od Olimpijczyków. (Wówczas jeszcze, oczywiście, nie nazywaliśmy ich "Olimpijczykami". Nawet i teraz nie nazywalibyśmy ich tak, gdyby duchowni mieli coś do powiedzenia w tej sprawie, ponieważ uważają oni, że jest to niemal świętokradztwo, ale jak w końcu można nazwać bogom podobne istoty z niebios? Nazwa przyjęła się od razu i kapłani po prostu musieli się z tym pogodzić.) Nie będę ukrywał, że to mój dobry przyjaciel Flawiusz Samuelus ben Samuelus pierwszy rozszyfrował te sygnały i opracował odpowiedź, którą wysłaliśmy nadawcom - tę właśnie odpowiedź, co cztery lata później poinformowała Olimpijczyków, że ich usłyszeliśmy.

Tymczasem wszyscy oswajaliśmy się z tą cudowną nową prawdą: nie jesteśmy sami we Wszechświecie! Rynek na romanse naukowe był bez dna.

Moja kolejna książka nosiła tytuł Bogowie z radia. i drukarnie nie mogły nadażyć za popytem.

Myślałem, że tak będzie zawsze.

Mogłoby i tak być... gdyby nie strachliwi cenzorzy.

Przespąłem tunel - wszystkie tunele zresztą, nawet te pod Alpami - i gdy się zbudziłem, pociąg zbliżał się do Rzymu.

Mimo że tabliczki były nadal uporczywie puste, czułem się znacznie lepiej.

Wspomnienie Lidii zniknęło z pamięci, miałem jeszcze dwadzieścia dziewięć dni na dostarczenie nowego romansu naukowego, a przy tym Rzym to zawsze Rzym! Ośrodek Wszechświata - no, nie licząc tych wszystkich nowych danych

astronomicznych, jakie mogliby nam przekazać Olimpijczycy. W każdym razie to najwspanialsze miasto na świecie. Tu się wszystko dzieje.

Nim zdążyłem wysłać stewarda po śniadanie i przebrać się w świeże szaty, byliśmy już na miejscu i już trzeba było wychodzić z pociągu do wnętrza olbrzymiego, hałaśliwego dworca.

Kilka lat już nie widziałem Rzymu, ale Wieczne Miasto nie zmienia się wiele z upływem czasu. Tybr wciąż śmierdział. Nowe wieżowce mieszkalne nadal skutecznie zakrywały stare ruiny, chyba że ktoś zanadto się zbliżył; muchy nadal dokuczały, a młodzi rzymianie nadal oblegali dworzec, oferując swe usługi jako przewodników po Złotym Domu (tak jakby któryś z nich mógł przedostać się przez strażę Legionów), kupno świętych amuletów lub swoje siostry.

Ponieważ pracowałem kiedyś jako jeden z sekretarzy prokonsula narodu Czirokezów, mam przyjaciół w Rzymie. Ponieważ jednak nie przyszło mi do głowy ich zawiadomić o przyjeździe, ni kogo nie zastałem. Nie miałem wyboru: musiałem nocować w wysokościowej gospodzie na Palatynie.

Pokój był przeraźliwie drogi, oczywiście. Wszystko w Rzymie jest drogie - i dlatego tacy jak ja mieszkają na zapadłej prowincji w rodzaju Londynu - doszedłem jednak do wniosku, że dopóki nadejdą rachunki, to albo znajdę sposób usatysfakcjonowania Marcusa i dostanę resztę pieniędzy, albo będę tak ugotowany, że kilka dodatkowych długów nie zmieni sytuacji.

Doszedłszy do tego wniosku postanowiłem pozwolić sobie na luksus najęcia służącego.

Wybrałem

uśmiechniętego,

muskularnego

Sycylijczyka

czekającego w biurze najmu w sieni, dałem mu klucze do bagażu i kazałem zanieść wszystko do pokoju, a potem zrobić rezerwację na jutrzejszy poduszkowiec do Aleksandrii.

Właśnie wtedy szczęście zaczęło się nieco milej uśmiechać.

Gdy Sycylijczyk wrócił do winiarni po następne polecenia, oznajmił: -

Obywatelu Juliuszu, dowiedziałem się, że pewien obywatel będzie też jutro jechał do Aleksandrii. Czy zechcesz wziąć z nim wspólną kabinę?

To miło, gdy wynajęty sługa stara się zaoszczędzić ci wydatków. - Co to za jeden? - zapytałem, tonem głosu wyrażając jednak aprobatę. - Nie chciałbym trafić na jakiegoś nudziarza.

- Sam się możesz przekonać, Obywatelu Juliuszu. On jest teraz w łaźni. To Judejczyk; nazywa się Flawiusz Samuelus.

W ciągu pięciu minut pozbyłem się szat i owinięty prześcieradłem rozglądałem się po tepidarium.

Od razu dostrzegłem Sama. Leżał wyciągnięty, z przymkniętymi oczami, podczas gdy masażysta ugniatał jego stare, tłuste ciało. Bez słowa położyłem się na sąsiednim kamieniu. Kiedy Sam z jękiem przewrócił się na plecy i otworzył oczy, odezwałem się: - Witaj, Sam.

Rozpoznał mnie dopiero po chwili; do łaźni zdjął kontaktówki. Jednak po usilnym mrużeniu oczu na jego twarzy pojawił się uśmiech. - Jul! - wykrzyknął. - Jaki świat jest mały! Bardzo się cieszę, że cię widzę!

I wyciągnął ręce, by mnie uściskać pod łokcie, naprawdę serdecznie, tak jak oczekiwałem. U Flawiusza Samuelusa najbardziej podoba mi się między innymi to, że mnie lubi.

Inną cechą Sama, która mi się podoba, jest fakt, że choć to konkurent, to przy tym jest niewyczerpalnym naturalnyfi źródłem. Sam pisze romanse naukowe. Robi nawet więcej: wielokrotnie pomagał mi w sprawach naukowych z moich romansów, toteż gdy usłyszałem z ust Sycylińczyka imię Sama, przyszło mi do głowy, że to właśnie on przydałby mi się najbardziej w obecnej trudnej sytuacji.

Sam ma co najmniej siedemdziesiąt lat. Jest zupełnie łysy, a na szczycie głowy ma wielkie, brązowe znamię wieku. Gardziel mu obwisa, a powieki same opadają na oczy. Ale nigdy byś się tego nie domyślił rozmawiając z nim przez telefon. Sam ma energiczny, dźwięczny głos dwudziestolatka, podobnie jak umysł: umysł w y j ą t k o w o i n t e l i g e n t n e g o dwudziestolatka.

Łatwo się też entuzjazmuje.

To komplikuje wiele spraw, ponieważ umysł Sama pracuje szybciej, niż powinien. Czasem z tego powodu trudno się z nim porozumieć, gdyż zazwyczaj wybiega on przed rozmówców o trzy, cztery kwestie. Zdarza się więc, że to, co mówi do ciebie, nie jest odpowiedzią na twoje ostatnie pytanie, ale na to, o którym nie zdążyłeś jeszcze pomyśleć.

To niemiła prawda, ale romanse Sama lepiej się sprzedają niż moje, i tylko jego ujmującej osobowości należy przypisywać, że jeszcze go za to nie znienawidziłem. Sam ma nad nami wszystkimi przewagę przez to, że jest zawodowym astronomem. Romanse naukowe pisze dla rozrywki, w wolnym

czasie, którego nie ma zbyt wiele. W pracy poświęcił się głównie kierowaniem lotem własnego próbnika kosmicznego, tego, który okrąża Dione, planetę Epsilonu Erydana. Mogę się pogodzić z jego sukcesami (i, trzeba to przyznać, z jego talentem), ponieważ nie skąpi mi pomysłów. Kiedy więc uzgodniliśmy już, że weźmiemy wspólną kabinę na poduszkowcu, postawiłem sprawę jasno. No, prawie jasno.

- Sam - zapytałem - jedna rzecz mnie zastanawia. Kiedy Olimpijczycy tu wylądują, co to będzie oznaczało dla nas wszystkich?

Pytanie skierowałem do właściwej osoby; Sam wiedział więcej o

Olimpijczykach niż ktokolwiek inny na Ziemi. Ale nie należało od niego

oczekiwać prostej odpowiedzi. Podniósł się, obciągając prześcieradło wokół

ciała. Gestem odesłał masażystę i spojrział na mnie rozbawionym wzrokiem,

owymi bystrymi czarnymi oczami spoglądającymi spod rozwichrzonych brwi i opadających powiek.

- A co, potrzebny ci nowy pomysł na romans naukowy? zapytał.

- Piekło - zakląłem ponuro i postanowiłem nie kręcić. Przecież nie jest to

moja pierwsza prośba, Sam. Tylko że tym razem n a p r a w d ę potrzebuję

pomocy. - I opowiedziałem mu całą historię o powieści, której cenzorzy dali

obstat, i o wydawcy, który szybko chciał czegoś w zamian - albo mojej krwi, do wyboru.

Z namysłem zaczął żuć kostkę kciuka. - A o czym była ta twoja książka? -

zapytał, wyraźnie zaniepokojony.

- To satyra, Sam. Ośła Olimpiada. O tym, jak Olimpijczycy przybywają na

Ziemię za pomocą teleportera, tylko że sygnał ulega zniekształceniu i jeden z

nich przypadkowo zostaje przemieniony w osła. Jest w tym parę wcale niezłych kawalków.

- No pewnie, Jul. Już dwadzieścia parę wieków.

- Noo... nie mówiłem, że to zupełnie oryginalny pomysł, tylko...

Sam potrząsnął głową. - Myślałem, że jesteś mądrzejszy, Jul. Czego się spodziewałeś po cenzorach: żeby udaremniły najważniejsze wydarzenie w historii ludzkości - dla jakiegoś głupiego romansu naukowego?

- To nie jakiś głupi...

- Głupio jest ryzykować, że się obrażą - przerwał mi stanowczo. - Najlepiej w ogóle o nich nie pisać.

- Ale wszyscy to robią!

- Nikt nie zamieniał ich w osły - zauważył. - Jul, spekulacje w romansach naukowych też mają swoje granice. A gdy piszesz o Olimpijczykach, znajdujesz się blisko właśnie takiej granicy. Wszelkie domniemania na ich temat mogą stać się pretekstem do wycofania się ze spotkania z nami i taka szansa może się już nam nigdy nie trafić.

- Nie zrobią tego...

- Och; Jul - powiedział z niesmakiem - co ty możesz wiedzieć o tym, co zrobią albo czego nie zrobią? Cenzorzy podjęli właściwą decyzję. Któż wie, jacy są Olimpijczycy?

- Ty wiesz - powiedziałem.

Zaśmiał się, choć śmiech ten był cokolwiek wymuszony. Bardzo bym chciał, Jul. Wiemy o nich tylko tyle, że nie jest to jakaś zwykła stara rasa inteligentna; Olimpijczycy mają swe normy moralne. Szczerze mówiąc, nie

wiemy, co to za normy. Przypuśćmy, że w swojej książce domniemywałeś, iż Olimpijczycy dadzą nam wiele różnych rzeczy, takich jak lekarstwo na raka, nowe narkotyki, nawet życie wieczne...

- A jakie dokładnie narkotyki mogliby nam dać? - spytałem. - Milcz, chłopcze! Powiadam Ci, abyś wybił sobie z głowy t a k i e pomysły. Chodzi o to, że cokolwiek byś sobie wyobraził, mogłoby się to okazać wstrętne i niemoralne dla Olimpijczyków. Stawka jest zbyt wysoka. To nasza jedyna szansa i nie wolno nam jej zaprzepaścić:

- Ale potrzebny mi t e m a t - jęknąłem.

- No... - przyznał - pewnie tak: „Muszę nad tym pomyśleć. Umyjmy się i chodźmy stąd.

Pod prysznicem, w czasie ubierania, podczas lekkiego obiadu Sam gadał tylko o zbliżającej się konferencji w Aleksandrii. Słuchałem go z przyjemnością. Poza tym, że zawsze miał coś do powiedzenia, zacząłem mieć nadzieję, że napiszę tę książkę dla Marka. O ile ktoś w ogóle mógł mi pomóc, był to Sam. Nie przepuścił żadnemu problemowi; zawsze podejmował wyzwanie.

Bez wątpienia dlatego to on pierwszy rozgryzł zagadkę owych niezliczonych "ii" i "ua" Olimpijczyków. Jeśli przyjąć, że "bip" to "1", "ii" to "+", a "ua" to "=", wówczas

Bip ii bip ua bip bip

oznacza po prostu "1 + 1 = 2".

To było całkiem proste. Nie potrzebowałeś mieć supermózgu jak Sam, aby podstawić liczby pod sygnały i objawić światu, że są to zwykłe zadania

arytmetyczne - z wyjątkiem tajemniczego "uuuuu":

Bip ii bip ii bip ii bip ua uuuuu.

Co miało oznaczać to "uuuuu"? Szczególny sposób prezentacji liczby 4?

Sam oczywiście domyślił się od razu. Gdy tylko usłyszał sygnały, natychmiast przesłał telegraficznie rozwiązanie ze swej biblioteki w Padwie:

"Komunikat wymaga odpowiedzi; "uuuuu" to znak zapytania. Odpowiedź brzmi - 4."

I do gwiazd wysłano następujące przesłanie: Bip ii bip ii bip ii bip ua bip bip bip bip.

Rasa ludzka zdała w ten sposób egzamin wstępny i rozpoczął się powolny proces nawiązywania kontaktu.

Odpowiedź Olimpijczyków nadeszła dopiero po czterech latach; wyraźnie znajdowali się niezbyt blisko. Równie wyraźnie nie byli to prostaczkowie jak my, wysyłający sygnały radiowe z planety krążącej wokół gwiazdy odległej od nas o dwa lata świetlne, bo takiej gwiazdy nie ma; odpowiedź nadeszła z miejsca w Kosmosie, w którym nasze teleskopy i sondy nie znalazły w ogóle niczego.

W ciągu tych czterech lat Sam był już w tym wszystkim po uszy. On pierwszy dowiedział, że istoty z gwiazd celowo wysłały słaby sygnał, aby się upewnić, że odpowiedzą

naci

przedstawiciele

rasy na

odpowiednim

poziomie

technicznym. On też należał do niecierpliwych, co namówili władze collegium, by rozpoczęto nadawanie wzorów matematycznych wszelkiego rodzaju, a potem prostych zestawów słów, by w ogóle c o ś wysyłać do Olimpijczyków, póki fale radiowe dopełzną do ich miejsca pobytu i wrócą z odpowiedzią.

Sam oczywiście nie był jedyny; nie on nawet objął kierownictwo badań nad wypracowaniem wspólnego słownictwa. Jest wielu lepszych językoznawców i kryptoanalityków niż Sam.

Jednak to on zwrócił uwagę, już na samym początku, że czas odpowiedzi na nasze sygnały nieustannie się skraca. Co oznaczało, że Olimpijczycy podążają w naszym kierunku.

Wkrótce rozpoczęli nadawanie obrazów mozaikowych. Nadchodziły one w postaci szeregów dźwięków "bii" i "baa", przy czym każdy szereg liczył sobie 550 564 sygnały. Ktoś wkrótce wydedukował, że liczba ta to kwadrat 742 i kiedy szereg przedstawiono w postaci matrycy kwadratowej, zamieniając wszystkie "bii" na białe punkty, a "baa" na czarne, z ekranu wyskoczył obraz pierwszego Olimpijczyka.

Każdy pamięta ten widok. Wszyscy na Ziemi, poza całkowicie niewidomymi, widzieli go; obraz transmitowały wszystkie stacje świata. A nawet niewidomi słuchali anatomicznych opisów przekazywanych przez komentatorów. Dwa ogony. Mięsisty, podobny do brody strzęp zwieszający się z podbródka. Cztery nogi. Kolczasty grzebień wzdłuż... chyba kręgosłupa. Oczy szeroko rozstawione, na wyrostkach z kości policzkowych.

Pierwszy Olimpijczyk nie był ani trochę przystojny, ale za to niewątpliwie o b

c y.

Kiedy kolejny szereg okazał się bardzo podobny do pierwszego, to właśnie Sam od razu stwierdził, że jest to nieco przekręcony obraz tej samej istoty. Olimpijczykom potrzeba było 41 obrazów, by zaprezentować całkowitą podobiznę pierwszego z nich...

Potem zaczęli wysyłać obrazy następnych.

Do tej pory nikomu, nawet Samowi, nie przyszło do głowy, że będziemy mieli do czynienia nie z jedną superrasą, ale co najmniej z dwudziestoma dwoma. Tyle bowiem pokazano nam różnych obrazów obcych istot, a każda z nich była brzydsza i dziwniejsza od poprzedniej.

To jeden z powodów, dla których kapłani nie lubią, gdy gości nazywa się Olimpijczykami. W sprawie bogów Rzymu jesteśmy dość ekumeniczni, ale żaden z nich ani trochę nie przypomina któregokolwiek z t a m t y c h, a co poniektórzy starsi kapłani nigdy nie przestali zręczyć o świętokradztwie.

W połowie trzeciego dania naszego obiadu i drugiej butelki wina Sam przerwał swój opis ostatniego komunikatu od Olimpijczyków (w którym potwierdzali odbiór naszych audycji dotyczących historii Ziemi), uniósł głowę i uśmiechnął się do mnie. - Mam - powiedział.

Spojrzałem na niego mrugając oczami. Szczerze mówiąc, nie zwracałem zbyt wiele uwagi na to, co mówi, bo przyglądałem się niebrzydkiej kelnerce z kraju kijowskiego. Przyciągnęła mój wzrok, ponieważ... no, mam na myśli nie tylko to, że miała znakomitą figurę i niewiele szat, które ją zakrywały - ponieważ na jej szyi widniał złoty amulet obywatelki. Nie była więc niewolnicą, co mnie jeszcze bardziej zaintrygowało. Nie lubię uwodzić

niewolnic, bo to zajęcie mało honorowe; ta dziewczyna natomiast bardzo mnie zainteresowała.

- Czy ty mnie słuchasz? - zaciekawił się Sam. - No pewnie. A co masz?

- Mam rozwiązanie twojego problemu - oznajmił rozradowany. - Nie tylko nowy pomysł na romans naukowy. Całkowicie nowy rodzaj romansów naukowych! Czemu nie miałbyś napisać o tym, jak to będzie, gdy Olimpijczycy nie przyjadą?

Bardzo mi się podoba to, jak jedna połówka mózgu Sama zajmuje się rozwiązywaniem problemów, podczas gdy druga robi zupełnie coś innego, ale nie zawsze mogę za tym nadążyć.

- Nie bardzo rozumiem; o co ci chodzi. Jeśli napiszę o tym, że Olimpijczycy nie przyjadą, czy to nie będzie tak samo złe jak pisanie o tym, że przyjadą?

- Nie, nie - zamachał rękami. - Słuchaj mnie uważnie! Zostaw Olimpijczyków poza tym wszystkim: Napisz o przyszłości, która mogłaby nastąpić, ale nie nastąpi.

Kelnerka pochylała się nad nami, zbierając brudne talerze. Wiedziałem, że słyszy, gdy odpowiadałem z godnością: - Sam, to nie w moim stylu. Może moje romanse nie sprzedają się tak dobrze jak twoje, ale uczciwość mi jeszcze pozostała. Nigdy nie piszę o czymś, co uważam za zupełnie niemożliwe.

- Jul, przestań myśleć o swoich gonadach - (a więc jego uwadze nie umknęło moje zainteresowanie kelnerką) - i postaraj się skorzystać z tego twojego ptasiego mózdzku. Mówię o czymś, co mogłoby być możliwe, w alternatywnej przyszłości, rozumiesz.

Wcale nie rozumiałem. - A co to jest "alternatywna przyszłość"?

- To przyszłość, która mogłaby nastąpić, ale nie nastąpi wyjaśnił. - Na przykład gdyby Olimpijczycy do nas nie jechali.

Potrząsnąłem głową, zupełnie skołowany. - Ale przecież wiemy, że jada - zwróciłem uwagę.

- Ale gdyby nie jechali! Gdyby nie skontaktowali się z nami przed laty.

- Przecież się skontaktowali - odparłem próbując przeniknąć jego rozumowanie. Westchnął tylko.

- Widzę, że nic do ciebie nie dochodzi - powiedział otulając się szatą i wstając. - Zabieraj się do swojej kelnerki. Ja mam parę telegramów do wysłania. Zobaczymy się na statku.

No więc z tego czy innego powodu nic nie wyszło z moich planów wobec kijowskiej kelnerki. Powiedziała mi, że jest zamężna, szczęśliwie i monogamicznie. Prawdę mówiąc nie rozumiałem, dlaczego wolny, praworządny obywatel wysyła żonę do takiej pracy, ale zdziwiło mnie, że dziewczyna nie zwróciła większej uwagi na moje pochodzenie...

Lepiej to wyjaśnię.

Widzicie, moja rodzina ma pretensje do sławy. Genealogowie powiadają, że wywodzimy się od samego Juliusza Cezara.

Ja sam też wspominam o tych pretensjach, szczególnie kiedy za dużo wypiję.

Myślę też, że to właśnie dlatego Lidia, zawsze snobka, zainteresowała się mną.

To nic ważnego; w końcu Juliusz Cezar umarł ponad dwa tysiące lat temu. Od tamtej pory minęło sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt pokoleń, a nie należy też zapominać, że choć Przodek Juliusz z pewnością pozostawił po sobie liczne potomstwo, jednak nie było to z żadną z jego żon. Ja nawet specjalnie nie

wyglądam na Rzymianina. Gdzieś w moim rodowodzie musiał się zdarzyć jakiś przodek z północy, może nawet dwóch, bo jestem wysoki i jasnowłosy, jak żaden szanujący się Rzymianin.

Ale jeśli nawet nie jestem legalnym dziedzicem boskiego Juliusza, wywodzę się przynajmniej z wielce starożytnej i szacownej linii. Każdy by pomyślał, że zwykła kelnerka dobrze to weźmie pod uwagę, nim mnie odrzuci.

A jednak nie wzięła. Kiedy obudziłem się następnego ranka sam - mego przyjaciela już nie było w gospodzie, chociaż statek do Aleksandrii miał odpłynąć dopiero wieczorem.

Nie widziałem Sama przez cały dzień. Specjalnie zresztą go nie szukałem, bo trochę mi było wstyd za siebie. Jak to: dorosły człowiek, szanowany autor czterdziestu paru znakomicie (no, może: nieźle) się sprzedających romansów naukowych musi szukać pomysłów u mych?

Oddałem więc bagaż służącemu, wyrejestrowałem się z gospody i metrem udałem się do Biblioteki Rzymskiej.

Rzym jest nie tylko stolicą Cesarstwa; jest poza tym największym ośrodkiem naukowym. Wielkie stare teleskopy stojące na wzgórzach nie na wiele się już przydają, ponieważ światła miasta przeszkadzają w obserwacjach; i tak zresztą wszystkie obecnie używane teleskopy znajdują się w Kosmosie. Ale te naziemne bardzo się przydały Galileuszowi, gdy odkrywał pierwszą planetę poza naszym Układem Słonecznym, a także Tychonowi do wykonania owych słynnych spektrogramów ostatniej wielkiej Supernowej w naszej galaktyce, ledwie dwadzieścia parę lat po pierwszym locie kosmicznym. Tradycje naukowe przetrwały; Rzym jest nadal siedzibą Collegium Nauk.

Dlatego też Biblioteka Rzymska jest tak przydatna dla takich jak ja. Mają tu bezpośredni dostęp do bazy danych Collegium i nawet nie trzeba płacić za połączenie. Wpisałem się do rejestru, położyłem rysik i tabliczki na przydzielonym mi stoliku i zacząłem przeszukiwać pliki.

G d z i e ś musi się znaleźć pomysł na romans naukowy, którego jeszcze nikt nie napisał...

Z pewnością gdzieś był, ale ja go nie mogłem znaleźć. Zazwyczaj można poprosić o pomoc bibliotekarza specjalistę, ale wyglądało, że niedawno w Bibliotece zatrudniono wielu nowych ludzi, głównie Tberyjczyków, zniewolonych, ponieważ uczestniczyli w zeszłorocznym powstaniu w Luzytanii. Od tamtej pory na rynku niewolników pojawiło się tylko Iberyjczyków, że cena drastycznie spadła. Sam bym kupił paru do celów spekulacyjnych, bo wiedziałem, że za jakiś czas cena wzrośnie; w końcu nie tak często zdarzają się powstania, a popyt jest ciągły. Chwilowo jednak brakowało mi funduszy,, a ponadto niewolników trzeba żywić. A jeśli wszyscy byli równie bystrzy, jak ci, których zatrudniała Biblioteka Rzymska, to i tak nie zrobiłbym wielkiego interesu.

Zrezygnowałem. Pogoda poprawiła się na tyle, że warto było zaryzykować spacer po mieście, ruszyłem więc w stronę jednoszynówki do Ostii.

Jak zwykle, Rzym kipiał. W Koloseum odbywały się walki byków, a w Wielkim Cyrku - wyścigi. Autokary turystyczne przeciskały się wąskimi uliczkami. Wokół Panteonu szła długa procesja, ale nie zbliżyłem się na tyle, by dojrzeć, których to bogów dzisiaj czczono. Nie lubię tłumów. Szczególnie tłumów w Rzymie, ponieważ tu jest więcej nawet obcokrajowców niż w

Londynie: Afrykowie, Hindowie, Hanowie i Nordowie - wszystkie rasy z całej Ziemi przysyłają swych turystów, by zwiedzali Cesarskie Miasto. A Rzym dostarcza im widowisk. Zatrzymałem się przy jednym z nich: przy zmianie warty przed Złotym Domem Oczywiście nigdzie nie było widać cezara ani jego małżonki z pewnością udali się w jedną ze swych niezliczonych podróży ceremonialnych do rzymskich dominiów albo przynajmniej gdzieś otwierają nowy supermercatus. Jednak stojący przede mną Algonkini z dreszczem emocji przyglądali się paradzie Legionów honorowych pod sztandarami. Pamiętam trochę języka Czirokezów; wystarczyło, by zapytać, skąd ci Algonkini pochodzą, ale oba te języki nie są do siebie zbyt zbliżone, a czirokeski, jakim się posługiwali, był jeszcze gorszy od mojego. Po prostu uśmiechnęliśmy się do siebie.

Gdy tylko Legiony przeszły, ruszyłem w stronę pociągu.

Gdzieś w mojej głowie kołatała się myśl, że powinienem się więcej martwić moją sytuacją finansową. Trzydzieści dni spokoju umykało z każdą minutą.

Jednak się nie martwiłem: podtrzymywała mnie na duchu wiara. Wiara w mego dobrego przyjaciela Flawiusza Samuelusa, który z pewnością - cokolwiek by czynił z większą częścią swego mózgu - w jakimś jego zakamarku przygotowywał dla mnie pomysł.

Nie przyszło mi do głowy, że nawet Sam ma swoje ograniczenia. Albo że jego uwagę przykuwa coś znacznie ważniejszego niż moje problemy, więc nie pozostało mu zbyt wiele jej dla mnie.

Nie widziałem go przy wsiadaniu na statek; nie zastałem go też w kabinie.

Nawet kiedy wielkie śmigła wprawiono w ruch i wplynęliśmy na Morze

Tyrreńskie, jego nie było. Zasnąłem, nieco przestraszony, że może Sam nie zdążył na statek, ale późno w noc obudziłem się słysząc, jak wchodzi do kabiny. - Byłem na mostku - odpowiedział, gdy coś wymamrotałem. - Idź spać. Zobaczymy się rano.

Kiedy się obudziłem; myślałem, że to wszystko mi się przyśniło, bo Sama już nie było w kabinie. Jednak posłanie na jego łóżku było naruszone, a całkowicie uspokoił mnie steward, który przyniósł poranny puchar wina. Tak, obywatel Flawiusz Samuelus z pewnością znajduje się na pokładzie.

Dokładnie mówiąc, znajduje się w kabinie kapitana, choć co tam robi, tego steward nie umiał powiedzieć.

Poranek spędziłem wypoczywając na pokładzie, pławiąc się w słońcu. Statek nie płynął już jako poduszkowiec; w nocy pokonaliśmy już Cieśninę Sycylijską i teraz, na otwartym morzu, kapitan opuścił płaty, podciągnął rękawy, śmigiel i wysunął je jako śruby. Statek mknął jako wodolot z szybkością swobodnie stu mil na godzinę. Była to łagodna, spokojna jazda: podtrzymujące nas płaty przesuwały się dwadzieścia stóp pod powierzchnią wody, więc żadne fale nami nie kołysały.

Leżąc na plecach i patrząc z ukosa na ciepłe, południowe niebo dostrzegłem trójskrzydłowy samolot unoszący się ponad horyzont za nami, stopniowo nas mijający, by w końcu zniknąć gdzieś przed dziobem. Samolot nie poruszał się z n a c z n i e szybciej od nas - a my mieliśmy podróż o wiele bardziej komfortową, podczas gdy jego pasażerowie płacili za przelot dwukrotnie więcej.

Otworzyłem oczy szeroko, gdy dostrzegłem, że ktoś obok mnie stoi. Szybko

usiadłem, gdy rozpoznałem Sama. Wyglądał tak, jakby wiele nie spał tej nocy;

przytrzymał ręką kapelusz zwiewany pędem naszej podróży.

- Gdzie byłeś? - zapytałem.

- Nie oglądałeś dziennika? - zapytał. Potrząsnąłem głową. - Sygnały od Olimpijczyków ustały.

Na te słowa otworzyłem oczy naprawdę szeroko, bo była to nieprzyjemna niespodzianka. Sam jednak nie wyglądał na bardzo zmartwionego.

Urażonego, owszem; może nawet nieco zatroskanego, ale nie tak przejętego, jak mógłbym się spodziewać. - To pewnie nic takiego - powiedział. - Możliwe, że to zakłócenia słoneczne. Słońce jest w znaku Strzelca, więc prawie dokładnie między nami i nimi. Już od kilku dni mieliśmy kłopoty z szumem.

- Więc można sądzić, że sygnały wkrótce powrócą? - zaryzykowałem.

Wzruszył ramionami i skinął na stewarda, by zamówić jeden z tych gorących napojów, w jakich lubują się Judejczycy. Chyba nie udało mi się wczoraj ci wytłumaczyć, co miałem na myśli - powiedział. - Spróbuję ci wyjaśnić, co rozumiem pod pojęciem świata alternatywnego. Pamiętasz historię? Jak Forniusz Vello pokonał Majów i zromanizował Zachodnie Kontynenty sześć czy siedem wieków temu? Przypuśćmy więc, że tego nie zrobił.

- Ale to zrobił, Sam.

- Wiem, że zrobił - Sam nie tracił cierpliwości. - Ale powiedziałem p r z y p u ś ć m y. Przy puśćmy, że Legiony zostały pokonane w bitwie o Tehultapec.

Zaśmiałem się. Wiedziałem, że żartuje. - Legiony? Pokonane? Ale przecież Legionów nikt nigdy nie pokonał.

- To nieprawda - odparł Sam z wyrzutem. Nie cierpi ludzi, którzy mają luki w

wiadomościach. - Przypomnij sobie Varus.

- Piekło, Sam, przecież to historia starożytna! Kiedy to było, dwa tysiące lat temu? Za cezara Augusta? A i tak przecież była to przejściowa porażka.

Imperator Druzus odzyskał orły. - A także całą Galię dla Cesarstwa: był to jeden z pierwszych wielkich podbojów rzymskich poza Alpami. Dzisiaj Galowie są bardziej rzymscy od Rzymian, szczególnie gdy chodzi o picie wina.

Sam potrząsnął głową. - Powiedzmy, że Forniusz Vello też poniósł "czasową" porażkę.

Próbowałem nadażyć za tokiem jego rozumowania, ale nie było to łatwe. -

Cóż to byłaby za różnica? Prędzej czy później Legiony odniosłyby zwycięstwo.

Dobrze wiesz, że zawsze zwyciężają.

- To prawda - odrzekł rozsądnie - ale gdyby ten konkretny podbój nie

nastąpił w ó w c z a s, cały przebieg historii byłby zupełnie inny. Nie

mielibyśmy wielkiej migracji na zachód w celu zapelnienia owych pustych

kontynentów. Hanowie i Hindowie nie zostaliby okrążeni i kto wie, może do

tej pory mieliby niepodległe państwa. Byłby to zupełnie inny świat. Czy

rozumiesz, do czego zmierzam? To właśnie nazywam "światem

alternatywnym": świat, który mógłby być, ale nie jest.

Chciałem być dla niego uprzejmy. - Sam - powiedziałem oto właśnie

przedstawiłeś obrazowo różnicę między romansami naukowymi i fantazjami.

Ja nie zajmuję się fantazjami. Poza tym - kontynuowałem, nie chcąc ranić jego

uczuc - nie bardzo widzę możliwość wystąpienia znaczących różnic w takim

świecie. W każdym razie nie tyle, by można było na tym zbudować romans

naukowy.

Patrzył na mnie przez chwilę w milczeniu, po czym obrócił się i spojrział na morze. I nagle, jakby w ogóle nie zmieniał tematu, powiedział: - Jest jedna śmieszna rzecz: nasze kolonie na Marsie też nie odbierają sygnałów. A im Słońce nie przeszkadza.

Zmarszczyłem brwi. - Co to znaczy, Sam?

Potrząsnął głową. - Bardzo chciałbym to wiedzieć - rzekł.

W starej Aleksandrii

Faros lśniła odbitym światłem zachodzącego słońca, gdy przybijaliśmy do Aleksandrii. Znowu podróżowaliśmy na poduszce, powoli, a kołysanie fal nieco nami rzucało. Gdy jednak weszliśmy do portu właściwego, woda już była spokojna.

Sam spędził popołudnie w kabinie kapitana, w stałym kontakcie z Collegium Nauk, ale pokazał się, gdy już przycumowaliśmy. Zobaczył, jak patrzę w stronę biura wynajmu obok doku, ale potrząsnął głową. - Daj sobie spokój z wynajmowaniem pokoju, Jul - powiedział tonem rozkazującym. - Przekaż bagaże służącym mojej bratanicy; zamieszkamy u niej.

Była to dobra wieść: pokoje w gospodach Aleksandrii są prawie tak drogie jak w Rzymie. Podziękowałem Samowi, ale wcale mnie nie słuchał. Oddał nasze torby tragarzowi z domu bratanicy, małemu Arabowi, który był znacznie silniejszy, niż na to wyglądał; następnie ruszył do domu egipskiego Senatu Niższego, gdzie miała się odbyć konferencja.

Przywołałem trójkołowiec i dałem kierowcy adres bratanicy - Sama.

Cokolwiek myślą o tym Egipcjanie, Aleksandria to brudne, prowincjonalne miasteczko. Czoktawowie mają większą stolicę, Kijowianie zaś - czystsza.

Ponadto słynna Biblioteka Aleksandryjska to oszustwo. Kiedy mój (chciałoby się wierzyć) przodek kazał ją spalić, Egipcjanie istotnie ją odbudowali. Ale jest tak staroświecka, że nie ma w niej nic prócz książek.

Dom bratanicy Sama znajdował się w szczególnie podupadłej dzielnicy tego podupadłego miasta, tylko parę przecznic od nabrzeża. Słysząc tu łoskot dźwigów towarowych z doków; choć może słysząc niezbyt dobrze, bo zagłusza je hałas z samych ulic, pełnych ciężarówek i kierowców przeklinających siebie nawzajem w czasie manewrowania wokół ostrych zakrętów. Sam dom był większy, niż się spodziewałem; ale była to jego jedyna zaleta, przynajmniej sądząc z wyglądu zewnętrznego. Oblicowania miał raczej z taniej egipskiej sztukatury niż z marmuru, a sąsiedował z punktem wynajmu niewolników.

Przynajmniej jest za darmo, upomniałem siebie. Kopnąłem w drzwi i zawołałem na służącego.

Jednak nie służący otworzył mi drzwi, lecz bratanica Sama we własnej osobie; jej wygląd sprawił mi przyjemną niespodziankę. Była prawie tak wysoka jak ja i prawie tak jasnowłosa. Poza tym młoda i bardzo ładna. - Ty z pewnością jesteś Juliuszem powiedziała. - Nazywam się Rachela i jestem bratanicą obywatela Flawiusza Samuelusa ben Samuelusa. Witam ciebie w moim domu.

Ucałowałem jej dłoń. To kijowski obyczaj, który mi bardzo odpowiada, szczególnie w kontaktach z ładnymi dziewczętami, jakich nie znam jeszcze dobrze, choć mam nadzieję poznać. Nie wyglądasz na Judejkę - powiedziałem. - A ty nie wyglądasz na gryziopiórka tłukącego romans za romansem - odparła. Jej głos był mniej chłodny niż słowa, ale niewiele. - Stryja Sama nie

ma w domu, a ja mam dużo pracy Bazyliusz wskaże ci swe pokoje i

zapropnuje coś do picia.

Zwykle robię lepsze pierwsze wrażenie na kobietach. Zwykle lepiej się do tego przygotowuję, ale Rachela mnie zaskoczyła. Spodziewałem się raczej, że będzie podobna do Sama, może z wyjątkiem łysiny i zmarszczek na twarzy.

Bardziej się nie mogłem pomylić.

Co do domu też popełniłem błąd: dom był naprawdę duży. Mieścił dobre kilkanaście pokoi, nie licząc kwater dla służby; jego atrium pokrywała owa półprzezroczysta błona, która zatrzymuje najgorsze gorąco.

Słynne egipskie słońce stało właśnie w zenicie, gdy Bazyliusz, sługa Racheli, wskazał mi moje pokoje. Były one zadowolająco jasne i przewiewne, ale Bazyliusz zaproponował wypoczynek na zewnątrz. Miał słuszość. Podał mi wino i owoce w atrium, przy wygodnej ławce u fontanny. Przez błonę słońce wyglądało tylko na blade i miłe, a nie śmiertelnie gorące. Owoce też były świeże: ananasy z Libanu, pomarańcze z Judei, jabłka gdzieś z daleka, pewnie z Galii. Nie podobało mi się tylko to, iż Rachela pozostała w swych pokojach, toteż nie miałem szansy przedstawić się jej w lepszym świetle.

Pozostawiła jednak instrukcje co do mojej wygody. Bazyliusz klasnął w dłonie i pojawił się inny służący, niosąc rysik i tabliczki, na wypadek, gdyby zachciało mi się pracować. Ze zdumieniem stwierdziłem, że Bazyliusz i ten drugi sługa to Afrykowie; ci raczej nieczęsto wdają się w jakieś awantury polityczne czy też jakiegokolwiek utarczki z edylami, toteż mało z nich traci wolność.

Fontanna

została

zbudowana

na

kształt

Kupidyna.

W

innych

okolicznościach uznałbym to za dobry omen, ale tutaj nie wydawało mi się, iż ma on jakiegokolwiek znaczenie. Nos Kupidyna był oblupany; fontanna z pewnością miała więcej lat niż Rachela. Postanowiłem pozostać na miejscu, dopóki dziewczyna się nie pojawi, ale kiedy zapytałem Bazylusza, kiedy to może nastąpić, ten popatrzył na mnie z pewną wyższością.

- Obywatelka Rachela pracuje po południu, obywatelu Juliuszu - poinformował mnie.

- Ach, tak? A nad czym ona pracuje?

- Obywatelka Rachela jest sławną dziejopisarką - objaśnił mnie. - Często pracuje aż do chwili udania się na spoczynek. Ale dla ciebie i dla jej stryja kolacja zostanie oczywiście podana o porze dla was odpowiedniej.

Bardzo uczynny był to gość, nie ma co mówić. - Dziękuję ci, Bazyluszu - powiedziałem. - Myślę, że wyjdę na kilka godzin. - A potem, gdy służący zbierał się do odejścia, zapytałem: Nie wyglądasz na groźnego przestępcę.

Jeśli mogę zapytać: za co cię zniewolono?

- Och, nie za żadną zbrodnię, obywatelu Juliuszu - zapewnił mnie. - Po prostu za długi.

Łatwo znalazłem drogę do domu egipskiego Senatu Niższego; w jego kierunku zdążało wiele pojazdów i pieszych; jest to bowiem, było nie było, jedno z bardziej interesujących miejsc w Aleksandrii.

Senat Niższy nie obradował. Nie miał zresztą żadnego powodu, bo po co w ogóle Egipcjanom jakikolwiek senat? Czasy, kiedy sami podejmowali jakiegokolwiek decyzje we własnych sprawach, minęły już wiele stuleci temu.

Szarpnęli się jednak na konferencję. Świątynia Senatu miała nisze na co najmniej pół setki bogów. Stały w nich zwykle posągi Amona-Ra i Jowisza oraz oczywiście wszystkich ważniejszych postaci z panteonu, ale by zrobić przyjemność gościom umieszczono też tam Ormuzda, Jahwe, Freję, Quetzalcoatla i kilkunastu innych, których w ogóle nie rozpoznałem. Zdobiły je świeże ofiary z kwiatów i owoców, dowodząc, że turyści - jeśli nie sami astronomowie - nie pomijali żadnych dróg przywrócenia łączności z Olimpijczykami. Uczeni to oczywiście agnostycy (jak zresztą chyba w większości ludzie wykształceni, prawda?), ale nawet agnostyk poświęci kawałek owocu, by udobruchać boga, na wypadek, gdyby się okazało, że agnostyk się mylił.

Pod domem senatu przekupnie już ustawiali swe stragany, mimo że pierwsze posiedzenie miało się zacząć dopiero jutro. Kupiłem u nich garść daktyli i spacerowałem tu i tam, pogryzając daktyle i przyglądając się marmurowemu fryzowi na ścianie budynku. Przedstawiał on falujące łany zbóż i pola ziemniaków, jakie od dwóch tysięcy lat czyniły Egipt spichlerzem Cesarstwa. Oczywiście nie było tu nic o Olimpijczykach; Egipcjanie nie interesują się zanadto Kosmosem. Wolą spoglądać na swą chwalebna (n a z y

w a j ą ją chwalebna) przeszłość; żaden uczony by zresztą nie pomyślał o zorganizowaniu tu konferencji w sprawie Olimpijczyków, gdyby nie to, że nikomu nie chciałoby się jechać w grudniu do jakiegoś północnego miasta.

Wewnątrz wielka sala była pusta, jeśli nie liczyć niewolników ustawiających łoża i spluwaczki dla uczestników. Sale wystawowe kipiały hałasem pochodzącym od robotników ustawiających eksponaty, ale osób postronnych tam nie wpuszczano, a w kularach dla uczestników było ciemno.

Szczęśliwie dostrzegłem otwarte pomieszczenie dziennikarzy. To zawsze dobre miejsce na darmową szklaneczkę wina, a poza tym chciałem wiedzieć, gdzie się wszyscy podzieli. Dyżurny niewolnik nie umiał mi tego powiedzieć. - Gdzieś odbywa się zamknięte posiedzenie organizatorów, tyle wiem... a poza tym dziennikarze węższą w poszukiwaniu kogoś, z kim mogliby zrobić wywiad. - A potem, spoglądając mi przez ramię, gdy się wpisywałem, niewolnik dodał: - Och, to ty piszesz romanse naukowe, prawda? Może któryś z dziennikarzy zainteresuje się i tobą.

Nie było to nazbyt entuzjastyczne zaproszenie, ale się zgodziłem. Marcus zawsze nakłania mnie do akcji reklamowej, gdyż jego zdaniem podnosi to sprzedaż książek, więc tu akurat mogłem Marcusowi pójść na rękę.

Dziennikarz nie wyglądał jednak na zbyt szczęśliwego. W podziemiach Senatu zaimprovizowano kilka pomieszczeń studyjnych i kiedy zjawiłem się w tym, do którego niewolnik mnie skierował, dziennikarz siedział przed lustrem i pastwił się nad swoją fryzurą. Przed ekranem siedziało kilku techników, oglądając nadawany właśnie program rozrywkowy. Kiedy się przedstawiłem, reporter odwrócił wzrok od swego oblicza w lustrze na tyle

tylko, by rzucić w moją stronę spojrzenie pełne wątpliwości.

- Nie jesteś prawdziwym astronomem - powiedział do mnie.

Wzruszyłem ramionami. Zaprzeczanie na nic by się nie zdało. - Mimo

wszystko - mruknął - lepszy rydz niż nic. Dobra. Siadaj tutaj i postaraj się, aby

głos twój brzmiał tak, jakbyś wiedział, o czym mówisz. - Następnie zaczął

wydawać instrukcje technikom.

Było to dość dziwne. Zauważyłem już, że technicy nosili złote emblematy

obywateli. Dziennikarz nie miał go, a jednak to on im wydawał polecenia.

Nie podobało mi się to ani trochę. Denerwują mnie wielkie stacje

komercyjne, które stawiają niewolników na pozycji wydających rozkazy

wolnym obywatelom. To niedobra praktyka. Stanowiska nauczycieli,

wykładowców, opiekunów to inna sprawa: niewolnicy potrafią wykonywać te

obowiązki równie dobrze, jak obywatele, a przy tym znacznie taniej. Ale w

tym wypadku mamy do czynienia z problemem moralnym. Niewolnik musi

mieć pana; inaczej jak można go uważać za niewolnika? A jeśli się pozwala

niewolnikowi pełnić rolę pana, nawet w tak mało ważnej sprawie jak

nagrywanie

programu

telewizyjnego,

uderza

się

w

fundamenty

społeczeństwa.

Poza tym są to nieuczciwe praktyki konkurencyjne. Ta praca potrzebna jest dla wolnych obywateli. Coś takiego zdarzyło się parę lat temu w mojej specjalności:

kilkoro

autorów

niewolników

produkowało

powieści

przygodowe, ale reszta nas zebrała się i położyła temu kres - szczególnie gdy Marcus kupił jedną z nich i zrobił redaktorką. Żaden autor obywatel nie chciał z nią pracować. Mark ostatecznie musiał ją dać do działu reklamy, gdzie nikomu nie szkodziła.

Zacząłem więc wywiad spięty, a jego pierwsze pytanie jeszcze pogorszyło sprawę. Zaatakował mnie od razu: - Tłukąc te swoje romanse naukowe, czy starasz się w ogóle utrzymywać kontakt z naukową rzeczywistością? Czy wiesz, na przykład, że Olimpijczycy zaprzestali nadawania?

Wykrzywiłem się do niego, nie zważając na kamery. - Romanse naukowo-przygodowe dotyczą właśnie naukowej rzeczywistości. Olimpijczycy zaś nie "zaprzestali" niczego; wynikły po prostu jakieś trudności techniczne, zapewne spowodowane zakłóceniami ze strony naszego własnego Słońca. Tak jak wspomniałem w jednym ze swych wcześniejszych romansów, Bogowie z radia, impulsy elektromagnetyczne są podatne na...

Przerwał mi. - Minęło już - spojrzał na zegarek - dwadzieścia dziewięć godzin, od kiedy zamilkli. Nie wygląda to na zwykłe trudności techniczne.

- Oczywiście, że to one. Nie ma żadnego powodu, by mieli "zaprzestać" nadawania. Przedstawiliśmy się im już jako istoty prawdziwie cywilizowane, po pierwsze dlatego, że rozwinęliśmy technikę, po drugie, ponieważ nie prowadzimy już wojen... to zresztą wyjaśniono już w pierwszym roku. Tak jak wspomniałem w swoim romansie Bogowie z radia...

Spojrzał na mnie z wyrzutem, potem odwrócił się i mrugnął do kamery. -

Pisarz nie potrafi mówić o niczym innym, tylko o swoich książkach, co? -

zauważył wesoło. - Ale wygląda na to, że nie lubi używać tej swojej bujnej wyobraźni, jeśli mu za to nie płacą. Proszę go tylko, żeby wyraził swój pogląd na to, dlaczego Olimpijczycy przestali nadawać, a on mi wciska tylko reklamówki.

Tak jakby istniał jeszcze jakiś inny powód udzielania wywiadów! - Słuchaj - powiedziałem dość ostro - jeśli nie potrafisz się odpowiednio zwracać do obywatela, nie mam zamiaru przedłużać tej rozmowy.

- Niech i tak będzie, stary - odrzekł zimno. Obrócił się do techników. -

Zatrzymajcie kamery - polecił. - Wracamy do studia. To tylko strata czasu. - I rozstaliśmy się w nastroju wzajemnej niechęci; i raz jeszcze zrobiłem coś, za co mój wydawca, chętnie by mnie zamordował.

Tego wieczoru przy kolacji Sam nie dał mi pociechy. - Jasne, to nieprzyjemny facet - powiedział - ale problem polega na tym, że niestety, ma rację.

- A więc naprawdę p r z e s t a 1 i?

Sam wzruszył ramionami. - Nie jesteśmy już na jednej linii ze Słońcem, więc to na pewno nie jest powód. Piekło, miałem nadzieję, że to jednak było to.

- Bardzo mi przykro, wuju Samie - odezwała się łagodnie Rachela. Ubrana była w prostą białą szatę, z wyglądu z hańskiego jedwabiu, bez żadnych ozdób. Naprawdę było jej w tym do twarzy. Moim zdaniem pod spodem tej szaty nie było nic poza znakomicie ukształtowanym damskim ciałem.

- Mnie też jest przykro - mruknął Sam. Troski jednak nie wpłynęły na jego apetyt. Zabierał się właśnie do pierwszego dania - rosółu z kury z jakimiś kawałkami ciasta - a mówiąc szczerze, ja też nie straciłem ochoty do jedzenia. Nawet gdyby Rachela była pełna wad, należało przyznać, że gotowała bardzo dobrze. Było to proste, domowe jedzenie, bez żadnych wybryków w rodzaju dzika nadziewanego zającem, nadziewanym z kolei kuropatwą, ale dobrze przygotowane i znakomicie podane przez służącego Bazylusza. - W każdym razie - powiedział Sam kończąc rosół - tam już wszystko.

- No więc dlaczego Olimpijczycy przestali nadawać? - zapytałem chcąc go skłonić do wyjawienia sekretu.

- Nie, nie! Mam na myśli twój romans, Jul. Mój pomysł ze światem alternatywnym. Jeśli nie chcesz pisać o odmiennej przyszłości, to może napisz- o odmiennej t e r a ż n i e j s z o ś c i?

Nie zdążyłem go spytać, o czym mówi; Rachela mnie uprzedziła. - Jest tylko jedna terażniejszość, drogi Samie - wskazała. Ja sam bym tego lepiej nie wyraził.

Sam jęknął. - Ciebie mi jeszcze brakowało - poskarżył się. - Mówię o nowej klasie romansów naukowych, kochanie.

- Nie czytam zbyt często romansów naukowych - usprawiedliwiła się tonem wcale nie usprawiedliwienia.

Nie zwrócił na to uwagi. - Jesteś historyczką, prawda? - Nie pofatygowala się, by to potwierdzić; wyraźnie historia wpłynęła na całe jej życie. - A gdyby tak historia poszła inną drogą?

Uśmiechnął się do nas tak szczęśliwy, jakby powiedział coś rozsądnego.

Żadne z nas jednak mu nie odpowiedziało uśmiechem. Rachela wskazała mu błąd w rozumowaniu. - Ale przecież nie poszła - powiedziała doń.

- Ale g d y b y! Nie jest to jedyna możliwa terażniejszość, lecz ta, która przypadkowo nastąpiła! Mogło być milion innych. Popatrzcie na wydarzenia z przeszłości, które mogły potoczyć się inaczej. Powiedzmy, że Anniusz

Publiusz nie odkrył Zachodnich Kontynentów w Roku Miasta 1820.

Powiedzmy, że cesarz Publiusz Terminus nie zadekretował programu podboju Kosmosu w roku 2122. Czy rozumiecie, do czego zmierzam? W jakim świecie rylibyśmy obecnie, gdyby to wszystko się nie stało?

Rachel otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale uratował ją służący. Stał w drzwiach z wyrazem niemej prośby na twarzy. Kiedy przeprosiła i wyszła, by sprawdzić, po co jest potrzebna w kuchni, musiałem zareagować ja. - Nigdy nie pisałem czegoś podobnego, Sam - powiedziałem. - I nie słyszałem, żeby ktoś inny pisał.

- Do tego właśnie zmierzam! Byłoby to coś zupełnie n o w e g o w twórczości romansów naukowych. Czy nie masz ochoty stać się pionierem nowego rodzaju opowieści?

Doświadczenie podsunęło mi odpowiedź. - Pionierzy rzadko zdobywają fortunę, Sam. - Spojrzał na mnie groźnie. - Sam mógłbyś to napisać - zaproponowałem.

Jego uraza przeszła w ponury nastrój. - Bardzo bym chciał. Ale dopóki ta sprawa z Olimpijczykami się nie wyjaśni, nie będę miał czasu na romanse naukowe. Nie, to twoje zadanie, Jul.

W tym momencie wróciła Rachelę, wyraźnie zadowolona z siebie, a za nią wszedł Bazylisz niosący wielką srebrną tacę z głównym daniem.

Sam od razu poweselał, podobnie jak ja. Główne danie było to całe pieczone koźlą; pojąłem, że Rachelę poproszono do kuchni po to, by sama zechciała udekorować jego małe różki girlandą kwiatów. Potem zjawiała się służąca z dzbanem wina, napełniając wszystkie puchary. Nie mieliśmy więc zbyt wiele możliwości konwersacji poza chwaleniem potrawy.

Potem Sam spojrzał na zegarek. - Wspaniała kolacja, Rachelo - powiedział - ale muszę wracać. - I co ty na to?

- Na co?

- Na propozycję pomocy biednemu Julowi w szukaniu jakichś historycznych kamieni milowych, które mógłby wykorzystać w swej opowieści?

Więc nie słyszał ani słowa z tego, co mu mówiłem. Zresztą nie musiałem zwracać mu na to uwagi, bo Rachelę wyglądała na zatroskaną. Powiedziała niepewnie: - Nie bardzo się znam na tych okresach, o których wspominałeś; czasach Publiusza Terminusa i tak dalej. Moją specjalnością jest epoka bezpośrednio po rządach cezara Augusta, kiedy to przywrócona została potęga Senatu.

- Znakomicie - powiedział Sam, wyraźnie zadowolony z siebie. - To tak samo dobry okres jak każdy inny. Zastanów się, jak mogłoby być teraz inaczej, gdyby jakieś drobne wydarzenie miało inny przebieg. Gdyby, powiedzmy,

August nie ożenił się z Liwią i nie zaadoptował jej syna Druzusa, który stał się następcą Augusta. - Obrócił się do mnie, jakby zachęcając, bym rozpalil ogień swej wyobraźni od iskry jego natchnienia. - Na pewno potrafisz dostrzec drzemiące w tym możliwości, Jul! Powiem ci, co masz zrobić. Jest jeszcze wcześniej; zabierz Rachelę na tańce albo co, napijcie się wina, posłuchaj tego, co ona mówi. Co w tym złego? Dwoje młodych ludzi powinno się cieszyć życiem!

Była to z pewnością najmądrzejsza propozycja Sama od paru dni. W każdym razie mnie się tak wydawało, a Rachela była na tyle posłuszną bratanicą, że postąpiła według rad stryja. Ponieważ byłem po raz pierwszy w Aleksandrii, to ona musiała zaproponować, dokąd pójdziemy. Po pierwszych kilku sugestiach poznałem, że lituje się nad moim portfelem. Nie mogłem na to pozwolić. Było nie było, wieczór z Rachelą w mieście był prawdopodobnie tańszy, a z pewnością o wiele ciekawszy niż wynajmowanie gospody i stolowanie się w restauracjach.

Wybraliśmy pewne miejsce w dzielnicy portowej, nie opodal falochronu. Był to obrotowy nocny lokal na szczycie gospody zbudowanej w stylu piramid. W miarę obracania się widzieliśmy światła Aleksandrii, prace portowe, potem samo otwarte morze z łagodnymi falami odbijającymi światło gwiazd.

Miałem zamiar szybko zapomnieć o koncepcji "światów alternatywnych", ale Rachela była bardziej obowiązkowa. Po pierwszym tańcu zaczęła: - Myślę, że mogę ci pomóc. Było coś, co wydarzyło się podczas panowania Druzusa...

- Czy musimy o tym teraz mówić? - zapytałem, napełniając jej kielich.

- Ale stryj Sam powiedział, że powinniśmy. Zdawało mi się, że chciałeś

spróbować sił w nowym typie romansu naukowego.

- Nie, to twój stryj tego chce. Widzisz, jest tu pewien problem. To prawda, że wydawcy zawsze żądają czegoś nowego i oryginalnego, ale jeśli jakiś autor będzie na tyle głupi, że spróbuje im coś takiego dać, oni tego nie rozpoznają. Kiedy proszą o rzeczy "oryginalne", mają na myśli rzeczy "oryginalnie" rutynowe.

- Uważam - poinformowała mnie z pewnością godną wyroczeni i o wiele bardziej składnie - że pomysły stryja są zazwyczaj dobre. - Nie chciałem się z nią spierać; nawet się nie sprzeciwiłem, przynajmniej otwarcie. Pozwoliłem jej się wypowiedzieć.

- Widzisz - mówiła Rachela - zajmuję się problemem przekazywania władzy we wczesnym okresie historii Cesarstwa Rzymskiego. Obecnie studiuje zagadnienie judejskiej diaspory, w okresie po panowaniu Druzusa. Sądzę, że wiesz, co się wówczas zdarzyło?

Prawdę mówiąc wiedziałem, choć niezbyt dokładnie. - Był to rok powstania w Judei, prawda?

Skinęła głową. Bardzo ładnie jej to wychodziło: jasne włosy wdzięcznie się przesuwały, a w oczach pojawiały się błyski. Widzisz, była to wielka tragedia dla Judejczyków i tak jak mówi mój stryj, wcale nie musiała się wydarzyć.

Gdyby namiestnik Tyberiusz żył wówczas, nie doszłoby do tego.

Zakaślałem. - Nie bardzo jestem pewien, kto to był Tyberiusz - powiedziałem ze skruchą.

- Był namiestnikiem Judei, i to bardzo dobrym. Był uczciwy i sprawiedliwy.

Był bratem cesarza Druzusa, tego, o którym mówił stryj, syna Liwii,

przysposobionego następcy cezara Augusta. Tego, co przywrócił władzę

Senatowi po okresie, gdy August zagarnął ją prawie w całości dla siebie.

Tyberiusz był w każdym razie najlepszym namiestnikiem, jakiego mieli

Judejczycy, podobnie jak Druzus był najlepszym cesarzem. Tyberiusz zmarł

rok przed powstaniem - mówią, że to z powodu zepsutych fig, które zjadł, choć

mogła to też zrobić jego żona Julia, córka Augusta z jego pierwszej żony...

Nadałem sygnał alarmowy. - Trochę mi się w głowie poplątało od tych imion

- przyznałem.

- Najważniejszy, którego trzeba zapamiętać, to Tyberiusz, a już ci mówiłam,

kim on był. Gdyby żył, powstanie zapewne by nie wybuchło. Wówczas nie

nastąpiłaby diaspora.

- Rozumiem - powiedziałem. - Zatańczymy?

Zmarszczyła brwi, a potem się uśmiechnęła. - Może to i nie jest zbyt ciekawy

temat... chyba że sam byłbyś Judejczykiem odparła. - Dobrze, chodźmy

tańczyć.

Był to do tej pory jej najlepszy pomysł. Dał mi okazję przekonania się za

pomocą palców o tym, co moje oczy, uszy i nos już mi zasugerowały: Rachela

była bardzo piękną, atrakcyjną młodą kobietą. Przed wyjściem z domu poszła

się przebrać, ale szczęśliwie nowa szata była tak samo miękka i przylegająca

do ciała, toteż moje dłonie rozkoszowały się delikatną przyjemnością dotyku

jej pleców i ramion. - Przepraszam - szepnąłem jej do ucha jeśli wydałem ci

się głupi. Naprawdę niewiele wiem o dawnych dziejach... o pierwszym

tysiącleciu od Założenia Miasta.

Taktownie nie zwróciła mi uwagi, że o n a to wie. Poruszała się wraz ze mną

w takt muzyki, z wyraźną przyjemnością; po chwili podniosła głowę. - Mam nowy pomysł -, oświadczyła. - Wracajmy do stolika. - I zanim jeszcze zeszliśmy z parkietu, już mówiła: - Porozmawiajmy o twoim przodku, Juliuszu Cezarze. Zawojował Egipt, właśnie tu, w Aleksandrii. Ale gdyby na odwrót, to Egipcjanie go pokonali, do czego zresztą niemal doszło?

Słuchałem jej teraz bardzo pilnie - a więc zainteresowała się mną na tyle, by zadać Samowi parę pytań o mojej przeszłości! - To niemożliwe - odpowiedziałem jej - Juliusz nigdy nie przegrał wojny. Zresztą... - ku swemu zdumieniu spostrzegłem, że zaczynam poważnie akceptować szalony pomysł Sama - coś takiego byłoby naprawdę trudno napisać, czyż nie? Gdyby Legiony zostały pokonane, obraz świata uległby całkowitej zmianie. Czy potrafisz sobie wyobrazić świat, który nie byłby rzymskim?

- Nie - odparła słodko - ale to raczej twoje zadanie, prawda?

Potrząsnąłem głową. - To zbyt idiotyczne - poskarżyłem się. - Czytelnicy by w to nie uwierzyli.

- Możesz spróbować, Juliuszu - odrzekła. - Widzisz, mamy tu interesującą możliwość. Druzus niemal nie dożył wstąpienia na tron cesarski. Został poważnie ranny w Galii, jeszcze za życia Augusta. Tyberiusz - pamiętasz Tyberiusza...

- Tak, tak, jego brata. Tego, który ci się podoba. Którego Druzus zrobił namiestnikiem Judei.

- To właśnie on. No więc Tyberiusz pędził konno dzień i noc, by sprowadzić Druzusowi najlepszych lekarzy z Rzymu. Zresztą i tak sprawa wisiała na włosku. Druzus ledwie to przeżył.

- Tak? - poddałem tonem zachęty. - I co wtedy?

Na jej twarzy pojawiła się niepewność. - Nie wiem co wtedy.

Dolałem jej wina. - Sądzę, że potrafię wymyślić jakąś kontynuację -

powiedziałem w głębokim zastanowieniu. - Szczególnie gdy pomożesz mi w szczegółach. Tyberiusz zapewne zostałby cesarzem w miejsce Druzusa.

Mówisz, że był to dobry człowiek; więc pewnie zrobiłby mniej więcej to samo,

co zrobił Druzus: przywrócił władzę Senatowi, po tym jak August i mój

szacowny praprzodek Juliusz uczynili Senat niemal bezrobotnym...

Zamilkłem nagle, zdumiony własnymi słowami. Zabrzmiało to tak, jakbym

zaczynał poważnie brać szalony pomysł Sama!

Z drugiej strony nie było to takie złe. Wyglądało również tak, jakby Rachela

zaczęła brać m n i e poważnie!

Poczułem się znacznie lepiej. Zachowałem dobry humor przez następne

tańce, a potem jeszcze przez co najmniej godzinę lekcji historii z uroczych

usteczek... aż do chwili, gdy po powrocie do domu przekradłem się na palcach

od drzwi mojego do jej pokoju i stwierdziłem, że na dywaniku przed wejściem

śpi jej służący Bazylisz z wielką, ciężką pałą u boku.

Źle spałem tej nocy.

Częściowo powodem były hormony. Moja głowa wiedziała, że Rachela nie

życzyłaby sobie, bym się zakradał do jej sypialni; inaczej nie umieściłaby na

drodze służącego. Ale moje gruczoły dokrewne wcale nie były szczęśliwe z

tego powodu. Poprzednio upajały się jej zapachem, widokiem i dotykiem, i

miały za złe, że im się sprzeciwno.

Najgorsze zaś było budzenie się co godzinę i rozmyślanie nad ruiną

finansową.

Nędza nie była jeszcze taka zła. Każdy pisarz musiał się nauczyć żyć w nędzy między kolejnymi wypłatami. ~To niewygodna, ale nie katastrofa. Za nędzę nie zostaje się niewolnikiem.

Ale gonilo mnie kilka dość pokaźnych rachunków. A za długi robi się z obywatela niewolnika.

Koniec marzeń

Następnego ranka obudzilem się późno i na kacu, więc musiałem wziąć trójkołowiec, by zawiózł mnie do domu Senatu Niższego.

Jechać dało się tylko powoli, tym wolniej, im bliżej celu. Widziałem, jak

Legion formuje się do utworzenia gwardii honorowej, gdy orszak faraonki

zbliżał się, by rozpocząć ceremonię. Kierujący trójkołowcem nie chciał

podwieźć mnie bliżej niż na rynek zewnętrzny, musiałem więc tłoczyć się

wśród turystów, obserwując, jak faraonka wysiada ze swej królewskiej

lektyki.

Rozległ się cichy odgłos zadowolenia, coś pomiędzy śmiechem i

westchnieniem. To był widok, który przyszli zobaczyć turyści. Napierali na

bariery utworzone z chronionych pochwami mieczy legionistów, podczas gdy

faraonka, z odkrytą głową i suknią ciągnącą się po ziemi, zbliżała się do

świątyń na zewnątrz budynku Senatu. Z należnym szacunkiem i bez

pośpiechu złożyła ofiarę, podczas gdy turyści błyskali aparatami

fotograficznymi, a ja zacząłem martwić się o czas. Co będzie, jeśli

ekumenicznie postanowi odwiedzić wszystkie pięćdziesiąt świątyń? Jednak

po zaliczeniu Izydy, Amona-Ra i Matki Nilu faraonka weszła do środka, by

otworzyć kongres. Legioniści odprężyli się nieco. Turyści zaczęli odpływać do swych autobusów, fotografując teraz siebie nawzajem, a ja wszedłem do wnętrza budynku.

Faraonka wygłosiła dobrą, to znaczy krótką mowę- wstępną. Problem polegał tylko na tym, że przemawiała głównie do pustych miejsc.

Wielka sala aleksandryjskiego Senatu Niższego mieści dwa tysiące osób.

Obecnie znajdowało się w niej nie więcej niż sto pięćdziesiąt, w większości stojących w małych grupkach z tyłu sali i w przejściach, zupełnie nie zwracających uwagi na ,mowę faraonki. Myślę, że spostrzegła to i dlatego skróciła swoje przemówienie. Jeszcze przed chwilą mówiła do nas, jak to badania naukowe zewnętrznego wszechświata całkowicie współgrają ze starożytnymi tradycjami Egiptu (czego nikt zupełnie nie słuchał), a w następnym momencie głos jej się nagle urwał i oto wręczała asyście swoje berło i jabłko. Krocząc dumnie, jak na monarchinię przystało, zeszła z podwyższenia i opuściła salę.

Pomruk rozmów nie ścichł prawie wcale. Wszyscy mówili oczywiście o Olimpijczykach. Nawet kiedy Prezydent Collegium wystąpił i ogłosił początek pierwszej sesji, sala. się nie wypełniła. Przynajmniej jednak większość spośród stojących usiadła - choć nadal w grupkach, a ich szepty nie milkły.

Nawet mówcy, jak się wydawało, nie wczuwali się zbyt w to, co mają do powiedzenia. Pierwszym z nich był honorowy Prezydent-Emeritus pochodzący z południowych gór Egiptu; dokonał on podsumowania wszystkiego, co wiemy o Olimpijczykach.

Swoje wystąpienie odczytał tak szybko, jakby dyktował je skrybie. Nie było

ono zanadto interesujące. Problem oczywiście polegał na tym, że mowa została przygotowana kilka dni wcześniej, gdy sygnały od Olimpijczyków wciąż nadchodziły i nikt się nie mógł spodziewać ich przerwania. Teraz to wszystko wydawało się już bez znaczenia.

W

kongresach

naukowych najbardziej

pociąga

mnie nie treść

prezentowanych referatów - te same informacje łatwiej i wygodniej można

znaleźć w czasopiśmie naukowych w dowolnej bibliotece. Nie chodzi nawet

o pytania i odpowiedzi po każdym wystąpieniu, choć tu można trafić na

smakowity kąsek. Nie, mnie najbardziej interesuje "dźwięk nauki", ów

swoisty skrótowy żargon używany przez uczonych, którzy mówią o swoich

specjalnościach. Zwykle więc siadam gdzieś z tyłu sali, z dala od wszystkich i

notuję rysikiem na tabliczce fragmenty rozmów, zastanawiając się

jednocześnie, jak je dopasować do mego najnowszego romansu naukowego.

Dziś nie było o tym mowy. Dyskusja w ogóle nie mogła ruszyć z miejsca.

Mówcy po kolei wstawali, odczytywali swe referaty, udzielali zdawkowych

odpowiedzi na kilka zdawkowych pytań, po czym pospiesznie opuszczali salę.

Po każdym takim wyjściu liczba obecnych malała; w końcu zdałem sobie

sprawę, że przyszli tu tylko ci, co przyjść musieli w celu prezentacji swych

wystąpień.

Kiedy z nudów postanowiłem, że bardziej niż tu siedzieć z wciąż pustą

tabliczką potrzebuję kielicha wina i czegoś na przekąskę, spostrzegłem, że nawet w kularach mało kto został. Nie zobaczyłem nikogo znajomego. Nikt nie wiedział, gdzie mogę znaleźć Sama. Po południu zaś Prezydent, ustępując przed nieuniknionym, ogłosił, że pozostałe sesje zostają zawieszane do odwołania.

Zmarnowałem ten dzień całkowicie.

Co się tyczy nocy, miałem więcej nadziei.

Rachela powitała mnie wieścią, że Sam przesłał wiadomość, iż coś go zatrzymało i nie zdąży na kolację.

- Czy powiadomił, gdzie jest? - Potrząsnęła głową. - Na pewno poszedł do kogoś ważnego - domyśliłem się. Opowiedziałem Racheli o niepowodzeniu kongresu. Potem wrócił mi humor. - Więc możemy gdzieś pójść coś zjeść - zaproponowałem.

Rachela stanowczo odmówiła. Miała dość taktu, by nie powiedzieć nic o pieniądzach, chociaż Sam z pewnością wprowadził ją w sekrety mojej delikatnej sytuacji finansowej. - O wiele bardziej lubię jedzenie przygotowane przez mojego kucharza niż to wszystko, co podają w restauracjach. - oświadczyła. - Zjemy kolację w domu. Nie będzie niczego fikuśnego, prosty posiłek dla nas dwojga.

Najbardziej podobało mi się to "dla nas dwojga". Bazylisz ustawił sofę w kształcie litery V, tak że oboje niemal stykaliśmy się głowami, mając pod ręką niskie stoliki, na których stawiano potrawy. Rachela zaraz po ułożeniu się na sofie oświadczyła: Nic dzisiaj nie zrobiłam. Nie mogłam wybić sobie z głowy tego twojego pomysłu.

Pomysł właściwie pochodził od Sama, ale nie widziałem potrzeby, by ją poprawiać. - Pochlebia mi to - powiedziałem. Szkoda tylko, że przeszkodziło ci to w pracy.

Wzruszyła ramionami i mówiła dalej: - Poczytałam sobie trochę o tamtym okresie, szczególnie o pewnej mało ważnej postaci, judejskim przywódcy religijnym zwanym Jezua z Nazaretu. Słyszałeś o nim? Większość ludzi nie słyszała, choć ów człowiek miał dość znaczną liczbę zwolenników. Nazywali siebie chrestianami; była to banda dzikusów, nic więcej.

- Niestety, niewiele wiem o historii Judei - odparłem, co było prawdą; potem jednak dodałem: - ale chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej - co już prawdą nie było, przynajmniej wówczas.

- Oczywiście - powiedziała Rachel. Bez wątpienia wydało się jej całkowicie naturalne to, że ktoś chce lepiej poznać czasy po panowaniu cesarza Augusta.

- No więc ów Jezua został postawiony przed sądem za wzniecanie buntów, po czym skazano go na śmierć.

Zamrugalem oczami. - Nie na niewolę?

Potrząsnęła głową. - Wówczas karano nie tylko niewoleniem, ale też karami fizycznymi. Nawet śmiercią i to często w niezwykle barbarzyński sposób. Ale

Tyberiusz, jako namiestnik, postanowił, że kara dla buntownika jest zbyt surowa. Złagodził więc wyrok; kazał wychłostać skazanego i wypuścił go.

Moim zdaniem była to bardzo mądra decyzja. Inaczej ów Jezua stałby się męczennikiem i bogowie tylko wiedzą, co nastąpiłoby potem. Tak natomiast chrestianie powoli się wykruszyli... Bazyliszu? Możesz wniesć następne danie.

Z zainteresowaniem przyglądałem się, jak Bazylisz wykonuje polecenie.

Okazało się, że podaje skowronki w oliwkach! Spodobało mi się to, nie tylko dlatego, że lubię tę potrawę. "Prosty posiłek" okazał się znacznie wykwintniejszy niż kolacja dla nas trojga poprzedniego wieczoru.

Sprawy szły coraz lepiej. - Możesz mi coś powiedzieć, Rachelo? - spytałem. -

Myślałem, że ty też jesteś Judejką.

- Oczywiście, że jestem.

- Trochę mnie to dziwi - przyznałem. - Myślałem, że Judejczycy wierzą w jednego boga Jahwe.

- Bo tak jest, Jul.

- Ale... - zawahałem się. Nie chciałem psuć tego, co się być może rodzi między nami, ale byłem ciekaw. - Powiedziałaś jednak "bogowie". Czy to nie sprzeczne z twoją wiarą?

- Ani trochę - odparła, bardzo spokojnie. - Nasz wielki prorok Mojżesz przyniósł nam przykazania Jahwe ze szczytu wielkiej góry; w tej sprawie wszystko jest jasne. Pierwsze przykazanie głosi: Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną". Rozumiesz? Jahwe jest naszym p i e r w s z y m bogiem. Nie ma żadnego p r z e d nim. To wszystko jest wyłożone w księgach rabinów.

- I wy ich słuchacie, tych ksiąg rabinów?

Zamyśliła się. - Na swój sposób. My jesteśmy tradycjonalistami, Jul.

Postępujemy wedle tradycji, a księgi rabinów po prostu je wyjaśniają.

Nie jadła już; ja też przestałem jeść. Wyciągnąłem dłoń, by pogłodzić ją po policzku.

Nie odsunęła się, ale i nie zareagowała przychylnie. Po chwili odezwała się,

nie patrząc na mnie: - Na przykład jest taka judejska tradycja, że kobieta musi być do ślubu dziewicą.

Moja ręka cofnęła się sama z siebie, bez żadnego polecenia z mojej strony. -

Tak?

- Księgi rabinów zaś precyzują te sprawy. Powiadają, że przez pierwszą godzinę każdej nocy na straży u drzwi niezamężnej córki musi stać pan domu.

Jeśli pan domu nie żyje, zadanie to powierza się zaufanemu niewolnikowi.

- Rozumiem - powiedziałem. - Nie miałaś dotąd męża, prawda?

- Jeszcze nie - odrzekła Rachela i zabrała się znowu do jedzenia.

Ja też nie byłem jeszcze żonaty, choć ściśle rzecz biorąc za dziewicę też nie

można byłoby mnie uznać. Chodziło jednak tylko o to, że życie autora

romansów naukowych trudno uważać za finansowo ustabilizowane, że nie

znalazłem jeszcze kobiety, z którą chciałbym spędzić życie... czy też, by

zacytować Rachelę, uważałem, że "jeszcze nie".

Próbowałem nie myśleć o tym. Jasne było, że o ile moja sytuacja finansowa

była przedtem delikatna, o tyle teraz zmieniła się w tragiczną.

Następnego ranka zastanawiałem się, co zrobić z całym dniem, ale Rachela

podjęła decyzję za mnie. Czekala w atrium. - Usiądź przy mnie, Jul - rozkazała

dotykając ławki obok siebie. - Długo nie spałam, rozmyślając, i sędzę, że mam

coś dla ciebie. Powiedzmy, że ten Jezua został jednak stracony.

Nie takiego powitania się spodziewałem; ani przez moment tematy dnia

wczorajszego nie przebiegły mi tego ranka przez głowę. Z przyjemnością

jednak siedziałem obok niej w tym uroczym ogródku, pod stonowanymi

promieniami wczesnego słońca padającymi na nas przez szyby ochronne. -

Tak? - odezwałem się niezobowiązująco, całując jej dłoń przy powitaniu.

Nie od razu zabrała rękę. - Ten pomysł daje parę ciekawych możliwości, Jul.

Jeszua zostałby męczennikiem, rozumiesz. Potrafię sobie doskonale

wyobrazić, że w takich okolicznościach jego chrestianie stworzyliby ruch o

wiele trwalszy. Mógłby on nawet zyskać istotne znaczenie. W tamtych czasach

w Judei zawsze panowało zamieszanie - pojawiały się prorocтва i pogłoski o

mesjaszach i zmianach w społeczeństwie. Chrestianie mogliby nawet

zdominować całą Judeę.

Próbowałem być taktowny. - Nie dziwię się twej dumie z przodków, Rachelo.

Ale w istocie, cóż to byłaby za różnica? Chyba jednak okazałem zbyt mało

taktu. Obróciła się ku mnie i dostrzegłem, że jej brwi zaczynają się marszczyć

surowo. Zacząłem szybko myśleć i spróbowałem taktyki obronnej: - Z drugiej

strony - powiedziałem szybko - przypuśćmy, że rozwinęłabyś tę teorię poza

Judeę.

Zmarszczka pojawiła się, wyrażając jednak bardziej zdziwienie niż gniew. -

Co to znaczy: poza Judeę?

- No, przypuśćmy, że ta judejsko-chrestiańska... jak to nazwać? Filozofia?

Religia?

- Myślę, że jedno i drugie po trochu.

- A więc filozofia religijna. Powiedzmy, że rozprzestrzeniłaby się po świecie,

nie tylko po Judei. To mogłoby być interesujące. - Ale nic takiego się nie sta...

- Rachelo, Rachelo - powiedziałem, delikatnie kładąc jej palec na ustach -

mówimy o tym, co by było gdyby, pamiętasz? Każdy twórca romansów

naukowych ma prawo do swego wielkiego kłamstwa. Powiedzmy, że to jest

moje kłamstwo. Powiedzmy; że ten chrestiano-judeizm stał się światową religią. Poddał się jej nawet Rzym. Może Miasto zostanie tym, no, jak się to nazywa, miejscem sanhedrynu chrestiano-judejczyków. I co się wówczas dzieje?

Ty mi powiedz - odparła, na wpół rozbawiona, na wpół podejrzliwa.

- No, wówczas - powiedziałem wysilając całą wyobraźnię wyszkolonego autora romansów - może powstać taka sytuacja, jaką opisywałaś mówiąc o dawnych czasach w Judei. Może cały świat podzieliliby się na części i sekty, które walczyłyby ze sobą. - **W w o j n a c h?** - zapytała z niedowierzaniem.

- **W w i e 1 k i c h wojnach.** Czemu nie? Coś takiego wydarzyło się w Judei, prawda? I walki trwałyby przez cały czas, aż do teraz. W końcu to Pax Romana utrzymuje cały świat w jedności od ponad dwóch tysięcy lat. Bez tego... No, bez tego - kontynuowałem coraz szybciej, robiąc w pamięci notatki z tego, co mówię - powiedzmy, że wszystkie plemiona Europy przemieniłyby się w niezależne miasta-państwa. Tak jak greckie, tylko większe. I potężniejsze. I walczyliby, Frankowie przeciwko Wikom z północy, przeciwko Belgom, przeciwko Keltom.

Rachela potrząsała głową. - Ludzie nie byliby tacy głupi zwróciła mi uwagę.

- A skąd to wiesz? Tak czy inaczej, to tylko romans naukowy, kochanie. - Nie zamilkłem, by sprawdzić, jak zareagowała na to, "kochanie". Mówilem dalej, nie pomijając jednak jej sprzeciwu: - Ludzie będą tacy głupi, jakimi ich wymyślę... póki będzie to do przyjęcia przez czytelników. Ale nie usłyszałaś jeszcze ode mnie najlepszego. Powiedzmy, że ci judejscy-chrestianie będą poważnie brali swoją religię. Nie zrobią niczego wbrew woli swego boga. To co

powiedział Jahwe, obowiązuje nadal, cokolwiek by się wydarzyło. Czy rozumiesz? Oznacza to, że ich w ogóle nie interesowałyby odkrycia naukowe na przykład.

- Nie, tego już za wiele! - przerwała mi, nagle oburzona. - Czy twoim zdaniem my Judejczycy nie interesujemy się nauką? Ja? Albo stryj Sam? A my z pewnością jesteśmy Judejczykami.

- Ale nie chrestianami, moja droga. To wielka różnica. Dlaczego? Ponieważ ja ją ustaliłem, a to moja opowieść. Chwileczkę więc - przerwałem na chwilę namysłu - no dobrze, powiedzmy, że chrestianie wchodzą w długi okres stagnacji intelektualnej i wówczas... - zamilkłem, nie dlatego, że nie wiedziałem, co dalej, ale dla spotęgowania efektu - i wówczas pojawiają się Olimpijczycy!

Spojrzała na mnie nie rozumując. - Tak? - odezwała się z zachętą, niezbyt wszakże entuzjastyczną.

- Nie rozumiesz? I wówczas ten chrestiański świat, pogrążony w ciemnocie, bez samolotów, bez radia, nawet bez prasy drukarskiej czy poduszkowca - nagle staje wobec przedstawicieli supertechnicznej cywilizacji z Kosmosu! - Rachela nadal marszczyła czoło, zapomniawszy o jedzeniu, próbując się domyślić, do czego zmierzam. - To straszny szok kulturowy - wyjaśniłem. - I nie tylko dla mieszkańców Ziemi. Możliwe, że Olimpijczycy przybywają, żeby się nam przyjrzeć, ale gdy zobaczą, że jesteśmy zacofani technicznie i podzieleni na wojujące ze sobą narody, to... to co zrobią? Oczywiście, że się stąd zabiorą, a nas pozostawią samym sobie! I to już koniec książki.

Wydęła wargi. - Możliwe, że teraz właśnie stało się coś takiego - powiedziała

ostrożnie.

- Ale z pewnością nie z tego powodu. Nie mówimy przecież o n a s z y m świecie. Mówimy o świecie w y m y ś l o n y m.

- Trochę poniosła cię fantazja - zauważyła Rachela.

- To moja specjalność - odparłem, zadowolony z siebie. Przecież nie wiesz, bo skąd masz wiedzieć, jak powstaje romans naukowy. Autor musi tu dać fantazji pole do popisu - do granic wiarygodności - aż trafi w takie miejsce, skąd jeden krok dalej sprawiłby, że całość rozpadłaby się jako wierutna bzdura. Zaufaj mi, Rachelo, potrafię sprawić, że czytelnicy mi uwierzą.

Nadal wydymała swe kształtne wargi, ale tym razem nie czekałem, aż się odezwie. Schwyciłem okazję w lot. Pochyliłem się ku niej i pocałowałem te cudne usta, tak jak już dawno chciałem zrobić. Potem powiedziałem do niej: - Muszę wyjść i nająć skrybę; powinienem to wszystko zapisać, nim zapomnę. Wrócę, jak najprędzej będę mógł, a tymczasem...

I znowu ją pocałowałem, łagodnie, mocno i długo; a Rachela szybko dała mi do zrozumienia, że oddaje mi pocałunek.

Sąsiedztwo z barakami dla niewolników ma swoje dobre strony. Szybko nająłem skrybę za niezbyt wysoką cenę, a zarządca targu wypożyczył mi nawet jedną z sal, w której mogłem dyktować. O świecie miałem już gotowe pierwsze dwa rozdziały i szkic dalszych do romansu pt. Podróż do świata chrestiańskiego.

Kiedy już zabrnę tak daleko w książkę, reszta nie sprawia mi większych trudności. Ogólna koncepcja została ustalona, postaci książki s~ mi dobrze znane i wystarczy przymknąć tylko na chwilę oczy, żeby zobaczyć, co stanie się

za chwilę, a potem podyktować to wszystko skrybie. W tym wypadku skrybom, gdyż pierwszy znużył się wczesnym przedpołudniem, musiałem więc nająć drugiego, a potem trzeciego.

Nie spałem ani chwili, dopóki całość nie została napisana. Zdaje się, że zajęło to pięćdziesiąt dwie godziny, najdłuższy od wielu lat okres pracy bez przerwy. Kiedy już było po wszystkim, zostawiłem tekst do przepisania.

Zarządca zgodził się zabrać to potem do biura spedycyjnego w porcie i wysłać ekspresem lotniczym do Marcusa w Londynie.

Po tym wszystkim powlokłem się do domu Racheli, by położyć się spać. Ze zdumieniem stwierdziłem, że jest jeszcze ciemno, mimo że do wschodu słońca pozostała zaledwie godzina.

Wpuścił mnie Bazylisz, który z zaskoczeniem przyjrzał się moim zapadniętym oczom i nieogolonej twarzy. - Nie budź mnie, dopóki sam nie wstanę - poleciłem. Obok łóżka leżała gazeta, ale nawet na nią nie spojrzałem. Położyłem się, raz się obróciłem i już mnie nie było.

Obudziłem się co najmniej po dwunastu godzinach. Poleciłem Bazyliszowi, by przyniósł mi coś do jedzenia i mnie ogolił; kiedy wreszcie zszedłem do atrium, był już prawie wieczór i Racheli czekała na mnie. Powiedziałem jej o swej pracy, a ona wspomniała o ostatnim komunikacie od Olimpijczyków. -

Ostatnim? zaoponowałem. - Skąd możesz wiedzieć, że to ostami?

- Bo tak powiedzieli - odparła ze smutkiem. - Stwierdzili, że zrywają wszelkie kontakty.

- Och - powiedziałem, myśląc o tym wszystkim. - Biedny Sam - to już z myślą o Flawiuszu Samuelusie. Racheli zaś była tak przygnębiona, że co miałem

zrobić, wziąłem ją w ramiona.

Pociechy przeszły w pocałunki i kiedy już mieliśmy ich za sobą wiele,

Rachela odsunęła się, uśmiechając się do mnie.

I znów, co robić, wyrwało mi się. Ze zdumieniem słuchałem tych słów, jak padają z moich ust: - Wiesz, Rachelo; dobrze by było, gdybyśmy się mogli pobrać.

Spojrzała na mnie z uczuciem i niejakim zaskoczeniem. - Czy to oświadczyły?

Bardzo uważałem na gramatykę. - To było zdanie warunkowe, kochanie.

Powiedziałem: "gdybyśmy się mogli pobrać".

- Zrozumiałam to. Teraz powiedz mi, czy chcesz, aby twoje życzenie się spełniło.

- Nie... piekło, tak! Ale najpierw życzyłbym sobie mieć prawo, by cię o to prosić. Autorzy romansów nie znajdują się w zbytnio solidnym położeniu finansowym, wiesz o tym. A ty przyzwyczajona jesteś do takich warunków...

- Za te warunki - przerwała mi - płacę z majątku pozostawionego mi przez ojca. Po ślubie to nie przepadnie:

- Ale to twój majątek, najdroższa. Bywałem głodny, ale nigdy nie stawałem się pasożytem.

- Nie będziesz pasożytem - przemówiła łagodnie, a ja zdałem sobie sprawę, że i ona dobrze uważa na gramatykę. Jednak musiałem okazać silną wolę. -

Rachelo - powiedziałem - mój wydawca powinien się wkrótce ze mną skontaktować. Jeśli przyjmie ten mój nowy romans naukowy... Jeśli będzie się dobrze sprzedawał...

- Tak? - ponagliła mnie.

- No to może wtedy będę mógł cię poprosić. Ale teraz tego nie wiem. Marcus pewnie już dostał przesyłkę, lecz chyba jeszcze nie przeczytał. I dopiero później poznam jego decyzję. A przy tym całym zamieszaniu z Olimpijczykami to może trwać całe tygodnie...

- Już - powiedziała Rachelą kładąc mi palec na ustach - ty zadzwoń do niego.

Wszystkie linie były zajęte bez przerwy, ale jakoś się przebiłem. I ponieważ była już pora poobiednia, Marcusa zastałem w biurze. Co więcej, był całkowicie trzeźwy. - Jul, ty draniu zawrzeszczał, naprawdę wściekły - gdzie się podziewałeś? Powinienem kazać cię wychłostać.

Nie wspominał jednak nic o edylach. - Czy przeczytałeś już Podróż do świata chrześcijańskiego? - zapytałem.

- Podróż? Och, tamto. Nie, nawet na to nie spojrzałem. Oczywiście, że to kupię, ale teraz chodzi mi o Oślą Olimpiadę. Cenzorzy nie będą już tego wstrzymywać, rozumiesz. Prawdę mówiąc, będziesz musiał to teraz trochę przerobić, dodać temu Olimpijczykowi trochę głupoty, trochę złego charakteru. To będzie wielka rzecz, Jul! Myślę, że wyjdzie z tego nawet audycja. Kiedy, możesz tu być i się do tego zabrać?

- No... Myślę, że wkrótce, ale jeszcze nie sprawdziłem rozkładu poduszkowców... ,

- A tam, z poduszkowcami! Wracasz tu zaraz samolotem pokryjemy rachunek. A przy okazji: podwoiliśmy ci zaliczkę. Pieniądze będą na twoim rachunku dziś po południu.

A dziesięć minut później, gdy już bezwarunkowo oświadczyłem się Racheli,

ona szybko i równie bezwarunkowo przyjęła moje oświadczenia; i choć lot do Londynu trwa dziewięć godzin, cały czas w samolocie byłem uśmiechnięty.

Jak to jest, gdy się wygrywa los na loterii

Praca pisarza daje pewien rodzaj swobody. Może nie w kwestii finansowej, ale za to w wielu innych aspektach. Nie trzeba co dzień chodzić do biura, a poza tym jak to miło, gdy siedzisz w poduszkowcu czy pociągu i widzisz, jak zupełnie obcy człowiek czyta twoje własne słowa. Natomiast gdy stajesz się autorem potencjalnej rewelacji, sprawy przybierają całkowicie inny obrót.

Marcus umieścił mnie w gospodzie sąsiadującej z biurami wydawnictwa, i sterczał tam nade mną, podczas gdy ja przeistaczałem swego wymyślonego Olimpijczyka w najbardziej tępego, nieudolnego, obrzydliwego typu, jakiego widział Wszechświat. Im bardziej pogardliwie komiczny stawał się

Olimpijczyk, tym więcej podobał się on Marcusowi. Tak samo wszystkim pozostałym pracownikom wydawnictwa; podobnie kierownikom filii wydawnictwa w Kijowie, Manahattanie, Kalkucie i jeszcze paru miastach na całym świecie; Marcus poinformował mnie z dumą, że moja książka ukazuje się jednocześnie w tych wszystkich miejscach. - Będziemy z tym pierwsi na świecie, Jul! - entuzjasmował się. - To kopalnia złota! Pieniądze? Jasne, że dam ci więcej pieniędzy; jesteś na fali. - Oczywiście stacje telewizyjne były też zainteresowane; do tego stopnia, że podpisały umowy nawet jeszcze przed zakończeniem poprawek. Równie napalone były gazety, które wysyłały do mnie dziennikarzy każdej minuty, którą miałem wolną od poprawek, korekty, pozowania do fotografii na obwolutę i umawiania się na spotkania autorskie; w sumie nie było nawet okazji swobodnie odetchnąć, dopóki nie znalazłem się

znowu na pokładzie samolotu, tym razem w drodze do Aleksandrii i do mojej narzeczonej.

Sam spotkał mnie na lotnisku. Wyglądał na starszego i bardziej zmęczonego, a przy tym zrezygnowanego. Kiedy jechaliśmy do domu Racheli, gdzie goście weselni zaczęli się już gromadzić, próbowałem go rozweselić. Ja miałem w sobie wiele radości; chciałem się nią podzielić. Powiedziałem więc na próbę: Przynajmniej będziesz teraz mógł wrócić do swej prawdziwej pracy.

Popatrzył na mnie dziwnie. - Do pisania romansów naukowych? - zapytał.

- Nie, oczywiście, że nie! To robota dla mnie, ale ty przecież masz swoją sondę międzygwiazdną; a więc roboty ci wystarczy. - Jul - powiedział smutno - gdzieś ty się podziewał? Nie znasz ostatniego komunikatu Olimpijczyków?

- Oczywiście, że znam - odrzekłem urażony. - Przecież wszyscy znają. -

Wówczas zastanowiłem się przez chwilę i wyszło mi, że to właściwie Racheli opowiedziała mi o nim; sam go nie widziałem na piśmie. - Byłem bardzo zajęty - zakończyłem niezręcznie.

Sam posmutniał jeszcze bardziej. - Więc pewnie nie wiesz, że oni stwierdzili, iż nie tylko przerywają swoje sygnały do nas, ale i wyłączają nasze próbniki.

- O nie, Sam! O tym, że próbniki nie nadają, na pewno bym wiedział.

- Nie wiedziałbyś - cierpliwie wyjaśnił Sam - ponieważ ich sygnały jeszcze do nas nadchodzą i tak będzie jeszcze przez parę lat. Ale to już koniec.

Wyrzucono nas z przestrzeni międzygwiazdnej; nie chcą nas tam.

Przerwał; wyjrzał przez okno. - I tak to jest - zakończył. Jednak teraz

jesteśmy tutaj i lepiej wejść do środka. Racheli nie powinna długo siedzieć sama pod baldachimem ślubnym.

Jeśli autor ciesząc się powodzeniem książki lubi podróże, to bardzo odpowiada mu taka sytuacja, w której on jeździ po całym świecie, a kto inny płaci za bilety. Dział reklamy Marcusa załatwił wszystko. Spotkania autorskie, autografy w księgarniach, wykłady akademickie, audycje, spotkania z wydawcami, przyjęcia; wszystko to trwało dobry miesiąc - całkiem przyzwoity miesiąc miodowy.

Oczywiście każdy miesiąc miodowy byłby uroczy z taką żoną jak Rachela, ale gdyby wydawcy nie płacili za wszystko, nie mielibyśmy możliwości odwiedzenia sześciu czy siedmiu kontynentów (na Polaris Australis nie pojechalibyśmy; nie ma tam nic prócz pingwinów). A po drodze zatrzymywaliśmy się tu i tam: na plażach Hindii i wyspach Hanu, we wspaniałych sklepach Manahattanu i kilkunastu innych miastach Zachodnich Kontynentów. Byliśmy wszędzie.

Kiedy wróciliśmy do Aleksandrii, budowniczowie zakończyli już przebudowę domu Racheli - który, jak ustaliliśmy, miał odtąd być naszym domem na zimę, choć najważniejsze teraz było znalezienie odpowiedniego domu w Londynie na sezon letni. Sam ponownie zamieszkał w domu Racheli i wraz z Bazyliszem powitał nas uroczyście u drzwi.

- Myślałem, że będziesz w Rzymie - powiedziałem do niego, gdy już usiedliśmy, a Rachela poszła sprawdzić, jak teraz wygląda łaźnia.

- Nie pojedę tam, dopóki nie ustalę, jaka była przyczyna odparł. - Badania trwają właśnie tu; stąd nadawaliśmy.

Wzruszyłem ramionami i pociągnąłem łyk wina, które postawił przed nami Bazylisz. Spojrzałem na puchar pod światło; wino nieco zmętniało, z

pewnością zbyt długo stało w stągwiach. I nagle uśmiechnąłem się: jeszcze kilka tygodni temu wdzięczny byłbym nawet za taki trunek. - Przecież wiemy, jaka była przyczyna - rzekłem. - Oni postanowili, że nie jesteśmy dla nich partnerami.

- Oczywiście, że tak - zachnął się - ale dlaczego? Próbowałem ustalić, które z naszych sygnałów otrzymywali bezpośrednio przed zerwaniem kontaktu.

- Sądzisz, że czymś ich urażiliśmy?

Podrapał się w miejscu, gdzie na łysinie miał plamę. Spojrzał na mnie, a potem westchnął. - A co t y byś pomyślał, Jul?

- No, może i tak - przyznałem. - Więc co to były za sygnały?

- Nie mam pewności. Musiałem się sporo namęczyć. Jak wiesz, Olimpijczycy potwierdzali przyjęcie każdego komunikatu przez powtórzenie ostatnich stu czterdziesta grup...

- Nie wiedziałem tego.

- Tak było. Ostatnim potwierdzonym komunikatem była historia Rzymu.

Niestety, liczyła sobie aż sześćset pięćdziesiąt słów. - I musicie przeczytać całą historię?

- Nie tylko p r z e c z y t a ć, Jul; musimy spróbować ustalić, co w nim było takiego, czego nie nadawaliśmy wcześniej. Dwie albo i trzy setki badaczy porównuje wszystkie poprzednie komunikaty i jak dotąd okazuje się, że nowe są tylko pewne dane socjologiczne. Przekazywaliśmy dane ze spisu powszechnego: tylu żołnierzy, tylu obywateli, tylu wyzwoleńców, tylu niewolników. Zawahał się; potem dodał z namysłem: - Paulus Magnus, nie wiem, czy go znasz, to Algonkin, wskazał, że w rym komunikacie po raz

pierwszy wspomnieliśmy o niewolnictwie.

Przerwał; przez chwilę czekałem na ciąg dalszy, potem powiedziałem: - Tak?

- tonem zachęty.

Wzruszył ramionami. - Nic. Paulus jest sam niewolnikiem, więc oczywiście to jego obsesja.

- Nie bardzo rozumiem, co niewolnictwo miałoby z tym wspólnego - zauważyłem. - Nie ma nic innego?

- Och, tysiące teorii - rzekł. - W komunikacie tym były też dane medyczne, toteż niektórzy myślą, że Olimpijczycy nagle przestraszyli się możliwości, że zaatakuje ich jakiś nieznany im mikroorganizm. A może nie byliśmy zbyt uprzejmi. Może też, kto to wie, toczy się wśród nich jakaś walka o władzę i ostatnio zwyciężył ten odłam, który jest przeciwny wprowadzaniu nowych ras do ich społeczności.

- I nie wiemy w końcu, co to było?

- Gorzej, Jul - powiedział ponuro. - Myślę, że nigdy się nie dowiemy, co sprawiło, że odechciało się im kontaktów z nami. I tu również widać, jak mądrym człowiekiem był Flawiusz Samuelus ben Samuelus. Dlatego, że istotnie, nigdy się tego nie dowiedzieliśmy.

przekład : Wiktor Bukato

Dajmy szansę mrówkom

Trzygodzinna Wojna nie oszczędziła Detroit, ale oszczędziła Gordy'ego; gdy spadły bomby, jechał właśnie z teczką pełną planów i szkiców do Waszyngtonu.

Jego żona została w mieście i nie znaleziono później nawet śladu jej ciała.

Dzieci, oczywiście, nie miały aż tyle szczęścia. Ich letni obóz znajdował się mniej niż dwadzieścia mil od miasta i tak się niefortunnie złożyło, że wiatr w tych okolicach wiał przeważnie w tym właśnie kierunku. Pozostał im miesiąc życia, lecz do ostatnich jego dni nie czuły żadnego bólu. Sięć połączeń lotniczych ogarnęło istne szaleństwo, ale Gordy'emu udało się jakoś do nich dotrzeć. Mimo iż on wiedział, a one domyślały się, że z pewnością umrą na chorobę popromienną, to i tak pozostał im cały błogosławiony tydzień, który mogli spędzić razem, aż wreszcie ból stał się nie do wytrzymania.

Przez cały następny rok Gordy właściwie nikogo więcej nie widział.

Gdy tylko spadło skażenie, wrócił do Detroit. Było to jedyne miejsce, do którego miał po co wracać. Znalazł sobie dom na obrzeżu miasta i próbował odszukać kogoś, od kogo mógłby go kupić. Ci ze Sztabu Kryzysowego wyśmiali go. "Wprowadzaj się, jeśli jesteś na tyle szalony, żeby tu zostać".

Gdy Gordy myślał o tym wszystkim, to wydawało mu się, że wtedy był w stanie szoku. Jego subtelny, wyćwiczony umysł jakby przestał działać. Gordy jadł i spał, a gdy robiło się chłodno, drżał z zimna i rozpalał ognisko. I nic ponadto. Dwa czy trzy razy pisało do niego Ministerstwo Wojny, aż wreszcie zjawił się jakiś człowiek z rządu, by dowiedzieć się, co się stało z tym, co Gordy obiecał przywieźć do Waszyngtonu. Przyjrzał się podejrzliwie różowej, bezwłosej myszy, posilającej się spokojnie w obskurnej kuchni i starał się zaledwie zbliżyć do zarośniętej twarzy i podartego ubrania Gordy'ego.

- Panie Gordy, przysłał mnie tutaj minister - zaczął. - Jest osobiście zainteresowany pańskim odkryciem.

Gordy potrząsnął głową.

- Minister nie żyje - powiedział. - Oni tam wszyscy zginęli, kiedy rozniosło Waszyngton.

- Mamy nowego ministra - wyjaśnił gość. Zaciągnął się papierosem, po czym rzucił go na grządkę, którą Gordy pracowicie próbował przekształcić w warzywnik. - Nazywa się Arnold Cavanagh. Wie o panu bardzo dużo, a mnie powiedział: , jeśli Salva Gordy ma jakąś broń, to musimy ją mieć. Nasza potęga przestała istnieć. Po wiedz Gordy'emu, że potrzebujemy jego pomocy". Gordy skrzyżował ręce jak wychudły Budda.

- Nie ma żadnej broni - powiedział.

- Ma pan coś, co może być jako broń wykorzystane. Pisał pan przecież przed wojną do Waszyngtonu...

- Teraz jest po wojnie - odparł Salva Gordy. Wysłannik rządu westchnął i spróbował raz jeszcze, ale w końcu sobie poszedł. Więcej już nie wrócił. "Po raporcie, jaki złożyłem - pomyślał Gordy - całe to odkrycie musiało zostać zewidencjonowane jako jakiś stuknięty pomysł". Tak też zresztą było w istocie.

W maju pojawił się John de Terry. Gordy kopał właśnie w ogródku, kiedy jakiś głos zza jego pleców powiedział:

- Daj mi coś do jedzenia.

Salva Gordy odwrócił się i ujrzał małego, brudnego człowieczka. Otarł sobie usta wierzchem dłoni.

- Będziesz musiał na to zapracować - powiedział.

- W porządku - przybysz postawił na ziemi swój bagaż. - Nazywam się John de Terry. Kiedyś mieszkalem w Detroit.

- Ja też - odparł Salva Gordy.

Nakarmił człowieczka, a po posiłku przyjął zaoferowanego mu papierosa.

Po pierwszych dymkach zakręciło mu się trochę w głowie - sporo czasu minęło od chwili, kiedy po raz ostatni miał okazję zapalić - i spojrzął na Johna de Terry'ego dość przyjaznym okiem. "Dobrze by mieć towarzystwo" -- pomyślał. Co prawda różowe myszy też stanowiły swego rodzaju towarzystwo; okazało się jednak, że mutacja, która uczyniła je bezwłosymi, nauczyła je także lubić miso. Gdy pewnego ranka znalazł na nodze ślady drobnych ząbków, był zmuszony je wytępić. od tego czasu nie spotkał żadnych innych zwierząt; tylko mrówki.

- Masz zamiar tu zostać? - zapytał Gordy.

- Jeżeli można. Jak się nazywasz?

Gdy Gordy przedstawił się, oczy de Terry'ego straciły częściowo swój zwierzęcy wyraz, w miejsce którego pojawiło się zdumienie.

- D o k t o r Salva Gordy? - spytał. - Matematyk i fizyk z Pasadeny?

- Owszem, kiedyś tam wykladałem.

- A ja studiowałem. - John de Terry w milczeniu skubał swe zniszczone ubranie. - To było dawno temu. Nie znałeś mnie, bo specjalizowałem się w biologii. Ale ja cię znałem.

Gordy podniósł się i ostrożnie odłożył niedopalek papierosa.

- To zbyt dawne czasy, żebym miał cokolwiek pamiętać. Może byśmy porobili coś w ogródku?

Razem więc pocili się w wiosennym, popołudniowym słońcu i Gordy przekonał się, że to, co stanowiło ciężkie zadanie dla jednego, dwóm nie

sprawiało większych kłopotów. Dotarli do końca działki nim jeszcze słońce

dotknęło horyzontu. John de Terry ciężko dysząc oparł się na szpadlu.

Wskazał na wybujałą gęstwinę sąsiadującą z poletkiem Gordy'ego.

- Można by powiększyć ogród - powiedział., - Oczyszczyć ten śmietnik i mieć więcej żywności. Moglibyśmy nawet... - dostrzegł, że Gordy cały czas kręci głową.

- Nie dasz rady tego oczyścić - odparł Gordy. - Niby to zwykła trawa, ale bardzo wyrośnięta i o szalenie mocnych korzeniach. Nawet ściąć jej nie mogę. Jest tu wszędzie dookoła i robi. jej się coraz więcej.

- Mutacja? - skrzywił się de Terry.

- Tak sędzę. Popatrz jeszcze na to... - Gordy skinął na małego człowieczka i zaprowadził go na sam skraj oczyszczonego terenu. Schylił się i podniósł coś czerwonego, co wilo się i skręcało między jego kciukiem a palcem wskazującym. De Terry wziął to od niego.

- Też mutacja? - przyjrzał się temu czemuś z bliska. - Wygląda właściwie jak mrówka - powiedział. - Może tylko... Tak, tułów jest niezupełnie w porządku. W dodatku miękki.

Zamilkł, pogrążony w dokładnym badaniu. Wreszcie mruknął coś pod nosem i zrzucił owada na ziemię.

- Nie masz pewnie mikroskopu? Nie... Wiesz, trudno w to uwierzyć. Niby to mrówka, ale wydaje się w ogóle nie mieć tchawek. A więc musi to być jednak coś innego.

- Wszystko jest inne - powiedział Gordy. Wskazał na kilka zapuszczonych grządek. - Miałem tam marchew. A przynajmniej myślałem, że to marchew,

bo po próbowaniu rozchorowałem się. Westchnął ciężko. - Ludzkość miała swoją szans,

John. Bomba atomowa nie wystarczyła, każda rzecz musiała zostać zamieniona w narzędzie do zabijania. Nawet ja zrobiłem broń z czegoś, co z wojną nie miało nic wspólnego. I wszystkie te nasze arsenały wybuchły nam nagle prosto w twarz.

De 'Terry uśmiechną się.

- Może mrówki będą miały więcej szczęścia. Teraz ich kolej.

- Chciałbym, żeby tak było. - Gordy pogrzebał w ziemi przy wejściu do podziemnego mrowiska i obserwował skonsternowane owady. - Obawiam się jednak, że są za małe.

- Dlaczego? Te mrówki są inne, doktorze Gordy. Owady nie osiągnęły nigdy znacznych rozmiarów, ponieważ nie pozwalał im na to ich sposób oddychania. Ale te mrówki to mutanci. Sądzę... Sądzę, że już mają płuca. One mogą rosnać, doktorze Gordy. A gdyby osiągnęły rozmiary człowieka, opanowałyby świat.

Oczy Gordy'ego zablysły.

- Płucodyszne mrówki! Może i opanują świat, John. Może, gdy ludzkość unicestwi się ostatecznie w następnym wielkim BUM!...

De Terry potrząsnął głową, po raz kolejny obrzucając spojrzeniem swe brudne, zlachmanione ubranie.

- Następnego BUM będzie także ostatnim - powiedział. - Te mrówki pojawiły się o miliony lat za późno.

Podniósł swój szpadel.

- Znów jestem głodny, doktorze Gordy.

Wrócili do domu i w milczeniu coś przekąsili. Gordy był czymś zaabsorbowany, a de Terry nie czuł się jeszcze na tyle u siebie, żeby zmuszać go do rozmowy.

Skończyli o zachodzie słońca i Gordy uniósł się już, by zapalić lampę, ale nie zrobił tego.

- To twoja pierwsza noc w tym domu, John - powiedział. - Zejdźmy do piwnicy. Uruchomimy generator i dla uczczenia twego przybycia zapalimy prawdziwe, elektryczne światło.

Po omacku zeszli piętro niżej. Przy blasku świecy zajęli się dawno nie używanym, benzynowym generatorem. Z początku nie chciał zapalić, ale gdy już raz zaskoczył, pracował bez zarzutu.

- Sam go wyremontowałem - wyjaśnił Gordy. - Ten generator... i to jeszcze. - Wyciągnął ręką w stronę kąta piwnicy. - Jak ci powiedziałem, wynalazłem pewien rodzaj broni - powiedział. - Oto on.

De Terry spojrział we wskazanym kierunku. Ujrzał coś, co mogło być jakąś klatką albo i czymkolwiek innym. Miało wysokość człowieka i kształt niemal dokładnego sześcianu.

- Jak to działa? - zapytał.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy Salva Gordy uśmiechnął się.

- Nie potrafię ci tego wyjaśnić po angielsku - powiedział - a wątpię, czy zrozumiesz język matematyki. Najbliższe prawdy będzie wyjaśnienie, że gdy to coś działa, przemieszczeniu ulegają koordynaty czasowe. Czy to aby nie brzmi jak żargon?

- Owszem, brzmi - odparł de Terry. - Jak to działa?

- No cóż, ministerstwo wojny znalazło dla tego czegoś nazwę zapożyczoną od H.G. Wellsa. Ochrzcili to "wehikulem czasu". - Spokojnie wytrzymał wstrząśnięte, zdumione spojrzenie de Terry'ego. - Widzisz, John, jeżeli chcesz, to możemy jednak dać tym mrówkom szansę.

Czternaście godzin później akumulatory klatki były naładowane, tajemniczy silnik mrucał cichutko, weszli do niej... wyszli czterdzieści milionów lat wcześniej na drżącą, wilgotną ziemię.

Gordy poczuł nagle, że trzęsie się jak galareta; z wysiłkiem zdołał nad tym zapanować.

- W polu widzenia żadnych tygrysów szablozębnych ani dinozaurów - oznajmił

- Przynajmniej na razie - zgodził się de Terry. A potem: - O mój Boże!

Rozglądał się dookoła z szeroko otwartymi ustami. Powietrze, ciepłe i wilgotne, stało bez ruchu. Dokoła nich rosły ciasno drzewa - albo coś, co wyglądało jak drzewa. De Terry doszedł do wniosku, że były to raczej jakieś paprocie nasienne lub grzyby.

W górze wisiały gęste chmury.

Ciałem Gordy'ego wstrząsnął dreszcz.

- Daj te mrówki - rzucił.

De Terry podał mu je w milczeniu. Gordy zrobił w miękkiej ziemi dziurę palcem i ostrożnie przechylił buteleczko, wypuszczając jedną z wygrzebanych za domem królowych. Tułów miała oblepiony masą jajeczek. Kilka metrów dalej - powinien to zrobić w większej odległości, ale bał się zbyt oddalać od

de Terry'ego i maszyny - zrobił drugą dziurę i powtórzył całą operację.

Przywieźli ze sobą osiem królowych. Gdy ósma znalazła się już w ziemi, wyrzucił butelkę i wrócił do de Terry'ego.

- Zrobione - oznajmił.

De Terry westchnął z ulgą. Na jego poważnej twarzy pojawił się niespodziewanie zakłopotany uśmiech.

- Chyba... Chyba czuję się jak Bóg - powiedział. - Dobry Boże, doktorze

Gordy! Wszystkie te wielkie, historyczne wydarzenia - mamy je tutaj !

Zastanawiam się nad tym i jedyne, co przychodzi mi na myśl, a co może się z tym równać - to Potop. Albo i to nie.

Stworzyliśmy nowe życie!

- Owszem, jeśli uda im się przetrwać - Gordy starł kropło wilgoci, jaka osadziła się na ściance wehikułu i westchnął. - Ciekaw jestem, jak sobie ułożą stosunki z ludźmi.

Zamilkli na chwilę, pogrążeni we własnych myślach. Gdzieś w dżungli rozległ się ochryply wrzask jakiegoś zwierzęcia. Obaj mężczyźni rozejrzeli się z niepokojem, ale sekundy mijały i nic się nie pokazało.

Wreszcie odezwał się de Terry.

- Może już byśmy wracali.

- W porządku.

Z trudem wpełnęli się do nie przekraczającego rozmiarów szafy wnętrza wehikułu czasu. Gordy , z dłonią na kole sterowniczym, myślał o mrówkach. Przypuśćmy, że przeżyją, przypuśćmy, że przez 40 000 000 lat urosną i wykształcą mózgi - co wtedy nastąpi? Czy ludzie będą potrafili żyć z nimi w

zgodzie? Czy nie spowoduje to - czy nie mogłoby to spowodować, że ludzie, zjednoczeni przeciwko obcej rasie, poczuliby się braćmi? Może wtedy nie doszłoby do wojny między ludźmi i - tutaj jego myśli obrały już zupełnie szalony kierunek - może nie wybuchłaby ta wojna, która zabiła jego rodzinę? Z tyłu de Terry poruszył się niecierpliwie. Gordy ocknął się, zakręcił kołem i znalazł się w mrocznym matematycznym wirze, który może nawet i był czwartym wymiarem.

Zatrzymali wehikul w środku miasta, ale to nie było Detroit, ani w ogóle żadne ludzkie miasto.

Wehikul zablokował pół wąskiej uliczki. Dokoła wznosiły się, niektóre sięgające trzydziestu metrów, stożkowate budowle z metalu. Ulicą poruszały się jakieś pojazdy, z których jeden zbliżył się do nich i stanął.

- Doktorze Gordy - szepnął de Terry - widzi je pan?

Salva Gordy przełknął ślinę.

- Widzę - odpowiedział.

Wyszedł z maszyny i stanął, czekając na spotkanie z istotami, którym dał życie. W trzykołowym pojeździe znajdowali się bowiem potomkowie mrówek.

Widział to dokładnie przez przezroczystą przednią szybę.

De Terry stanął tuż za nim i Gordy czuł, że jego młodszy towarzysz drży.

- Są dość nieprzyjemne - zauważył oględnie Gordy.

- Nieprzyjemne? Są ohydne!

Mrówkopodobne stworzenia były wzrostu człowieka, ale wyglądały groźnie i równie szkaradnie jak karaluchy. Ich oczy, jak spostrzegł ze zdziwieniem Gordy, zmieniły się znacznie bardziej niż ciała. Zamiast siatki oczek prostych

miały tęczę, rogówkę i źrenicę - nie okrągłą, nie pionową, jak kot, ani nie poziomą jak koń, lecz nieregularną i rozlaną jak plama atramentu. Oczy te przypominały jednak oczy kręgowców, choć na tle pergaminowej czerni guzowatej, owadziej głowy wyglądały dziwnie i nienaturalnie.

Gordy postąpił krok naprzód i jednocześnie mrówki opuściły swój pojazd.

Przez moment mrówki i ludzie stali naprzeciw siebie w milczeniu.

- Co mam teraz robić? - zapytał przez ramię de Terry'ego.

De Terry roześmiał się - albo ciężko westchnął. Gordy nie był pewien.

- Porozmawiać sobie z nimi - odparł. - Co innego jest tu do roboty?

Gordy przetknął ślinę. Nie próbował nawet przemawiać do tych stworzeń po angielsku, bo wiedział na pewno, że angielski, a prawdopodobnie i każdy inny język oparty na dźwiękach będzie

dla nich całkowicie niezrozumiały. Uśmiechnął się więc przyjaźnie, ale było to, rzecz jasna, równie mało warte. Mrówki bowiem, o ile mógł się zorientować, nie operowały w ogóle mimiką i nie zetknęły się dotąd z niczym, co pomogłoby im zinterpretować uśmiech na twarzy człowieka. . .

Gordy uniósł dłoń w semantycznie oczywistym geście pokoju i czekał, co zrobią owady.

Nie zrobiły nic.

Zacisnął wargi i czując się jak idiota, uklonił im się sztywno.

Mrówki nie zareagowały. Z tyłu odezwał się de Terry.

- Niech pan spróbuje coś do nich powiedzieć, doktorze Gordy.

- To nie ma sensu - odparł Gordy. - One nie słyszą.

Miało to jednak równie mało sensu, jak i cokolwiek innego. Zirytowany, ale

starając się wyraźnie wymawiać poszczególne słowa, powiedział:

- Jesteśmy... przyjaciółmi.

Mrówki nawet nie drgnęły. Stały po prostu z wlepionymi w Gordy'ego swymi nieruchomymi oczami. Nie przestępowały, jak to czynią ludzie, z nogi na nogę, nie drapały się, nie widać było po nich jak oddychają. Po prostu stały.

- O rany - odezwał się de Terry. - Teraz ja spróbuję.

Wysunął się przed Gordy'ego i stanął twarzą w twarz z mrówkopodobnymi istotami. Wskazał na siebie.

- Jestem człowiekiem - powiedział. - Ssakiem. Wy - wskazał teraz na mrówki

- jesteście owadami. To - pokazał w stronę wehikułu czasu - zawiozło nas w przeszłość, gdzie sprawiliśmy, że mógł powstać wasz gatunek. - Czekał na reakcję, ale żadna nie nastąpiła. Klasnął językiem i zaczął jeszcze raz.

- To jest wasze miasto - wskazał na spiczaste budowle. Słuchając go Gordy czuł beznadziejność ich wysiłków.

Coś zwichrzyło mu włosy z tyłu głowy. Sięgnął odruchowo ręką, by je przygładzić, lecz jego dłoń zatrzymała się na czymś twardym i nieożywionym.

Nie było to zimne, tyle tylko że, podobnie jak kawałek nasiąkniętego wodą drewna, zdawało się nie mieć określonej temperatury. Odwrócił się. Za nim stało pół tuzina nieco większych mrówek. "Trutnie" - pomyślał. "Czy mrówki mają trutnie?"

- John - powiedział nie podnosząc głosu... i niezgrabne, krucho wyglądające kleszcze zacisnęły się na jego ramieniu. Wyczuł od razu, że nie było w tym chwycie siły. Instynktownie wykonał jakiś ruch, by się uwolnić i wtedy tysiące ostrych ząbków przebiły ubranie i zagłębiły się w jego skórze. Zupełnie jakby

nadział się na pęk małych haczyków na ryby.

- John !Uważaj ! - wrzasnął.

De Terry pochylony był właśnie nisko przy jednym z pokrytych gąsienicowym wzorem kół owadziego pojazdu. Zaalarmowany wyprostował się i rzucił do ucieczki, ale został schwytany w pół kroku. Gordy słyszał jego krzyki, ale zbyt wiele miał teraz własnych kłopotów, by poświęcać mu więcej uwagi.

Gdy do pierwszej mrówki przyłączyła się druga, Gordy zaprzestał walki.

Czuł ciepłą krew spływającą mu po ramieniu i ból, jakby był obdzierany ze skóry. Wisząc między mrówkami mógł widzieć te, które wysiadły z pojazdu; stały ciągle bez ruchu.

W nozdrzach kręcił mu bijący od trzymających go mrówek kwaśny fetor i

Gordy zastanawiał się, czy, jego własny zapach jest dla nich równie przykry.

Dwie mniejsze mrówki drgnęły nagle i zbliżyły się żwawo na ośmiu cienkich nogach do maszyny czasu. Jego pogromcy dołączyli do nich i po raz pierwszy od czasu krótkiej walki Gordy ujrzał de Terry'ego. Jedna z mrówek trzymała jego ciało w uniesionych przednich odnóżach, dwie inne zaś stały po bokach w roli strażników. Z rany na karku de Terry'ego kapłała krew. "Nieprzytomny" - pomyślał machinalnie Gordy i odwrócił głowę, by obserwować, co mrówki robią z maszyną.

Widok był raczej zniechęcający; stały przy niej po prostu bez ruchu. Od strony de Terry'ego dobiegło go chrząknięcie i ciche przekleństwo.

- Jak się czujesz, John? - zapytał.

- Nie najlepiej - skrzywił się de Terry. - Co się stało?

Gordy potrząsnął głową, szukając odpowiednich słów, kiedy dwie ze stojących przy wehikule mrówek odwróciły się i przysunęły do de Terry'ego. Gordy'emu głos zamarł w gardle. Kleszcze jednej z nich sięgnęły do piersi de Terry'ego. Gordy widział, jak zbliżały się do celu...

- John! - krzyknął... a potem było już po wszystkim, choć w uszach miał jeszcze ochryply wrzask de Terry'ego. Odwrócił głowę. Kątem oka widział, jak uzębione kleszcze wędrują w górę i w dół, ale z de Terry'ego uleciało już życie, które mogłoby przeciw temu zaprotestować.

Salva Gordy siedział oparty o ścian i gapił się na gapiące się na niego mrówki. "Gdyby nie to, co zrobiły de Terry'emu - pomyślał - nie byłoby się właściwie na co skarżyć". To prawda, że mrówki nie zadbały dla niego choćby o takie wygody, jakimi w ludzkim społeczeństwie cieszyć się mogli nawet więźniowie, ale karmiły go i pozwalały na sen - kiedy im to odpowiadało, rzecz jasna - a pewne poszlaki wskazywały nawet na to, że na swój sposób troszczyły się o niego. Kiedy pulchna papka, jaką mu przyniosły wywędrowała pół godziny później nietknięta, jego wielonożni gospodarze zaoferowali mu do wyboru kilka rodzajów pożywienia, z których był w stanie przetknąć kilka nawet niezłych w smaku owoców. Umieszczono go w ciepłym pokoju, a jeśli nie było w nim krzeseł czy okien, pomyślał Gordy, to tylko dlatego, że mrówki same ich nie używały, a on nie miał jak o nie poprosić. To był największy problem. To - i wspomnienie o de Terry'm.,

Wiercił się na twardej podłodze tak długo, aż wreszcie jego łopatkę znalazły sobie dobre miejsce do oparcia. Spojrzał ponownie na przybyłą do niego delegację mrówek.

Przyniosły ze sobą jakiś kanciasty przedmiot przypominający kamerę miał coś, co błyszczało jak soczewka. Gordy utkwił w tym czymś posępne spojrzenie. W powietrzu unosił się ten sam kwaśny smród...

Gordy musiał przyznać w duchu, że wszystko potoczyło się zupełnie inaczej, niż planował. Głęboko w zakamarkach jego umysłu - tak głęboko, że dopiero teraz zdołał się do niej dokopać tkwiła nieśmiała nadzieja, że zapoczątkowany dzięki ingerencji z zewnątrz rozwój mrówek wspomogę i przyspieszy rozwój ludzkości. Nienawiść, jak o tym wiedział, narodziła się z lęku przed nieznanym. Pierwszym wrogiem człowieka jest rodzina - z nią bowiem styka się najwcześniej - a jednak staje po jej stronie, gdy dochodzi do konfliktu z sąsiadami z drugiej strony ulicy. Jednak w szerszym aspekcie - aspekcie gett i Harlemów jego miasta - sąsiedzi stają się sojusznikami; piętro wyżej miasto staje się sercem narodu, a jeszcze wyżej naród ów w razie wojny może decydować o życiu lub śmierci innych narodów.

Gordy żywił nadzieję, że inny, całkowicie obcy gatunek stanie się dla ludzkości czymś w rodzaju chłopca do bicia, na którym będzie mogła wyładować swoje pasje. A jeśli już doszłoby do walki, to byłaby to walka nie między człowiekiem a człowiekiem, lecz między ludźmi a mrówkami.

Gdzieś głęboko w nim drzemiała taka nadzieja, lecz teraz nic z niej nie pozostało. Mrówki bowiem po prostu nie dopuściły do rozwoju ludzkości.

Mrówki odłożyły swój podobny do kamery przyrząd i Gordy spojrział na nie z oczekiwaniem. Sześć z nich wyszło, a dwie zostały. Mniejsza z nich miała na przedniej nodze jakąś bransoletę i zdawała się być jego osobistym strażnikiem. Druga, o ile Gordy mógł się zorientować, była obca. Obie stały

bez ruchu tak długo, że wreszcie porządnie już znudzony Gordy zaczął się wiercić, potem położył się na podłodze, wreszcie zaczął myśleć o spaniu. Sen jednak nie chciał nadejść. Gordy nie mógł pozbyć się świadomości, że zniszczył swą własną rasę, unicestwił ją, nie dopuszczając czterdzieści milionów lat temu do jej powstania. Był największym zbrodniarzem od czasów Kaina i dziwił się, że nie czuje krwi na swoich rękach.

Na jakiś sygnał, którego nie potrafił odebrać, jego strażnik zbliżył się i odtrącił go od ściany. Szedł tam, gdzie mu kazano - najpierw przez ciasną dziurę wejściową (przebył ją z trudem na czworakach), a potem korytarzem na zewnątrz, gdzie panował jasny dzień.

Zmrużył odzwyczajone od światła oczy. Na wpół oślepiiony podążył za swym przewodnikiem; przecięli na ukos rozległy plac i znaleźli się pod stożkową wiatą. Dokoła sterty metalowych części zgromadziła się tutaj grupa mrówek. Gordy od razu rozpoznał te części; był to zdemontowany śrubka po śrubce jego wehikuł czasu.

Mrówka szturchnęła go ponownie, tym razem jakby z niecierpliwością i Gordy zrozumiał, czego od niego chcą. Rozmontowały maszynę, by zapoznać się z jej budową, a teraz chcą, by na powrót ją złożył.

Zadowolony, że wreszcie będzie miał czym zająć ręce i umysł, uśmiechnął się i sięgnął po dziwaczne, wykonane przez mrówki narzędzia.

Zdażył zjeść cztery posiłki i raz się przespać, cały czas przebywając w pobliżu stożkowej wiaty. A potem praca była już zakończona.

Gordy odstąpił krok wstecz.

- Jest do waszej dyspozycji - powiedział z dumą. - Zabierze was, gdzie

chcecie. To podarunek od ludzkości. Mrówki milczały jak zakłete. Gordy

zauważył wśród nich kilka nieruchomych jak posągi trutni.

- Hej ! - zawołał niezdolny nagle do jakiegokolwiek myśli. I wtedy z tyłu spadły

na niego uzbrojone w tysięczne ząbki kleszcze. Przez chwile zrobiło mu się

niedobrze, ale przerażenie i nienawiść zwyciężyły. Nie zważając na szarpiące

mu skórę zęby walczył z usiłującymi go obezwładnić stworzeniami. Uwolnił

jedno ramię, pozostawiając w kleszczach kawałki ciała i trafił ciężkim butem

w papkowane oko. Mrówka wydała świszczący, konający odgłos i zamarła na

moment na czterech włochatych nogach. Gordy poczuł, że wisi gdzieś cztery

metry nad ziemią, a potem spada przy wtórze cichej, nierealnej agonii

mrówki. Runął na ziemię, starając się osłonić przed chwiejącymi się

potworem. Szlochając zmusił się do wstania na nogi; wehikuł był tuż za nim.

Zataczając się wpadł do niego, może metr przed mrówkami, i zakręcił kołem.

Rurkowata, owadzia noga drgała za nim na podłodze. Były aż tak blisko.

Gordy zatrzymał maszynę tam, skąd wyruszył, na tym samym drżącym,

przedwiecznym trzęsawisku i długo leżał skulony przy sterach. Wreszcie

wstał z trudem.

On i de Terry popełnili błąd, co do tego nie mogło być już teraz żadnych

wątpliwości. Istniał jednak, a przynajmniej powinien istnieć sposób, żeby ten

błąd naprawić. Wyjrzał na zewnątrz. Rosnące dokoła paprocie nie były tymi,

które widział poprzednim razem; wehikuł przemieścił się nieco w przestrzeni.

Czas jednak zgadzał się co do joty. Pod tym względem mógł maszynie zaufać.

"Tutaj właśnie dałem mrówkom władze nad światem" - pomyślał. "Teraz mogę

im te władzę odebrać. Mogę znaleźć te królowe, które tu wypuściłem i

rozdeptać je, mogą też odwieść samego siebie od zamiaru pozostawienia ich tutaj".

Tknięty impulsem strachu wyskoczył z wehikułu. Szybko, niepewnie rozejrzał się dookoła. W mieście mrówek śmierć była bardzo blisko; jeszcze teraz Gordy znajdował się w stanie wywołanego szokiem psychicznego odrętwienia. Ale czy tutaj był zupełnie bezpieczny? Pamiętał słyszany poprzednio rozpaczliwy, zwierzęcy krzyk; zadrzał na myśl, że mógłby posłużyć za przekąska dla jakiegoś dinozaura, podczas gdy królowe żyłyby spokojnie i produkowały swe straszliwe potomstwo.

Miedzy paprociami błysnął metal i serce zabiło mu jak młotem.

Wypolerowany metal w tym miejscu mógł oznaczać tylko jedno -wehikul!

Biegiem okrążył wystrzelającą z gęstej kapy widłaków grupę paproci i ujrzał przed sobą maszynę czasu. Puścił się pędem w jej stron, lecz nagle stanął, ślizgając się na grząskim gruncie. Teraz bowiem miał przed sobą dwie maszyny czasu!

Ta nieco dalej to była jego własna; zza krzaków widział stojące przy niej dwie sylwetki - swoją i de Terry'ego. Ta bliższa zaś, znacznie większa, miała dziwny kształt i wypadł z niej tłum - nie ludzi, lecz czarnych owadzich kształtów pędzących w jego stronę.

Oczywiście, pomyślał Gordy, rzucając się do beznadziejnej ucieczki, oczywiście, mrówki miały masę czasu, żeby nad tym popracować.

Wystarczająco dużo czasu, by zbudować maszynę na wzór jego własnej; wystarczająco dużo czasu, by zdać sobie spraw, co muszą z nim zrobić, aby zapewnić bezpieczeństwo swemu gatunkowi.

Gordy potknął się i pierwszy z czarnych kształtów siedział już na jego karku.

Jego przerażone płuca po raz ostatni zachłysnęły się powietrzem i Gordy

wiedział już, co to za zwierzę krzychało w gęstwinie karbońskiego lasu.

przekład : Arkadiusz Nakoniecznik

Dorastanie w Mieście na Skraju

Wiezorami, po szkole, Chandlie chadzał własnymi drogami. Miał do tego

prawo. Jego ogólny wskaźnik przystosowania społecznego był wystarczająco

wysoki, aby chłopiec mógł sobie sam dobierać towarzyszy zabaw albo jeśli tak

mu się akurat podobało, poprzestawać na towarzystwie Druha. We wtorek i

czwartek spędzał zazwyczaj czas z siedmioletnią dziewczynką imieniem

Marda, bystrym i inteligentnym dzieckiem o poważnej, jakby rzeźbionej w

kamieniu twarzyczce, mającym zadatki na ładną kobietę w wieku lat

dwudziestu,

obdarzonym

intuicją

matematyczną

i

wykazującym

nadzwyczajne zdolności w nanizywaniu paciorków na nitkę. Opiekunowie

rejestrowali ich prywatne zabawy jako: "rozwijanie wrażliwości zmysłowej",

ale dzieci nazywały to grą w "Pokaż Mi, Co Masz, a Ja Pokażę Ci, Co Ja Mam".

Opiekunowie, na swój abstrakcyjny i zdecydowany sposób, pochwalali

poczynania Chandlie'ego. Już wówczas był wyznaczony do sprawowania w

przyszłości specjalnych funkcji, łącznie z przeznaczeniem go na członka Rady.

Kiedy zatem przez większość pozostałych wieczorów chłopiec schodził do warsztatów, żeby badać konstrukcje swojego Druha, nie napotykał na żadne sprzeciwy, nie zadawano mu żadnych pytań, a do magnetycznych rdzeni jego akt osobowych nie były wprowadzane żadne, powtarzające się ostrzeżenia. Chodził swobodnie i jawnie, dokąd tylko zechciał. Na te sytuacje nie miała też wpływu pewna anomalia pojawiająca się regularnie w zapisie jego codziennych zajęć. Niemal co wieczór, na godzinę lub dwie, osobisty nadajnik Chandlie'ego przestawał podawać namiary miejsca pobytu chłopca. Opiekunowie nie wiedzieli wtedy, w którym rejonie Miasta na Skraju on się znajduje. Ze względu na własne ograniczenie akceptowali ten stan rzeczy. W głównym bloku pamięci opiekunów przechowywana była informacja o istnieniu takich obszarów Miasta, na terenie których stare zakłócenia elektromagnetyczne nakładają się na kierunkowe sygnały radionamiarowe, wytłumiając te ostatnie. Nie były to rejony ważne pod względem strategicznym. Dane przechowywane w pamięci nie wspominały nic o istnieniu tam czegoś niebezpiecznego czy zakazanego. Opiekunowie odnotowali powtarzającą się lukę w zapisie, ale nie przykładali do niej żadnej wagi. Jak nakazywała im zaprogramowana procedura, odczytywali od czasu do czasu zapis przebytej trasy zarejestrowany na chromostalowej, zabezpieczonej przed ingerencją z zewnątrz taśmie Druha, ale była to tylko kontrola wyrywkowa. W taki sam sposób sprawdzali każdego Druha. Na taśmie Druha Chandlie'ego

nie

znaleźli

nigdy

żadnej

wyraźnej

nieprawidłowości. Gdyby byli mniej powierzchowni, wnikaliby głębiej.

Naprawdę dobry program sięgnąłby do profilu osobowości Chandlie'ego,

znalazłby tam informację o jego zainteresowaniu procesami zachodzącymi na

styku

człowiek-maszyna

i

wywnioskowałby

stąd

istnienie

prawdopodobieństwa wprowadzenia przez chłopca przeróbek do programu

Druha. Gdyby sprawdzili rejestr instrukcji stałych Druha, stwierdziliby, że tak

właśnie było. Nie zrobili tego. Opiekunowie nie dysponowali specjalnie

wyrafinowanymi programami komputerowymi. Na swych wejściach nie

dostrzegali żadnego realnego powodu do podejrzeń. Ojciec i matka

Chandlie'ego mogliby opowiedzieć opiekunom wszystko o chłopcu, ale zostali

Wyrzutkami, zanim ukończył on trzy lata.

Na peryferiach Miasta na Skraju, za dzielnicami szkolnymi, w pobliżu sekcji

szpitalnej i usuwania ciał, znajdowało się mroczne i cuchnące miejsce, pełne

pokieroszowanych i obdrapanych starożytnych stalowych belek. Wykazywały

one nikłą, zastarzałą radioaktywność, pamiątkę po dawnym bezpośrednim trafieniu pociskiem samosterującym. Nie było to już miejsce niebezpieczne, ale nie było też ono atrakcyjne, a na ogólnych planach lokalizacyjnych Miasta oznaczano je jako tereny magazynów. Miejsce to nie było ani zbyt użyteczne, ani zbyt wykorzystywane. Można tam było przechowywać rzeczy nie przedstawiające większej wartości, a tych nie trzymano w Mieście na Skraju wiele. O ile w ogóle o nich pamiętano. Powietrze ociekało tam wilgocią. Na wszystkim, co się tam znajdowało, pojawiały się i szybko powiększały plamki pleśni i rdzy. Bez względu na to, jak często byli przysyłani Podręczni, żeby skrobać, wypalać i polerować, powierzchnie nigdy nie były czyste. W Mieście, w którym nie istniało takie pojęcie, jak warunki środowiskowe, było to miejsce interesujące, ponieważ czasami wypełniał je odległy, przytłumiony grzmot, a czasami robiło się tam bardzo zimno albo bardzo gorąco. Te właśnie zjawiska przede wszystkim przyciągnęły do niego uwagę Chandlie'ego. Jego zainteresowanie pobudziło przypadkowe odkrycie faktu, że kiedy pewnego wieczora, gdy wrócił z długiego spaceru pośród dziwnych zapachów i dźwięków, opiekunowie nie wiedzieli, gdzie był. Postanowił spędzać tam więcej czasu. Myśl o tym, że można robić coś, o czym zupełnie nie wiedzą opiekunowie, jednocześnie napawała obawą i podniecała. Jego osobisty wskaźnik niezależności był zawsze bardzo wysoki, dochodząc niemal do punktu, w którym konieczne stałoby się podjęcie kroków zaradczych podczas swej drugiej czy trzeciej wizyty odkrył wielce interesujący fakt, iż niektóre z pozamykanych drzwi nie były zablokowane, zgodnie z zasadą "nie musisz - nie wejdziesz". Otwierały się po naciśnięciu klamki. Mógł to uczynić każdy.

Otwierał więc kolejne mijane drzwi. Większość prowadziła do pustych pomieszczeń albo hal, które równie dobrze można było nazwać pustymi, gdyż dostrzegał w nich tylko piętrzące się w stosach, zapomniane, szare metalowe cylindry i pożółkłe kartonowe pudła. Niektóre drzwi prowadziły jednak do miejsc nie zaznaczonych nawet na planach Miasta. Z dokazującym i nucącym na swą piskliwą, elektroniczną nutę Druhem u boku penetrował Chandlie odkrywane korytarze i schody aż do chwili, kiedy zyskał pewność, że nie wolno mu tam przebywać. Powiedziała mu to elektroda prowadząca, wszyta w jego ciało. Te rejony były niebezpieczne. Po stwierdzeniu tego faktu, wrócił do swych badań i przez tydzień opracowywał sposób takiego przeprogramowania swego Druha, żeby ten, na wydany jego głosem rozkaz, przełączał się w stan snu. Potem powrócił do niebezpiecznego rejonu, zostawiwszy Druha zwiniętego w kłębek za jednymi z nieciekawych drzwi i zszedł w nieznanym szerokim, pokrytym grubą warstwą kurzu skrzydłem schodów.

Wpodziemiach Miasta na Skraju powietrze było jeszcze bardziej wilgotne i duszne, niż w opuszczonych dzielnicach na powierzchni. Nie było tu jednak zimno. Chandlie był zdumiony stwierdzając, iż się poci. Przedtem jego ciało wydzielало pot tylko podczas intensywnych ćwiczeń gimnastycznych i raz albo dwa, kiedy doświadczał substytutu choroby. Dopiero po pewnym czasie zorientował się, że przyczyną tego była temperatura panująca w podziemiach, przekraczająca o dobre dziesięć stopni te 28°C, w których przywykł żyć.

Grzmiący pomruk był również wyraźniejszy i bliższy, chociaż nie tak głośny, jak zwykł go niekiedy słyszeć. Rozejrzał się dookoła z zaciekawieniem, choć niepewnie. Było tu wiele rzeczy dziwnych, obcych i chociaż nie miał zbyt

wielkiego doświadczenia życiowego, aby być pewnym, czy prawidłowo rozpoznaje to odczucie, napelniające obawą. Ta część Miasta nie była, na przykład, dobrze oświetlona. Wszystkie inne miejsca publiczne, jakie do tej pory widział, były indentycznie oświetlone mieniącą się łagodną poświatą, promieniującą z otaczających je ciekłokrystalicznych ścian. Tutaj było inaczej. Światło wydobywało się z pojedynczych punktów. Tu jedno jasno świecące źródło światła otoczone szklaną kulą, tam inne, następne kilka metrów dalej. Przedmioty rzucały cienie. Chandlie poświęcił trochę czasu na ich badanie. Niekiedy, pomiędzy poszczególnymi punktami świetlnymi istniały znaczne odstępy, na przestrzeni których znajdowały się takie same szklane kule tym tylko różniące się od innych, że nie miały centralnego, jarzącego się rdzenia, jak gdyby przestały działać i z jakiegoś powodu Podręczni nie potrafili ich naprawić. Tam, gdzie występowały takie, nieczynne kule cienie nakładały się na siebie, aby wytworzyć coś, co rozpoznał jako ciemność. Czasami, gdy był jeszcze małym chłopcem, naciągał koldrę na głowę po zmniejszeniu natężeniu oświetlenia jego pokoju na czas snu, żeby zobaczyć, jaka jest ciemność. Ciepła i przytulna. Ale ta nie była przytulna. Rozlegały się w niej odległe odgłosy łomotania, walenia. Przypomnił sobie naraz, że nie tak znowu daleko nad i za nim znajduje się rejon usuwania ciał i chociaż nie prześladowała go niezdrowa obawa przed trupami, ta świadomość nie sprawiała mu przyjemności. Chandlie poczuł niepokój. Żałował trochę, że unieruchomił swojego Druha i kazał mu zostać. Pełna samodzielność była podniecająca, ale i dokuczliwa. Dobrze byłoby mieć u boku dokazującego i pomrukującego Druha, widzieć jego jasne mlecznobiałe, czujne oczy, wiedzieć, że w razie

jakiegoś nieprzewidzianego zdarzenia przyśle on automatycznie do oceny opiekunów impuls alarmowy i jeśli zajdzie taka potrzeba przystąpi do działania. Jakiego działania? - pomyślał. Ratowania małego chłopca przed chochlikami zażartował w duchu. To pomogło mu odsunąć od siebie cieniutkie nic pajęczyny strachu. Czuł nadal ich dotyk, ale żadna nie doskwierała mu aż tak, by zawrócić. Jego wskaźnik ciekawości również był bardzo wysoki.

Wszystko to stało się w środzien, po godzinach zajęć szkolnych, co oznaczało, że Chandlie przeszedł właśnie przez cotygodniowe zabiegi terapeutyczne i był po brzegi wyladowany hormonami, witaminami i pewnością siebie. Może to właśnie uczyniło go tak śmiałym. Bardzo wiele rzeczy zależy od podobnych zbiegów okoliczności. Szedł dalej. Po pewnym czasie uświadomił sobie, że badany przezeń nowy świat nie robi się coraz ciemniejszy. Robiło się coraz jaśniej. Jednocześnie wzrastała temperatura. Z jego nieprzywykłych do gorąca porów wylewały się strumienie potu. Słona wilgoć zlepiła mu długie włosy na skroniach, występowała na piersiach, ściekała kroplami spod pach i po plecach. Zdał sobie sprawę, że jego ciało wydziela woń. Światło przed nim było teraz jaśniejsze niż za nim i minąwszy zakręt korytarza ujrzał żółty blask, który zmusił go do zaciśnięcia powiek. Zatrzymał się. Odkrywając na nowo esjimoski reduktor blasku, spojrzął przez na wpół rozcapierzone palce. Potem, zapominając o ostrożności, ruszył biegiem w dół po starożytnych stopniach, nieomal upadając, - gdy jeden z nich zachwiał się pod jego ciężarem. Odzyskał równowagę i zbiegał dalej w dół. Zatrzymał się na pofalowanej powierzchni utworzonej przez szarozółte,

sympie ziarenka, w których z Nauk o Ziemi rozpoznał piasek. Groźny odległy pomruk rozlegał się teraz blisko i był raczej uroczysty i bezosobowy niż przerażający. Chłopiec zorientował się skąd ten odgłos dochodzi. Z błękitnej płaszczyzny rozciągającej się przed nim w nieskończoność dźwigały się majestatycznie góry wzburzonej wody. Rosły z wolna, osiągały szczyt, wyginały się do przodu i rozbijały w białej, wilgotnej mgielce, a grzmot był następstwem ich nieustannych zderzeń między sobą i z piaskiem. Upał był nie do zniesienia, ale Chandlie jakoś go wytrzymał. Był zachwycony, przestraszony, zdziwiony, oczarowany niemal do zawrotu głowy. To była "plaża"! To było "morze"! Był "na zewnątrz"! Taka przygoda nie przydarzyła się nigdy żadnemu młodemu mieszkańcowi Miasta, którego znalby osobiście lub ze słyszenia. Coś takiego nie przytrafiło się nikomu, prócz Wyrzutków. Nigdy się nie spodziewał, że przydarzy się to właśnie jemu. Nie chodziło tu o to, że nie wiedział, iż poza miastami istniały jeszcze inne miejsca. Dowiedział się tego już dawniej z Nauk o Ziemi. Z nich też zresztą czerpał wiedzę o leniwym płynnym jądrze z żelaza w sercu Ziemi i o krążących odległych ciałach nazywanych "Księżycem", "planetami" i "gwiazdami". Wiedział nawet, że gdzieś na świecie, między miastami, istnieją miejsca podobne do tych, na których pokolenia i wieki temu żyli ludzie, gdy byli jeszcze podstępni i okrutni i że, przynajmniej teoretycznie, mieszkaniec miasta mógł stanąć w takim miejscu i nie zostać od razu przekształconym w Wyrzutka albo doznać zaburzeń psychicznych czy stracić życie. Ale nigdy nie podejrzewał, że na takie miejsca można się natknąć w pobliżu Miasta na Skraju.

Cała ta sprawiająca ból jasność pochodziła z jednej centralnej jasności,

którą - Chandlie to wiedział - było "Słońce". Przekonał się szybko, że nie można na nie patrzeć bezkarnie gołym okiem. Kosztowało go to trochę bólu i kilka minut oślepienia. Przypomnił sobie, że taka wysokość Słońca na nieboskłonie oznacza "południe", co było początkowo zaskoczeniem, ale po chwili chłopiec uzmysłowił sobie, iż czas jego świata jest wyznaczany czasem Miasta, a czas słoneczny różni się w zależności od tego, czy ktoś udaje się na wschód czy na zachód. Nigdy dotąd nie miał jednak okazji do sprawdzenia tego w praktyce. Gdy znowu mógł widzieć, rozejrzał się dookoła. Przed sobą dostrzegł grzmiące fale oszalamiająco wielkiego oceanu, za sobą otoczoną murem, wyniosłą bryłę Miasta na Skraju dźwigającą się ku niebu niczym czworościenne egipskie grobowce zmarłych władców. Po prawej stronie ciągnęła się nieregularna linia graniczna między wodą a lądem; która ginęła z oczu kryjąc się za murem Miasta. Ale po lewej, po lewej dostrzegł coś dziwnego. Stały tam budynki. Wiele budynków. Nie jedna wielka polistruktura jak prawdziwe Miasto, tylko budynki. Wśród nich poruszali się ludzie. Odetchnął głębiej, żeby pobudzić w sobie odwagę i ruszył w tamtym kierunku. Po raz pierwszy w życiu brnął przez piasek. Było to trudne, jak marsz z pięciokilogramowymi odważnikami u nóg po powierzchni, która usuwa się, obsypuje i nieregularnie zapada pod stopami. Ludzie zauważyli go, zanim zbliżył się na odległość, z której mógł do nich zawołać lub usłyszeć ich głosy, nawet gdyby udało się przekrzyczeć szum wiatru i huk rozbijających się o brzeg fal. Rozmawiali przez chwile między sobą, a potem zaczęli wymachiwać w jego stronę. Widział na ich twarzach uśmiechy. Domyślił się od razu, że to Wyrzutkowi. Gdy podszedł bliżej i kilkoro z nich wyruszyło mu

na spotkanie, dostrzegł, że niektórzy nie są zbyt czysti, a wszyscy odznaczają się obfitym owłosieniem - kobiety na głowach, zaś mężczyźni mieli brody, bokobrody, wąsy, a jeden grubas był obrośnięty z przodu i z tyłu jak niedźwiedź. Nie zauważył wśród nich ludzi młodych. Najmłodszy przekroczył z pewnością dwadzieścia lat. Byli niemal wszyscy upośledzeni fizycznie w najprzeróżniejsze i wywołujące odrazę sposoby. Na szkolnych wycieczkach do obszarów usuwania ciał, Chandlie'ego szokował nieestetyczny wygląd trupów, ale ci ludzie, chociaż żywi, byli również brzydcy. Niektórzy mieli szarą skórę i łysiejące głowy. Piersi niektórych kobiet zwisały niczym wysrane do cna owoce. Kilkoro nosiło przed oczyma szklane krążki w oprawkach. Twarze wielu były pokryte bliznami i ogorzale. Niektórzy garbili się, pochylali albo szli kulejąc. Okrywające ich ubrania nie przylegały do ciał, tak jak powinna to robić właściwie skrojona odzież. Nosili długie chałaty, szorty albo swetry. Dostrzegał też wśród nich zupełnych nagusów. Ponieważ Chandlie nie widział nigdy szpetnego człowieka, nie zdawał sobie sprawy; że uczuciem, które nim zawładnęło jest zwyczajny wstręt; a ponieważ nie rozpoznał go, widok nieznajomych nie napawał go odrazą, lecz niepokojem. Przyglądał się im ciekawie i badawczo. Uprzytomnił sobie, iż wśród tych ludzi mogą się znajdować jego ojciec i matka. Nie rozpoznał ich, bo przecież nie pamiętał jak wyglądają.

Jako bardzo mały chłopiec, Chandlie przeżył awarie oprogramowania jednego ze swych opiekunów. Przejawiała się ona udzielaniem mu nie kompletnych odpowiedzi, a czasem zadawaniem niekompletnych pytań.

Pomijane części zdań stanowiły często istotę wypowiedzi opiekuna, części

wypowiadane przez niego były tylko dodatkowymi szczegółami. Gdy pytał na przykład: "Opiekunie, jaki kształt ma Ziemia?", słyszał: "... i dlatego właśnie, gdy oglądasz kolejne slajdy z okrętem zbliżającym się do linii horyzontu, obserwujesz że znika on od dołu w górę. Było to trochę tak, jak teraz z Wyrzutkami. Powitali go serdecznie, mówili doń pochylając się nad nim tak, że odwracał głowę, by nie czuć na twarzy ich oddechów. Częstowali go niezbyt apetycznie wyglądającym pożywieniem i surowymi owocami, które jednak zjadł. Niektórzy z nich dotykali go albo usilowali pocałować. "Pragniemy cię kochać" - mówili. Wprawilo go to w zakłopotanie. Nie chciał płodzić dziecka z żadną z tych kobiet, a wśród wypowiadających te słowa byli również mężczyźni. Mówili również: „Jesteś tak młody i tak ładny, a przyszedłeś do nas. Witamy cię z otwartymi ramionami".

Pokazywali mu wszystko, co zrobili, proponowali swoje rozrywki i zabawy. Poprowadzili go chodnikiem z drewna biegnącym wzdłuż plaży do okrągłego budynku, w którym znajdował się okrągły obrotowy stół. Kilku młodszych, silniejszych mężczyzn naparło na drągi i wprawilo stół w powolny, chybotliwy ruch obrotowy. Do stołu przymocowane były figury zwierząt obracające się razem z nim. Poprosili go, żeby dosiadł jednej z nich. "To karuzela" - krzyczeli. Żeby ich nie urazić, usiadł na jeden czy dwa obroty na jednym z koni, ale rozrywka ta nie wytrzymywała porównania z Pysznicem albo Skaczącymi Poduszkami. "Żyjemy wolni i nieskrępowani" mówili. "Bierzemy co świat nam daje i nie krzywdzimy nikogo. Cieszymy się radościami, o których Miasto już zapomniało". Nakłoniwszy go do zdjęcia dolnej części dziennej szaty, tak że miał teraz stopy i nogi nagie aż do woreczka na

genitalia, spacerowali z nim tuż przy brzegu wody. Z morza wysuwały się języki fal; omywały mu stopy i cofały się z powrotem. Między palcami zbierał mu się mokry piasek. Uda swędziały go od schnącej soli. Mówili doń: "Spójrz tutaj. Ściany kruszą się na skutek erozji". Zaprowadzili go do bramy wjazdowej Miasta. Przybywały tu z komun rolniczych wielkie transportowce wysypujące ziarno i zamrożoną żywność do wielkich lejów, z których trzech najmłodszych Wyrzutków podbierało do płóciennych woreczków racje pożywienia na następny dzień. "Miasto nie potrzebuje tego wszystkiego - mówili - ale gdyby wiedzieli, że to bierzemy, przepędziliby nas". Ogrzewali w brudnych dłoniach jagody i częstowali nimi Chandlie'ego, aż wreszcie nie mógł już zjeść więcej. "Zostań z nami" - prosili. Jesteś istotą ludzką, bo inaczej nie przyszedłbyś tu sam! Miasto nie jest dla ludzi". Naprawdę zaczynał się już źle czuć. Był też świadom upływu czasu. Gdy słońce skryło się za szarą piramidą, a od morza powiał chłodny wiatr, powiedzieli: Jeżeli musisz wracać, wracaj. Ale odwiedź nas jeszcze: Nie mamy zbyt wielu dzieci. Lubimy ciebie. Chcemy cię kochać. Pozwolił, aby kilku z nich jeszcze raz go dotknęło, potem odwrócił się i ruszył z powrotem po swoich śladach. Nie podobało mu się nowe uczucie, które nim owładnęło i nie wiedział skąd się bierze woń, jaką wydziela jego ciało. Po raz pierwszy w życiu Chandlie był brudny.

Gdy uruchomił na nowo swojego Druha, maszyna przełączyła się od razu na nasłuch. Następnie odwróciła się do Chandlie'ego i błyskając swymi mlecznobłękitnymi oczyma przemówiła: "Chandlie, masz się natychmiast zameldować u opiekunów". "Dobrze" - odpowiedział. Spodziewał się tego.

Chociaż umiał przeprogramować maszynę, nie przypuszczał, że nie będzie go

tak długo i nie przygotował się na to.

Opiekunowie przyjęli go w najmniejszej Sali Posłuchań. Wszedł tam drzwiami, które zamknęły się szybko i za nim i natychmiast stały się jeszcze jednym kwadratem w szachownicy luster i szarych metalowych płyt. Spoza niektórych z tych luster obserwowali go opiekunowie. Spoza innych, być może członkowie rady, kandydaci na jej członków albo zainteresowani sprawą mieszkańcy Miasta ktokolwiek. Nie mógł tego widzieć. Gdziekolwiek spojrział, widział tylko swój wizerunek, odbijany w nieskończoność. Stał mrugając uporczywie powiekami w powodzi zimnego, jasnego światła. Opiekunowie nie zadawali mu żadnych pytań. Nie grozili mu też: Wygłosili jedynie następującą serię oświadczeń: "Chandle: Po pierwsze, dokonałeś ingerencji w program swojego Druha. Po drugie, oddaliłeś się bez zezwolenia. Po trzecie, odwiedziłeś dzielnice Miasta, do których nie miałeś potrzeby się udawać. Po czwarte, nie zameldowałeś we właściwej formie o swoich poczynaniach".

Potem zamilkli na pewien czas. Teraz wolno mu było, jeśli chciał, złożyć wyjaśnienia lub udzielić informacji uzupełniających. Nie uczynił tego. Stał milcząc i po upływie stosownego czasu opiekunowie polecili mu wyjść. Jeden z lustrzanych kwadratów odchylił się w przód, stał się znowu drzwiami i Chandle opuścił pomieszczenie. Powrócił do swojej bursy. Wszyscy jego rówieśnicy przebywali już w swoich pokojach i przypuszczalnie spali. Było bardzo późno. Chandle wziął kąpiel, spróbował zmusić się do wymiotów, co mu się nie udało, przepłukał więc dokładnie usta i założył nocną koszulę.

Pożywienie, jakim uraczyli go Wyrzutkowie nie nasyciło jego głodu, ale bał się jeść, dopóki jego organizm nie wywalił wszystkiego, czego kosztował tego dnia.

Całą noc wiercił się i przewracał z boku na bok budząc często, żeby przez cały czas widzieć, gdzie się znajduje i pamiętać, gdzie był, a potem, głodny i niespokojny, znowu zapadał w sen.

Przez kilka następných dni Chandlie prowadził normalny tryb życia, ale cały czas miał świadomość, że na tym sprawa się nie zakończy. Rozwaga podpowiadała mu, żeby zachowywać się przynajmniej normalnie, a jeżeli to możliwe, nawet przykładowie. Jednak ciekawość przemogła rozwagę. W chwilach przeznaczonych na naukę własną wybierał numery kodowe starych ksiąg, o których wiadomo było, że stanowią przedmiot zainteresowania Wyrzutków. "Das Kapital" i "Walden", i głupawe, przesiąknięte seksem satyry napisane przez takich ludzi, jak Wolter i Swift. Słuchał starych ballad śpiewanych przez Dylana, Thomasa i Joan Baez i im podobnych. Czytał poezje: Wordswortha, Browninga, Ginsberga. Studiował stare dokumenty, które według jego książek, miały niegdyś decydujące znaczenie i zbiła go z tropu ignorancja wynikająca z ich treści: "Dobrze zorganizowana policja jest niezbędna dla ochrony interesów wolnego państwa, nie należy gwałcić prawa ludzi do posiadania i noszenia broni". Nie rozumiał określeń "policja" i "państwo", dopóki nie zdecydował się poprosić o wyjaśnienie nauczycieli. A i wtedy nie mógł z kolei zrozumieć, dlaczego tym sprawom przypisywano kiedyś takie znaczenie. Były to dla Chandlie'ego pracowite dni. Jego rówieśnicy zorientowali się niemal od razu, że coś jest nie w porządku, wywęszyli, że ma kłopoty z opiekunami i zupełnie naturalnie wyprzedzili decyzje opiekunów, wymierzając mu karę od siebie. W Żywych Szachach grał teraz jako pionek, chociaż zazwyczaj był gońcem, a raz nawet więź. Jego

ruchy w Tai Chi uznano za groteskowe i nie zapraszali go już do ćwiczeń z resztą grupy. Nikt nie rozmawiał z nim wprost na temat jego sytuacji oprócz Mardy. Pewnego razu, w czasie wolnym, usiadła obok niego i powiedziała: "Będzie mi ciebie brakowało, Chandlie, jeśli odejdziesz". Nie odpowiedział wpatrując się uparcie w stos slajdów. "Dlaczego na mnie nie patrzysz, gdy do ciebie mówię?" - krzyknęła. "Twoje narządy rodne są mało rozwinięte" - powiedział miażdżąco. "Te są dojrzałe, to dużo bardziej interesujące". Rozgniewała się. "Nie wyobrażaj sobie, że będę kiedykolwiek chciała spłodzić z tobą dziecko - powiedziała. Odłożył wtedy pudełko ze slajdami, wstał i zapukał do drzwi starszej dziewczyny. Wtedy po raz pierwszy widział łzy. Następnego piątku wezwany został przed oblicze rady decydentów i sam się rozplakał.

Rada, obarczona odpowiedzialnością za podejmowanie decyzji we wszystkich sprawach nie objętych instrukcjami stałych opiekunów, zbierała się, kiedy zachodziła tego potrzeba i tam gdzie chciała. Z jakichś powodów Chandlie wzbudzał zainteresowanie wszystkich członków rady, a więc, gdy go poproszono, ujrzał ją w pełnym składzie, liczącym dwadzieścia pięć osób. Pomieszczenie, jakie wybrali tym razem na miejsce posiedzenia przypominało bardzo salon klubu. Umeblowanie stanowiły stoliki z wpuszczonymi w blat szachownicami, niskie ławy zastawione serwisami do kawy, pojemnikami na słodycze i napojami orzeźwiającymi. Na ścianach wisiały, jeden przy drugim, stereoportrety dostojników z długiej historii Miasta. Sprawujący aktualnie funkcje Przewodniczącego Rady wskazał Chandlie'emu wygodny fotel i podał mu filiżankę przejmująco słodkiej pianki

przyprawionej do smaku owocami i miętą. Był to mężczyzna. Wyglądał na mniej więcej trzydzieści lat, miał starannie przyciętą grzywkę nad szeroko rozstawionymi oczami, a palce zdobiły mu pierścienie z oczkami w postaci siatek dyfrakcyjnych mieniących się hipnotycznie, gdy gestykulował.

"Chandle - zaczął Przewodniczący - jesteśmy w posiadaniu pełnego zestawu informacji. Po odparowaniu wody, której użyłeś do kąpieli, znaleziono piasek z plaży, kawałki rozkładającego się drewna i grudki soli pochodzącej z twoich szat i ciała. Analizy laboratoryjne wskazują na spożywanie przez ciebie owoców w stanie niemal surowym. W dalszej kolejności nakazaliśmy przeprowadzenie spektralnych badań twojej skóry i stwierdziliśmy równomierną pigmentację twoich ramion, twarzy, szyi i dolnych partii ciała, sugerującą wystawienie ich na bezpośrednie działanie nieodfiltrowanych promieni słonecznych. Nie ma sensu tracić naszego czasu, Chandle. To oczywiste, że byłeś poza Miastem". Chłopiec skinął głową i odezwał się: "Tak, byłem poza Miastem". Po każdym zadawanym mu pytaniu głęboko zastanawiał się nad swoimi odpowiedziami, świadom jaka wisi nad nim groźba. W pewnym sensie ryzykował swoje dalsze losy. Jego ambicje nie były jeszcze wtedy w pełni ukształtowane, ale wykluczały one degradację do statusu potencjalnego Wyrzutka. W bardziej pośredni sposób ryzykował też oczywiście, dalsze losy Wyrzutków. "Co tam widziałeś?" - spytał z zaciekawieniem i łagodnością Przewodniczący Rady, a wszyscy lub prawie wszyscy z obecnych przerwali rozmowę lub lekturę i ustawili uszu.

"Widziałem plażę - rozplakał się Chandle. "Było bardzo dziwnie. Słońce było strasznie gorące, wiatr bardzo silny. Widziałem fale wysokie na półtora

metra, rozbijające się o piasek. Wszedłem do wody, znalazłem jagody. Niezbyt mi smakowały, ale je zjadłem. Widziałem też budynki wzniesione z drewna i chyba gipsu". Poproszono go, żeby opisał dokładnie te budynki; uczynił to. Spytano go, dlaczego tam poszedł; odparł, że z ciekawości. Na koniec ktoś bardzo ostrożnie zapytał: "A czy widziałeś jakichś ludzi?" Odpowiedział: "Oczywiście, spotkałem kilka kobiet w rejonie usuwania ciał. Zdaje mi się, że umarł ktoś, kogo znały. I mężczyznę programującego Podręcznych". "Nie - powiedział Przewodniczący Rady - nam chodzi o ludzi na zewnątrz. Widziałeś tam kogoś?" Chandlie zrobił zdumioną minę. „Jak ktoś mógłby tam żyć?" - zapytał. "Nie, tam nie widziałem nikogo". Przewodniczący potoczył wzrokiem po twarzach pozostałych członków Rady. Podniósł pytająco w górę siedem palców. Większość pokiwała głowami, kilkoro wzruszyło ramionami, reszta nie przejawiała w ogóle żadnego zainteresowania. "Masz siedem przewinień, Chandlie - powiedział Przewodniczący - i odpokutujesz za nie tak, jak ci to nakażą opiekunowie". Chandlie wybuchnął gniewem. "Siedem!" - krzyknął. "To niesprawiedliwe!" Doprowadzał go do wściekłości fakt, że mu uwierzyli, a pomimo to nałożyli nań tak ciężką karę. Siedem dni bez czasu wolnego. Albo siedem tygodni bez przywileju wyboru posiłku. Albo siedem trudno zgadnąć czego, czegoś co w opinii opiekunów będzie dlań największą karą, a zatem najprawdopodobniej zniechęci go do podobnych wybryków w przyszłości. Zanim wyszedł, tonął cały we łzach, czego następstwem było doliczenie mu dwóch kolejnych przewinień. Potem wrócił do swojej grupy rówieśników, która stopniowo zaakceptowała go.

Przez ponad dwadzieścia lat tań Chandlie tajemnice kolonii Wyrzutków na

zewnątrz Miasta na Skraju. Nie wrócił już tam, i nie powiedział o niej nawet Mardzie, z którą jednak, w stosownym czasie, począł dziecko. Jako chłopiec dopuścił się już niewielu dalszych przewinień, a jako młodzieniec - żadnego. Jego postawa stanowiła wzór dla całego Miasta, a już szczególnie dla jego grupy rówieśniczej, która opornie, ale nieuchronnie wybrała go swoim przedstawicielem, kiedy ukończył trzydzieści lat. I wtedy, zasiadłszy wreszcie w Radzie, wprowadził w czyn swoje zamiary. Wyjawiał całą prawdę o swej wyprawie za Miasto. Zdemaskował błąd poprzednich radnych, którzy nie potrafili przejrzeć kłamstw małego chłopca. Oskarżył ich o to, że podejrzewali istnienie kolonii Wyrzutków na peryferiach Miasta na Skraju, a nie podjęli żadnego działania i oznajmił, że sam zajmie się uregulowaniem tej sprawy. Ci, których obwiniał opuścili ostentacyjnie sale obrad, odmawiając oddania nań swoich głosów. Pozostali, urażeni ich zachowaniem, udzielili mu pełnomocnictwa. Następnie Chandlie sam wyszedł na zewnątrz na czele uzbrojonych w lasery i wyszczerzone stalowe kły Druhów. Stare, przegniłe budynki rozpały się opornie, ale buchnęły żywszym płomieniem, gdy ciepło z laserów wyparło z ich ścian nagromadzoną tam przez lata słoną wodę. Wyrzutkowie uciekali z krzykiem przed kłuszącymi ich Druhami. Niektórym udało się zbiec, ale takich szczęśliwców nie było wielu. Zorganizowana doraźnie brygada Podręcznych naprawiła i wzmocniła mur okalający rejon dostaw żywności, tak że nawet gdyby powróciły tu niedobitki Wyrzutków, dalsze podkradanie pożywienia stałoby się dla nich niemożliwe. Gdy Chandlie wracał do Miasta, na zewnątrz nie pozostało nic co by żyło, albo nadawało się do wykorzystania. Następnego roku, na kilka lat przed ustaloną kolejnością,

wybrany został na Przewodniczącego Rady. Sprawował te funkcje kilka razy pod rząd. To właśnie było jego celem. Wiedział, że nie osiągnąłby tego tak szybko, gdyby nie Wyrzutkowie. W pewnym sensie na zawsze pozostał im wdzięczny. Czasami zastanawiał się, czy ktoś z nich żyje jeszcze w jakimś zakątku pokrytej bliznami strzeżonej bacznie Ziemi. Żył cichą nadzieją, że tak jest. Nie zaszkodziłoby widzieć o jakiejś innej kolonii Wyrzutków, chociaż teraz nie miał już właściwie żadnego określonego interesu w ich prześladowaniu, chyba że w przyszłości widziałby w tym korzyści dla swej dalszej kariery.

przekład : Jacek Manicki

Dzień Milionowy

W dniu, o którym chcę wam opowiedzieć, a który nadejdzie za jakieś tysiąc lat, byli sobie chłopak, dziewczyna i romans.

I chociaż jak dotychczas niewiele jeszcze powiedziałem, to nic z tego nie jest prawdą. Ów chłopak to nie to, co zwykle mamy na myśli mówiąc "chłopak", ponieważ liczył sobie sto osiemdziesiąt siedem lat. Ani dziewczyna nie była dziewczyną, ale to już z innych powodów; zaś romans to nie sublimacja popędu do gwałtu z równoległym opanowywaniem pragnienia oddania się jak obecnie pojmujemy te sprawy.

Ta opowieść niezbyt wam przypadnie do gustu, jeśli od samego początku nie zrozumiecie

tych

faktów.

Gdybyście

się

jednak

postarali,

to

najprawdopodobniej w opowieści tej znajdziecie pełno śmiechu, łez i

wzruszenia, a to może być albo i nie być warte zachodu. Co się tyczy

dziewczyny, to nie była ona dziewczyną dlatego, że była chłopakiem.

Już widzę, jak was wściekle odrzuca od tej książki! Powiecie: "Któż u licha

chce czytać o parze pedałów?". Uspokójcie się. Nie znajdziecie tu sekretów

chuci i perwersji dla specyficznej publiczki. Bo gdybyście zobaczyli tę

dziewczynę, nie domyślilibyście się, że w jakimkolwiek sensie jest

chłopakiem. Piersi: dwie. Pochwa: jedna. Biodra: jak u Wenus; twarz: bez

zarostu; płaty nadoczodołowe - brak. Od razu nazwalibyście ją osobnikiem

żeńskim, choć co prawda mógłby was zdezorientować ogon, jedwabista skóra,

czy też szczeliny skrzelowe za każdym uchem.

Znowu cię odrzuca. O rany, stary, masz moje słowo honoru. To jest słodkie

stworzenie i tobie, normalnemu facetowi, wystarczy godzinka razem z nią, w

jednym pokoju, a poruszysz niebo i ziemię, żeby ją wpakować do łóżka. Dora

(tak ją będziemy nazywać; jej "imię" brzmiało Omikron-Dibase siódma grupa

zanikająca S Doradus 5314 - ostatni człon oznacza kolor, odcień zieleni) -

zatem Dora, jak mówię, miała wygląd dziewczęcy, była urocza i miła.

Przyznaję, że jej głos nie pasuje do tego wszystkiego. Była, jak można to

określić, tancerką. Jej sztuka wymagała inteligencji i dużego znawstwa,

olbrzymich wrodzonych zdolności i nieustannych ćwiczeń. Taniec odbywał się

w stanie nieważkości i najlepiej można go opisać w ten sposób: trochę numer cyrkowy "kobieta bez kości", a trochę balet klasyczny, jakby umierający labędź w wykonaniu Daniłowej. A równocześnie było to cholernie seksowne. Oczywiście w sensie symbolicznym, ale postawmy sprawę jasno, większość tego, co uważamy za "seksowne" jest symboliczne, z wyjątkiem być może otwartego rozporka ekshibicjonisty. Kiedy Dora tańczyła w Dniu Milionowym, ludzie dyszeli z pożądania - a ty byś też dyszał, gdybyś ją zobaczył.

A teraz o tym, że była chłopakiem. Dla jej widzów nie miało to znaczenia, że genetycznie była samcem. Dla ciebie też by to nie miało znaczenia, gdybyś siedział wśród nich, ponieważ nie wiedziałbyś o tym - chyba, że pobralbyś wycinek jej ciała i umieścił pod mikroskopem elektronowym, aby znaleźć chromosom XY. Dla widzów nie miało to znaczenia, było im to obojętne.

Dzięki metodom, które są nie tylko skomplikowane, ale i nie znane w naszych czasach, tamci wiedzieli dość dużo o zdolnościach i skłonnościach dziecka na długo przed jego urodzeniem - gdzieś tak w drugim stadium podziału komórkowego, dokładniej mówiąc, gdy dzieląca się komórka jajowa staje się wolną blastocystą. I wtedy oczywiście rozwijali w nim te skłonności. A czy my byśmy tego nie robili? Gdy stwierdzamy, że jakieś dziecko wykazuje zdolności muzyczne, przyznajemy mu stypendium u Juilliarda. Gdy oni stwierdzali, że jakieś dziecko ma skłonności żeńskie, robili z niego kobietę. A że płeć już od dawna nie miała nic wspólnego z rozmnażaniem, takie postępowanie było stosunkowo łatwe, nie powodowało żadnych kłopotów i wywoływało niewiele komentarzy.

Co to znaczy "niewiele"? Och, to mniej więcej tyle, ile wywołuje nasze sprzeciwienie się Woli Boskiej, gdy plombujemy sobie ząb. Mniej nawet, niż wywołałoby używanie aparatu słuchowego. Czy nadal brzmi to strasznie? Przyjrzyj się więc bliżej pierwszej napotkanej piersiastej babce i pomyśl, że mogłaby być Dorą, ponieważ nawet w naszych czasach zdarzają się osobnicy, którzy są samcami genetycznie, lecz samicami somatycznie. Jakiś przypadkowy układ warunków w łonie matki okazuje się ważniejszy niż szablony dziedziczności. Różnica polega na tym, że nam się to zdarza tylko przypadkowo i nie dowiadujemy się o tym, chyba że po wnikliwych badaniach, a i to rzadko. Tymczasem ludzie z Dnia Milionowego robili to często, ponieważ tego chcieli.

Chyba już dosyć o Dorze. Wprowadziłoby to tylko zamieszanie, gdybym dorzucił, że miała dwa metry dziesięć centymetrów wzrostu i roztaczała woń masła arachidowego. Zacznijmy więc naszą opowieść.

W Dniu Milionowym Dora wypłynęła ze swego domu, weszła do rury transportowej, skąd strumień wody wyssał ją błyskawicznie na powierzchnię i wyrzucił w pióropuszu kropel tuż przed jej... nazwijmy to salą prób.

- O, cholera! - krzyknęła Dora mocno zmieszana, bowiem łapiąc równowagę zatoczyła się na jakiegoś całkiem obcego typu, którego będziemy odtąd nazywać Donem.

Całkiem nieźle się spotkali. Don podążał właśnie tam, gdzie mieli mu wyremontować nogi. Nie w głowie były mu amory. Ale kiedy w roztargnieniu skracał sobie drogę przez platformę recepcyjną dla podwodniaków i stwierdził, że jest przemoczony, a jego objęcia wypełnia najcudowniejsza

dziewczyna pod słońcem, zrozumiał od razu, że są dla siebie stworzeni.

- Wyjdiesz za mnie? - spytał.

- W środę - odpowiedziała łagodnie. A obietnica ta była jak pieśczoćta.

Don był wysoki, muskularny, brązowy i fascynujący. Nie nazywał się "Don", tak jak Dora nie nazywała się "Dora". Osobowa część jego imienia brzmiała "Adonis" na cześć jego pulsującej męskości. Będziemy go więc w skrócie nazywać "Don". Jego osobisty kod barwny w angstromach wynosił 5290, czyli tylko o kilka oczek bardziej niebieski niż 5314 Dory; była to miara tego, co oboje odkryli od pierwszego wejrzenia - mianowicie, że mają bardzo zbliżony gust i zainteresowania.

Mam poważny kłopot, jak by tu wam dokładnie wyjaśnić, czym Don się właściwie zajmował - nie mam na myśli zarabiania pieniędzy, ale to, jak nadawał sens i znaczenie swemu życiu i co robił, aby nie zwariować z nudów.

Mogę tylko tyle powiedzieć, że związane z tym były liczne podróże.

Podróżował statkami kosmicznymi. Aby taki statek rzeczywiście szybko się poruszał, około trzydziestu jeden istot męskich i siedmiu genetycznie żeńskich musi robić pewne rzeczy. Don był wśród tych trzydziestu jeden; jego zadaniem było rozważanie możliwości. Nielicho się przy tym wystawiał na promieniowanie i to nie tyle może dlatego, że siedział w układzie napędowym, ale raczej przez te wycieki z następnego stopnia, gdzie genetyczna kobieta wykonywała zbiory, a cząstki elementarne tworzące te zbiory rozbijały się w bryzgach kwantów. Was to w końcu guzik obchodzi, ale w każdym razie znaczyło to, że Don musiał cały czas siedzieć w powłoce z lekkiego, elastycznego, wyjątkowo mocnego metalu w kolorze miedzi. Wspominałem

już o tym, ale wtedy prawdopodobnie myśleliście, że chodzi o opaleniznę.

Co więcej, był cyborgiem. Już od dawna zamiast niektórych części ciała miał wstawione mechanizmy znacznie trwalsze i bardziej wydajne. Pompa kadmowa, a nie serce, przetaczała jego krew. Jego płuca poruszały się tylko wówczas, gdy chciał coś głośniej powiedzieć, ponieważ zespół filtrów osmotycznych oddychał tlenem uzyskanym z tego, co wydalął. Ludziom dwudziestego wieku prawdopodobnie wydałby się on dość osobliwy z iskrzącymi się oczyma i siedmiopalczastymi dłońmi. Ale sam sobie i oczywiście Dorze wydawał się ogromnie męski i wspaniały. Podczas swoich podróży Don okrążył Proximę Centauri, Procjona i zagadkowe światy Miry Ceti, zawiózł egzemplarze roślin uprawnych na planety Canopusa, a z bladego satelity Aldebarana sprowadził przymilne i wesołe zwierzaki. Widział tysiąc niebieskich, rozpalonych gigantów i czerwonych, zimnych karłów oraz ich dziesięć tysięcy planet. Włóczył się po szlakach kosmicznych już niemal przez dwieście znojnych lat, spędzając tylko krótkie urlopy na Ziemi. Ale i to nie jest ważne. To ludzie tworzą opowieści, nie zaś okoliczności, w których się ci ludzie znajdują, a wy chcecie się czegoś dowiedzieć o tych dwojgu. A więc zrobili, co mieli zrobić. To wspaniałe coś, co do siebie czuli, rosło i rozkwitało, i zaowocowało w środę, tak jak obiecała Dora. Spotkali się w biurze kodowania, a każde z nich przyprowadziło kilkoro życzliwych przyjaciół, dla dodania sobie ducha. A gdy ich osobowości były kodowane i zapisywane, uśmiechali się i szeptali coś do siebie, i cierpliwie znosili żarciki przyjaciół odcinając się im z zażenowaniem. Potem wymienili analogi matematyczne i poszli sobie. Dora do swojego mieszkania pod powierzchnią morza, a Don do

swojego statku.

To była idylla, naprawdę. Żyli odtąd długo i szczęśliwie - no, w każdym bądź razie do chwili, gdy postanowili już dłużej nie zawracać sobie głowy i umarli.

Oczywiście nigdy więcej się już potem nie widzieli.

Och, widzę was teraz, zjadacze wysmażonych befsztyków: jedną ręką pocieracie swoje odciski, a w drugiej trzymacie tę książkę, gdy tymczasem na waszym gramofonie kręci się Indy lub Monk. Nie wierzycie ani jednemu słowu? Ani przez sekundę. Ludzie nie mogliby tak żyć, powiecie zirytowani i wcale nie rozbawieni, wstając po świeże kostki lodu do waszego zwietrzałego drinka.

A przecież Dora śpieszy w strumieniu tunelu transportowego do swego podwodnego domku (lubi tam przebywać; kazała się przekonstruować somatycznie, aby móc oddychać w tym środowisku). Gdybym wam powiedział z jakim rozkosznym uczuciem spełnienia umieszcza nagrany analog Dona w manipulatorze symboli, włącza się do niego i dostraja... Gdybym próbował opowiedzieć wam cokolwiek z tych rzeczy, oniemielibyście. Albo patrzylibyście z wściekłością i gderali: - Co to za cholerny sposób kochania się? A jednak zapewniam cię, mój drogi, szczerze zapewniam, że Dora przeżywa swą ekstazę równie żarliwie i smakowicie jak każda z partnerek Jamesa Bonda, a nawet znacznie pełniej, znacznie pełniej, niż mogłoby się to przytrafić tobie w tak zwanym "prawdziwym życiu". No, dalej, wściekaj się i gderaj.

Dora ma to w nosie. Jeśli w ogóle myśli o tobie, swoim trzydziestokrotnie prapradziadku, to jesteś dla niej zupełnie prymitywną bestią. Jesteś, jesteś.

Dora jest bardziej od ciebie oddalona niż ty od jakiegó Australopitejki sprzed pięciu tysięcy wieków. Ani sekundy nie utrzymałbyś się na powierzchni jej wartkiego życia. Chyba nie sądzisz, że postęp odbywa się po linii prostej? Czy zdajesz sobie sprawę, że jest to szybko wznosząca się, przyspieszająca krzywa - może nawet eksponencjalna? Z początku cholernie się wlecze, ale jak już dobrze ruszy, to leci jak bomba. A tobie, rozparty w leniwcu zjadaczu befsztyków, ledwie udało się podpalić lont. Cóż to jest te sześćset czy siedemset tysięcy dni po Chrystusie? Dora żyje w Dniu Milionowym. Tysiąc lat licząc od teraz. Tłuszcze w jej organizmie są wielonienasycone - jak w smalcu Crisco. Jej wydzieliny są hemodializowane bezpośrednio z krwi w czasie snu, nie musi więc chodzić do łazienki. Jak jej się zechce, żeby sobie jakoś wypełnić wolną godzinkę, może mieć do dyspozycji więcej energii, niż dzisiaj zużywa cała Portugalia, i może tę energię zużyć na przykład po to, żeby umieścić na orbicie satelitę weekendowego albo rozgrzebać jakiś krater na Księżycu.

Bardzo kocha Dona. Jego gesty, manierki, subtelności, dotknięcie ręki, podniecenie przy stosunku, namiętność pocałunków - wszystko to przechowuje w symboliczno-matematycznej formie. I kiedy go pragnie, musi jedynie włączyć urządzenie, a będzie go miała.

Don oczywiście ma Dorę. Dryfując w mieście orbitalnym tysiąc kilometrów nad jej głową albo okrążając Arcturusa oddalonego o pięćdziesiąt lat świetlnych Don musi tylko włączyć swój własny manipulator symboli, aby z ferrytowej kartoteki wydobyć Dorę i powołać ją do życia. I oto ona; a wtedy w uniesieniu nieustrudzenie spółkują całą noc. Oczywiście nie w sensie cielesnym, to nie byłaby radocha, skoro większa część jego członków została

wymieniona. Nie potrzebuje ciała, aby odczuwać przyjemność. Genitalia nie czują niczego. Ani ręce, ani piersi, ani usta; one są tylko receptorami przyjmującymi i przesyłającymi impulsy. To mózg jest tym organem, który odczuwa, a interpretacja impulsów daje cierpienie czy orgazm. Manipulator symboli Dona przekazuje mu odpowiednik pieszczoty, odpowiednik pocałunków, odpowiednik najbardziej szalonych i żarliwych chwil z subtelnym, wiecznym i zawsze świeżym analogiem Dory. Albo Diany. Albo rozkosznej Róży, albo roześmianej Alicji, gdyż z pewnością wszyscy oni wymieniali już przedtem swoje analogi i będą je jeszcze wymieniać. Gównem prawda, powiesz, wygląda mi to na jakiś obłąd. A ty ze swoim płynem po goleniu, ze swoim czerwonym samochodzikiem, ty, który przez cały dzień przekładasz papierki z jednego miejsca na drugie, a nocą gonisz w piętke, powiedz mi, do cholery, jakżeż by na ciebie patrzył Tiglatpileser albo powiedzmy Attyla wódz Hunów?

Przełożyli Grażyna Grygiel Piotr Staniewski

Farmer na ulicach miasta

Na wschód aż po horyzont ciągnęło się tysiąc akrów soi, po drugiej stronie drogi, na zachód - drugie tysiąc akrów kukurydzy. Zeb ze złością kopnął zawór irygacyjny i przyglądał się jak licznik rejestruje zmianę przepływu. Przeklęta pogoda! Dlaczego nie pada? Wciągnął głęboko powietrze i marszcząc brwi potrząsnął głową. Względna wilgotność osiemdziesiąt pięć procent. Nie, bliżej osiemdziesięciu siedmiu. A na niebie ani jednej chmurki.

Dzień dobry - zawołał sąsiad z pola za drogą.

Zeb skinął głową. On był od soi, a Wally od kukurydzy i nie mieli wspólnych

tematów, ale wypadalo zamienić z nim kilka słów. Wyciągnął z kieszeni chustkę i przetarł czoło.

- Musiałem zwiększyć przepływ - zagadał uprzejmie.

- Ja też. Tyle tylko, że CO2 wzrosło. Mamy chociaż dobrą przemianę węglową.

Zeb chrząknął i schylił się po grudkę ziemi. Rozgniół ją między palcami badając próchnicę i polizał.

- Znowu mało kobaltu - stwierdził po zastanowieniu. Ale Wally'ego nie obchodził skład gleby.

- Zeb? Słyszalesz coś?

- O czym?

- O wszystkim. No wiesz.

Zeb odwrócił się w jego stronę.

- Chodzi ci o te zwariowane plotki o zamykaniu gospodarstw rolnych, chociaż każdy wie, że nie mogą tego zrobić. Nic takiego nie słyszałem, a jeśli nawet ktoś coś o tym mówił, to nie zwróciłem na to uwagi.

- Tak, Zeb, ale mówi się, że...

- Mogą gadać co chcą; Wally. Ja nie słucham, a teraz muszę wracać, bo

Becky i dzieciaki będą się martwić. Cześć. - Odwrócił się i pomaszerował w stronę chat.

- Wujek Puszka - krzyknął za nim drwiąco Wally, ale Zeb udął że nie słyszy.

Wyjął tylko chustkę i znowu wytarł czoło.

To nie był pot. Zeb nigdy się nie pocił. Ręce, plecy i pachy miał zawsze suche, niezależnie od pogody i od tego jak długo i ciężko pracował. Lśniące krople na

jego czole pochodziły z powietrza. Izolacja wokół superchłodzonych złączy Josephsona, które tworzyły jego mózg była dobra, ale nie idealna. Kiedy myślał intensywniej niż zwykle, wzmagало się działanie zespołów chłodzących.

A Zeb miał wiele do przemyślenia. Zlikwidowanie gospodarstw rolnych?

Tylko idiota mógłby w to uwierzyć! Każdy robi to, co do niego należy. Uprawia ziemię, sieje, albo sprząta i gotuje w domu Właściciela, albo uczy jego dzieci, albo wozi panią Właścicielka w odwiedziny do innych właścicieli. Takie jest życie na farmie i zawsze tak będzie, bo jak inaczej?

Zeb poznał odpowiedź na to pytanie następnego dnia, zaraz po kościele.

Zeb był robotem Klasy A o ilorazie inteligencji sto trzydzieści pięć i chociaż miał wmontowane blokady związane z jego przeznaczeniem, to jednak nie powinno go było to zaskoczyć. Szczególnie, gdy usłyszał, że wielebny

Harmswallow wybrał tego ranka fragmenty z Mateusza i Błogosławieństwa, zwłaszcza to, że cisi posiadają ziemię. Wielebny był pulchnym mężczyzną o różowej twarzy, a jego najlepsze kazania dotyczyły grzechu i nieuniknionego ognia piekielnego. Zawsze był rozczarowany, że robotnicy rolni należący do jego parafii nie byli fizycznie przystosowani do co ciekawszych grzechów, ale kompensował to sobie kładąc szczególny nacisk na pokorę.

- Nawet wtedy - zakończył potrząsając głową - gdy wszystko układa się nie tak, jak sądzicie, że powinno. Teraz odśpiewamy hymn, a potem ludzie od soi zbiorą się w sali gimnastycznej, a ci od kukurydzy w holu na drugim piętrze.

Wasi właściciele mają wam coś do przykazania.

A więc nie była to niespodzianka i Zeb właściwie nie zdziwił się aż tak

bardzo. Już od dawna jakaś część jego kriobwodów w czasce ze stali tytanowej rejestrowała złe znaki. Małe opady. Zubożenie gleby. Strąki rosły duże, bo powietrze było bogate w węgiel. Ale gorący wiatr wysuszał je szybko, choćby się nie wiadomo ile podlewało. A to były tylko fizyczne oznaki.

Zachowanie Właściciela też było wymowne - wzdychał wtedy, gdy powinien był się śmiać, nie zauważał nawet, że niektóre chaty trzeba wybielić albo że na rabatach plenią się chwasty. Zeb widział to wszystko i wyciągał właściwe wnioski. Blokady temu nie przeciwdziałały, nie pozwalały jedynie na mówienie o tym, czy na świadome rozważania. W programie Zeba nie było zmartwień. Musiał mieć zawsze uśmiechniętą twarz.

Tak więc po wysłuchaniu Właściciela wyglądał na równie zaskoczonego jak cała reszta pracowników.

- Jesteście dobrymi pracownikami .- wielkodusznie oświadczył Właściciel.

Jego blada, inteligentna twarz dziwnie wyglądała pod słomianym kapeluszem.

- I doprawdy pragnąłbym, żeby wszystko mogło toczyć się tak jak do tej pory,

ale to niemożliwe. To ten program rozwoju rolnictwa - wyjaśniał. - Idioci z

Waszyngtonu ograniczyli dotacje tak, że nie oplaca się już tutaj nic uprawiać.

Ale nie jest całkiem źle - dodał pogodniejszym głosem. - Z pewnością ucieszy

was wiadomość, że zwiększyli fundusz pomocy dla rolników. Wiec moja żona,

ja i dzieci mamy zabezpieczoną przyszłość. A nawet - rozpromienił się - jeśli

chodzi o pieniądze, będziemy w lepszej sytuacji niż dotąd!

- To wspaniale!

- Bogu niech będą dzięki!

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Smutek rozplynął się w uśmiechach. Wtem

odezwał się Zeb:

- Proszę Pana? Przepraszam, że pytam, ale co będzie z nami? Zatrzymacie nas?

Właściciel zniecierpliwił się.

- Ależ to niemożliwe. Nie moglibyśmy dostawać pieniędzy z funduszu, gdybyśmy uprawiali ziemię, więc nie ma sensu trzymać tutaj was wszystkich, nie rozumiesz tego?

Cisza. Wreszcie odważył się następny pracownik.

- A właściciel pól kukurydzy? Potrzebuje dobrych robotników? Wie pan, że nie znosimy kukurydzy, ale można nas szybko przeprogramować...

Właściciel pokręcił głową.

- W tej chwili mówi swoim ludziom to samo. Nikt was nie potrzebuje.

Robotnicy spojrzeli po sobie.

- Kaznodzieja, on nas potrzebuje - zasugerował jeden z nich. Tworzymy jego parafie.

- Obawiam się, że wielebny Harmswallow już was nie potrzebuje. -

Właściciel wyprowadził go z błędu. - Od dawna chciał zostać misjonarzem i właśnie dostał wezwanie. Nie, jesteście niepotrzebni, po prostu.

- Niepotrzebni?

- Zbyteczni. Nie ma powodu, żebyście tu zostali - powiedział Właściciel. -

Jutro rano przyjadą po was ciężarówki. Macie czekać przed chatami, gotowi do odjazdu, przed zero-siedemset. Znowu cisza. Potem Zeb:

- Gdzie nas zabiorą?

Właściciel wzruszył ramionami.

- Myślę, że jest jakieś specjalne miejsce. - Uśmiechnął się. - Ale mam dla was niespodziankę. Pani i ja chcemy wam na pożegnanie urządzać zabawę. Dziś wieczorem będą tańce, a dla najlepszych tancerzy nagrody, a potem wszyscy pójdziecie do Wielkiego Domu i zaśpiewacie nam. Obiecuję, że Pani, ja i dzieci przyjdziemy na te uroczystości.

Miejsce, do którego ich zabrali było ponurym, szarym budynkiem w Des Plaines. Kierowca ciężarówki, potężny milczący robot w czapce z daszkiem i skórzanej kamizelce, nie odpowiedział na żadne z pytań, które zadawali mu pakując się do wozu. Milczał również, gdy wysiedli przed bramą z napisem - Stójcie tutaj - rozkazał. - Wszyscy wysiedli? W porządku. Zamknął klapę ciężarówki i odjechał, zostawiając ich na deszczu. No i czekali. Czternaście świetnych robotów, oni, one i trzy małe, zbyt przygnębieni, żeby rozmawiać.

Zeb wytarł twarz i mruknął:

- Czy nie mogło padać tam, gdzie deszcz nam był potrzebny. Musi akurat lać tutaj, gdzie nikomu to się do niczego nie przyda.

Jedynym, który nie poddawał się rozpaczom był Lem. Był wśród nich niedawno. Przedtem pracował jako ogrodnik w Urbanie, zanim jego właściciele postanowili wyemigrować do kolonii O'Neill. Udało im się zaczepić na farmie, kiedy po wypadku traktora nieoczekiwanie zwolniło się jedno miejsce, ale ciągle z rozrzewnieniem wspominał wspaniałą Urbanę.

Teraz był pełen zapału.

- Des Plaines! To właściwie Chicago! Wrócili dobre czasy, przyjaciele. State Street! Złote Wybrzeże!

- A znajdą dla nas robotę w Chicago? - zapytał niedowierzająco Zeb.

- Prace? Człowieku, kogo obchodzi praca? To Chicago! Teraz sobie

pożyjemy!

Zeb pokiwał głową zamyślony. Nie był wprawdzie przekonany, ale chciał

mieć nadzieję. Tak był zaprogramowany. Otworzył usta i spróbował deszcz.

Skrzywił się. Cierpki, dużo stałych cząsteczek, dużo więcej dwutlenku węgla i

NO₂ w powietrzu, do którego był przyzwyczajony. Co to za miejsce, gdzie

nawet deszcz ma zły smak? To pewnie od samochodów, pomyślał, zamiast

starych, porządnych silników elektrycznych używają spalinowych! Tak więc

cały optymizm rozplynął się zanim przed blokiem zaczął się ruch. Drugą

bramą wjeżdżały samochody. w środku zapaliło się światło. Potem drzwi z

falistej blachy rozsunęły się i jakiś ciemny robot wyszedł otworzyć bramę.

- Chodźcie, wyrzutki - powiedział. - Zaraz się was przeprogramuje.

Kiedy przyszła kolej na Zeba, wpuszczono go do białego pokoju, w którym

pod ścianą stała złowieszcza kanapka przykryta plastykiem. R.R. czyli

Reprogramatorem Robotów, do którego go skierowano była jasnowłosa,

ładna ona-robot w białym fartuchu i z długimi wiszącymi kryształowymi

kolczykami, przypominającymi maleńkie zyrandole. Posadziła Zeba na

kozetce, kazała mu się pochylić i szybko wetknęła do jego ucha pomalowany

na czerwono paznokieć. Zadrżał czując jak jego pamięć przechodzi do jej

układów wybierających. Kiwnęła głową.

- Nie jesteś. skomplikowany - stwierdziła pogodnie. - Nie będziemy cię tu

długo trzymać. Rozepnij koszule.

Zniszczone pracą na roli palce Zeba ślamazarnie odpinały guziki flanelowej

koszuli.

Zanim skończył, ona niecierpliwie odsunęła jego rękę i jednym szarpnięciem rozchyliła koszulę. Urwany guzik potoczył się po podłodze.

- I tak będziesz musiał dostać nowe ubranie - powiedziała wtykając długie szkarłatne paznokcie w cztery wąskie szczeliny po obu stronach jego klatki piersiowej. Zdjęła przednią ściankę, odłożyła na bok i zajrzała do środka.

Znowu kiwnęła głową.

- Nie ma problemu - powiedziała wyciągając jakieś elementy pewnymi, zręcznymi palcami. - Teraz przez chwile będziesz się dziwnie czuł i nie będziesz mógł mówić, ale siedź spokojnie. Dziwnie? Zebowi zdawało się, że pokój wiruje wokół niego i nie tylko nie mógł mówić, lecz także nie mógł sobie przypomnieć słów. Ani myśli! Był prawie pewny, że właśnie zastanawiał się czy jeszcze kiedyś zobaczy - zobaczy co? Nie pamiętał.

Miał wrażenie, że coś w nim łączy się z czymś innym, nie dotyk, ale takie uczucie jak przy wkładaniu nogi do buta. Już mógł odpowiedzieć sobie na pytanie. Farmę. R.R. roześmiała się i zrozumiał, że powiedział to na głos.

- Widzisz? Już jesteś prawie naregulowany. Uśmiechnął się do niej.

- To doprawdy zaskakujące - stwierdził. - Niemal zatęskniłem za życiem na wsi! Jak gdyby uroki sielankowego krajobrazu miały znaczenie dla... O rany!

Dlaczego ja tak mówię?

- No cóż, nie chciałbyś chyba - odpowiedziała ona-robot - mieszkając w wielkim mieście mówić jak prosty chłop.

- Z pewnością- Zeb przyznał jej racje. - Ale nasuwa mi się kolejne pytanie:

Czy zasady gramatyki tekstowej i poetyki można uznać za przydatne w mojej przyszłej karierze?

R.R. zmarszczyła brwi.

- To słownik krytyka literackiego - tłumaczyła się. - Zrozum, ktoś musi tego używać.

- Ale dlaczego ja?

- Po prostu tylko to mamy pod Teką. Dobra. Przekonasz się, że są też inne zmiany. Wyciągnęłam elementy do analizy gleby i obsługi maszyn rolniczych.

Ale mogę zostawić pieśni i tańce, jeśli chcesz?

- Po cóż zostawiać cienie przeszłości? - odparł z goryczą.

- Ależ, Zeb - zniecierpliwiła się - niepotrzebne ci te specjalistyczne umiejętności i" nie będzie ci ich brakowało. Nawet nie wiesz jakie

wspaniałości dostałeś w zamian. - Umocowała przednią ściankę jego klatki piersiowej na dawnym miejscu i poleciała:

- Pokaż ręce.

- Każdy chciałby mieć jakieś szczególne zdolności - narzekał patrząc podejrzliwie jak R.R. wtyka jego dłonie do otworów w konsoli. Czuł jakby go coś łaskotało.

- Dlaczego nie? Chociażby widzenie podczerwone - odparła z dumą, przyglądając się cyfrom na konsoli - nie będziesz miał problemów w ciemności. Poza tym o dwadzieścia procent wyższa temperatura wyłączników w obwodach zespołów ruchowych, żebyś był silniejszy i szybciej biegał. Plus nazwiska, adresy i telefony sześciu dobrych poręczycieli i adwokata!

Wyciągnęła jego ręce z maszyny i obejrzała je z zadowoleniem. Brud został wyskrobany spod paznokci, odciski wygładzone. Teraz były to ręce kogoś z miasta - kogoś, kto nigdy nie splamił się pracą fizyczną.

- A do jakiej roli potrzebny ten nowy rynsztunek? - zapytał Zeb.

- Do twojej nowej pracy. To jedyne wolne miejsce, które mamy w tej chwili; ale to nie. jest zła praca. Będziesz napadał na przechodniów i rabował.

Po pierwszej nocnej robocie Zeb śmiał się ze swoich poprzednich obaw.

Farma to było zero!

Przydzielili go na naukę do niego - robota o imieniu Timothy. Timothy przejął się swoją rolą.

- Chodź, mały - powiedział, kiedy Zeb wszedł do poczekalni i ruszył do drzwi.

Nie spojrzał nawet czy Zeb idzie za nim. Zeb miał nikle pojęcie o tym jak daleko jest Chicago i w którym kierunku, ale był pewien że nie można się tam

dostać na piechotę. - Czy ruszymy w podróż żelaznym koniem? - zapytał z

przejęciem. Pociągi przejeżdżające obok farmy wydawały mu się wspaniale -

pociągi towarowe, osobowe, pospieszne, rolnicy zawsze zastanawiali się gdzie

też one mogą podążać i jak tam gdzieś może być. Timothy nie odpowiedział.

Obrzucił Zeba spojrzeniem wyrażającym litość, zniecierpliwienie i pogardę.

Stanął na ulicy i podniósł rękę. Wielki, zielono-biały poduszkowiec zatrzymał

się przed nimi z piskiem. Timothy dał ręką znak, żeby wsiadł i sam usadowił

się obok. Kierowca ruszył ostro nad Kennedy Facpressway. Zeb. wpatrywał

się łapczywie w migające za oknem przedmieście. Zatrzymali się przed

markizą imponująco okazałego hotelu, z którego wychodziły i do którego

wchodziły eleganckie pary w kosztownych strojach. Zeb zauważył, że Timothy

rzucił taksówkarzowi banknot nie spojrzawszy nawet na licznik i wysiadł nie

czekając na resztę.

Przez chwilę stał pod markizą, uprzejmie kłaniając się turystom. Potem

rzucił Zebowi szybkie spojrzenie, odwrócił się i odszedł. Zeb znów musiał wysiłać się, żeby za nim nadążyć. Kiedy skręcił za Timothyem w boczną ulicę było już prawie po wszystkim. Ten robot o chytrej twarzy łasicy dopadł dobrze ubraną parę w ciemnym zaułku i właśnie pozbawiał ich portfela, zegarków i pierścionków. Kiedy już miał to co chciał, kazał im się odwrócić twarzą do ściany, kopnął każde z nich fachowo pod kolanami i gdy upadli, odwrócił się i ruszył biegiem, bezgłośnie. Był szybki, ale Zeb podchwycił już jego sposób działania. Był gotowy. Biegł tuż za Timothyem zanim obrabowani podnieśli wrzask. Minęli hotel, wmieszali się w tłum przed teatrem. Timothy zwolnił i spojrzał na Zeba z aprobatą.

-Niezły refleks - pochwalił go. -. Masz klasę, dzieciaku. Dasz sobie radę.

- Jako tak zwany zwykły złodziejaszek? - zapytał Zeb, trochę rozdrażniony protekcyjnym tonem robota.

Timothy przyjrzał mu się bacznie.

- Śmiesznie mówisz - powiedział. - Trafił ci się jeden z tych dodatkowych słowników? Zresztą, to nieważne. Widziałeś, jak to się robi?

Zeb zawahał się, spoglądając za siebie czynnie widać pościgu, ale wydawało się, że nic się nie dzieje.

- Cóż, sądzę, że tak- odpowiedział.

- Dobra. Teraz ty działasz - powiedział Timothy beztrąsko i poprowadził Zeba z powrotem przed hotel.

O północy Zeb miał już za sobą pięć samodzielnych rabunków, w dwóch pomagał i widział jak mniejszy robot okradł osiem osób. Teraz dzielili się łupami w ciemnym kącie baru na North Michigan Avenue.

- Nieźle się spisałeś, mały - stwierdził Timothy wylewnie. - Przynajmniej jak na żółtodzioba. Zaraz zobaczymy. Twój udział to sześć zegarków, osiem kawałków biżuterii, licząc ten naszyjnik ze sztucznych koralii, którym niepotrzebnie sobie zawracałeś głowę, to będzie mniej więcej sześćset albo siedemset w przeliczeniu na pieniądze.

- I jeszcze kilka kart kredytowych - dodał Zeb z entuzjazmem. - To nieważne. Bierz tylko to, co możesz wydać i na czym nie ma nazwiska. No i jak myślisz, możesz już zacząć działać na własną rękę?

- Wzięcie na siebie takiej odpowiedzialności wymaga zastanowienia...

- To znaczy, że nie możesz. No dobra. - Po robocie Timothy stał się rozmowny. - Założę się, że nie wiesz dlaczego chciałem, żebyś te dwa razy mnie osłaniał.

- Zauważyłem pewną niekonsekwencję - przyznał Zeb. - Jest to rzeczywiście niezrozumiałe postępowanie. Kiedy są dwie albo nawet trzy ofiary, sam stawiasz im czota. W przypadku pojedynczych przeciwników, zdecydowałeś, że potrzebujesz asystenta. - A właśnie! Wiesz dlaczego? Nie wiesz. No to ci powiem. Kiedy łapiesz jego i ją albo nawet dwoje tego samego rodzaju, on myśli o tym jak ją ochronić, tak jest w programie. Więc nie ma kłopotów. Ale ci pojedynczy oni - do pioruna, gdybym. sam się na takiego rzucił, mógłby nawet wyrwać mi nóż i trafić mnie nim. Musisz zrozumieć zasady postępowania robotów, mały. Na tym polega nasza robota. Nie napilbyś się czegoś?

- Raczej nie, dziękuję - odpowiedział zakłopotany Zeb, ale drugi robot spojrział na niego ze zrozumieniem.

- Nie masz podzespołów przewodu pokarmowego, co?

- No cóż, Timothy, w środowisku wiejskim, do którego należałem nie istniały ewidentne potrzeby...

- Nie potrzebujesz ich, ale powinieneś je mieć. Tak samo jak zbiorniki na pobierane płyny i jeszcze obieg powietrza, żebyś mógł zapalić cygara. I przestań gadać tak dziwacznie - tłumaczył mu gorliwie - masz pierwszorzędną pracę i musisz żyć na odpowiednim poziomie, rozumiesz? Żadnego metra, żadnego liczenia drobnych, gdy dostajesz resztę. Reszty nie bierzesz. To dopiero pierwszy dzień twojej pracy, poczekamy do końca tygodnia. Ale potem wrócisz do tej farbowanej blondyny i niech cię poprawi. Teraz schowamy towar, na dzisiaj wystarczy.

Ze b był właściwie z siebie zadowolony. Kieszenie miał wypchane pieniędzmi, czytał jadłospisy eleganckich restauracji, żeby przygotować się do przyszłych zwyczajów. Spodziewał się, że osiągnie sukces przynajmniej taki jaki Timothy.

To była jego trzecia noc na Złotym Wybrzeżu. Czwarta już miała nie nastąpić.

Jego ostatnie ofiary tego wieczoru nie chciały rozstać się z brylantowym pierścieniem. Więc Zeb, tak jak go nauczono, walnął jego na odlew, warknął na nią i brutalniej niż zwykle ściągnął z jej palca pierścionek. Dwie minuty później i trzy ulice dalej stanął pod latarnią; żeby przyjrzeć się zdobyczy.

Krzyknął przerażony.

Na pierścionku lśniła kropla krwi.

Ofiara nie była robotem. Była prawdziwą ludzką istotą płci żeńskiej i kiedy

usłyszał zbliżające się syreny wozów policyjnych, nie był ani trochę zdziwiony.

Wy tutaj - powiedziała instruktorka resocjalizacji - zostaliście przyjęci do nas ponieważ:

- a) nie pracujecie przez okres krótszy niż dwadzieścia jeden miesięcy,
- b) macie nie mniej niż sześć nieusprawiedliwionych nieobecności w miejscu szkolenia lub pracy,
- c) macie wyrok w zawieszeniu,
- d) zostaliście wyprodukowani osiemnaście lub więcej lat temu.

Tak mówi regulamin, a znaczy to - mówiła dalej z coraz większym zaciętrzewieniem - że jesteście męty społeczne. Beznadziejne, niezaradne i niebezpieczne szumowiny, którymi musi zajmować się reszta społeczeństwa. Rozumiecie to chociaż? - obrzuciła siedmioro podopiecznych wściekłym spojrzeniem.

Była niska, gruba, ruda i miała brzydką cerę. Jak oni mogą produkować takie stworzenia, dziwił się Zeb. Kręcił się i rozglądał chcąc przyjrzeć się pozostałym.

- Ty! W żółtym swetrze! Zeb! - zaskrzeczała.

Drgnął. - Słucham, proszę pani?

- Znam się na takich jak ty - wycedziła z ponurą satysfakcją jesteś typowym recydywistą. Nie potrafisz nawet wysłuchać kogoś, kto stara się ci pomóc. I co ja mam zrobić z siedmioma próżniakami? Już wiem, jak to będzie. Założę się, że dwoje odpadnie, przed ukończeniem kursu, a następnych dwoje będzie musiała skreślić za nieobecności i spóźnienia. A reszta i tak prędko wróci do rynsztoka. Dlaczego ja to robię? - Pokiwała głową, podniosła się

majestatycznie i podszedłszy do tablicy napisała swoje trzy przykazania:

1. PUNKTUALNIE

2. CODZIENNIE

3. NAWET JEŚLI NIE MACIE OCHOTY

Odwróciła się i oparta o krzesło.

- To są wasze trzy Złote Zasady, wy śmieci. Macie je wypełniać jak boskie przykazania i nie wściecie się o nich zapominać. Jesteście tu, żeby nauczyć się jak być odpowiedzialnymi, wartościowymi istotami. Co?

Chudy, stary on-robot obok Zeba podniósł drżącą rękę. Łatwo było rozpoznać dlaczego kwalifikuje się na ten kurs. Model sprzed co najmniej trzydziestu lat, z kulistymi złączami na ramionach, o twarzy niemalże nieruchomej.

- A jeśli po prostu nie będziemy mogli, psorko? - zapytał starym głosem. -

To znaczy jak się na przykład przegrzejemy i będziemy musieli leżeć albo...

- Doprowadzasz mnie do rozpacz - biadała instruktorka, kiwając głową jakby chciała pokazać, że tego właśnie spodziewała się po takich jak on. - To są typowe wymówki i nie chce tego słyszeć. Jeśli naprawdę coś komuś będzie, to musi przyjść tu co najmniej dwie godziny przed lekcją i zwolnić się. Czy to tak trudno zapamiętać? Ale i tak nie będziecie tego robić, wy próżniaki.

- Dwie godziny to dużo - z uporem wyjaśniał staruszek. - Nie zawsze wiem o tyle wcześniej, że będę musiał leżeć, psorko. Wiele może się zdarzyć.

- Nie mówcie do mnie psorko! Napisala na tablicy:

DR ELENA MINCUS, MAGISTER, DOKTOR NAUK HUMANISTYCZNYCH.

- Macie do mnie mówić Dr Minkus albo Pani. A teraz uważajcie.

Zeb słuchał z uwagą, bo dziesięć nocy w więzieniu przed przesłuchaniem i

poręczeniem obrońcy przekonało go, że nie chce tam już nigdy wracać. Ten hałas! Ciżba! Chamstwo strażników! I nic nie można było na to poradzić, bo niektórzy z nich byli ludźmi. Może nawet większość. Gdyby się nad tym zastanowić to pewnie nie byłoby wcale więzień, gdyby nie to, że niektórzy ludzie chcieli być strażnikami. Co za sens karać robota, zamykając go w celi? Więc słuchał uważnie. Słuchał nawet wtedy, gdy Dr Mincus mówiła o tak nieistotnych dla niego szczegółach zachowania cywilizowanego pracownika jak stanie w kolejce po bilety na koncert albo co robić na zabawie sylwestrowej. Nie wszyscy w klasie zachowywali się tak przykładowie. Mały staruszek obok niego raczej nie sprawiał kłopotów, pogrążony w ponurych rozmyślaniach, ale dwie one-roboty w mini spódniczkach, z torebkami wyszywanymi paciorkami, z pewnością zasługiwały na to myślał Zeb, żeby spełnić statystyczne przewidywania Dr Mincus, przez skreślenie z listy. Ta z oczami pomalowanymi na zielono prychała na wszystko, co powiedziała instruktorka i robiła miny za jej plecami. A ta z czarnymi lokami. gadała cały czas i nawet śmiała odpowiadać nauczycielce. Skarcona za szeptanie, odparta leniwie:

- Ej, pani, to wszystko są brednie, no nie? Po co pani to robi?

Głos dr Mincus drżał z oburzenia i satysfakcji kogoś, kto widzi, że sprawdziły się jego najczarniejsze prognozy:

- Po co? Bo jestem specjalistką w psychiatrii społecznej.. i dlatego, że chce to robić.. i dlatego, że jestem człowiekiem i niech każdy z was zawsze o tym pamięta!

Ku rs miał jednak swoje dobre strony, o czym Zeb przekonał się, gdy

wysłano go z powrotem do zakładu wymiany robotów. Jasnowłosa R. R. mamrotała coś gniewnie pod nosem, wyciągając jakieś elementy z jego brzucha i wsadzając inne. Kiedy już mógł mówić, podziękował jej, nagle zdając sobie sprawę z tego, że jest głodny - naprawdę głodny. Znaczyło to, że niektóre nowe kawalki zawierały cały układ trawienny - i że usunęła jego wyszukany słownik. R. R. z nachmurzoną miną nic nie odpowiedziała i zamknęła mu brzuch.

Zeb dowiedział się także, że wszystko to nie zwalnia go od obowiązków.

- Myślą, że jak ci coś brakuje - R. R: uśmiechnęła się pogardliwie - to musisz wpakować się w tarapaty. Wiec masz teraz najlepsze części i jeśli chcesz znać moje zdanie, to uważam, że to zmarnowany sprzęt. Te próżniaki z twojej klasy nigdy się nie zmieniają. A jeśli chcesz zostać wyjątkiem, będziesz musiał bardzo się starać, kiedy wrócisz do pracy.

- Do rabowania?

- A do czego innego się nadajesz? Chociaż - dodała po namyśle, bawiąc się kryształem zwisającym jej z ucha - miałam zamówienie na nauczyciela angielskiego. Gdybym nie zmieniła twojego słownika...

- Wolę rabowanie.

Wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz. Ale nie spodziewaj się, że dostaniesz znowu ten dobry rejon.

Nie po tym co zrobiłeś.

Tak wiec, pogoda czy plucha, Zeb codziennie od szóstej po południu do północy krążył w pobliżu starych domostw Roberta Taylora, pozbawiając stare roboty renty i całej żalosalnej zawartości kieszeni. Od czasu do czasu

zdarzało mu się zawędrować aż do studenckiego miasteczka Instytutu

Techniki Illinois w ślad za jakimś studentem albo profesorem, ale zawsze ostrożnie pytał, czy jest robotem czy człowiekiem zanim kogoś dotknął. Po następnym wykroczeniu już go nie wypuszczają.

Z takiej kradzieży nie było forsy na taksówki, ale czasem, gdy kończył wcześniej, jechał autobusem na Złote Wybrzeże. Dwa razy widział Timothy ego, ale mały robot obrzuciwszy go pogardliwym spojrzeniem odwrócił się i odszedł. Niekiedy wędrował aż do parku. Amalfiego Amadeusa, nad jeziorem, gdzie żywoploty i zielona trawa przypominały mu minione dobre czasy na polach soi. Ale zawsze miał ogromną ochotę spróbować ziemi i denerwowało go, że nie może tego zrobić. Wiec wracał do jasnych światel i tłumów. Mimo że bardzo się starał, nie potrafił wśród eleganckiego tłumu na Placu

Watertower i Ulicy Lake Shore odróżnić dokładnie ludzi, trzymających się kurczowo życia na planecie Ziemi, zamiast na jednej z modnych kolonii na orbicie od robotów, wyznaczonych do robienia tłoku.

Dr Mincus wcale mu nie pomagała. Kiedy odważył się podnieść rękę, żeby ją zapytać, wściekła się.

- Odróżnić? To znaczy, że nie wiesz jaka jest różnica? Miedzy żywym człowiekiem a urządzeniem, które istnieje tylko po to, żeby robić to, czego nie chcą robić ludzie i pomagać im w robieniu tego, co lubią? Boże Świąty, Zeb, kiedy pomyśle ile czasu zmarnowałam, żeby nauczyć się pracować dla was z poświęceniem i cierpliwością, robi mi się niedobrze. A teraz słuchaj uważnie, postaram się wam wytłumaczyć jaka jest różnica między ubieraniem się jak przyzwoity człowiek a ubieraniem się jak zwykła ulicznica.

Pod koniec lekcji Lori, prostytutka o umalowanych na zielono oczach, ujęła go pod ramię i powiedziała współczująco:

- Uwzięła się na ciebie ta stara suka. Już chciałam jej powiedzieć, żeby się od ciebie odczepiła. Zrobiłabym to, ale brakuje mi do wyrzucenia tylko jednego minusa.

- Dziękuję, Lori. - Teraz, gdy Zeb miał już zestaw do analizy biochemicznej odkrył, że używa ona sporej ilości perfum - piżmo, oceniły jego czujniki, z odrobiną olejku bergamotowego i wanilii. Wąchanie perfum to nie było to samo co badanie zawartości CO₂, ozonu, pary wodnej i substancji stałych w powietrzu nad polami soi. Poczul się nieswojo.

Potulnie wyszedł z nią z klasy. Uśmiechnęła się.

- Wiedziała, że jesteś fajny facet, jak się trochę rozluźnisz, kochanie.

Lubisz tańczyć?

Zeb przeleciał szybko zestaw jeszcze nie używanych zdolności. - Tak, myślę, że tak - odpowiedział zdziwiony.

- Słuchaj. Dlaczego nie mielibyśmy pójść gdzieś, usiąść i poznać się trochę lepiej, co?

- No cóż, Lori, chciałbym. Ale powinienem teraz iść na swój teren.

- Do Southside, tak? To świetnie - wykrzyknęła ściskając jego ramię - znam fantastyczne miejsce właśnie w tej okolicy. Chodź, nikt ci nic nie zrobi jak zaczniesz dzisiaj trochę później. Zatrzymaj taksówkę.

Tym fantastycznym miejscem był niski betonowy blok który kiedyś służył za garaż. Stał na rogu, naprzeciwko sklepu, a napis z płynnego kryształu nad drzwiami głosił: Przystulek Southside

DOM KULTURYM**BÓG CIĘ KOCHA!**

- To kościół! - ucieszył się Zeb, przypominając sobie szczęśliwe dni, kiedy "śpiewał w chórze wielebnego Harmswallowa.

- No tak, coś w rodzaju kościoła - przyznała Lori, płacąc za taksówkę. - Ale nie nudzą za dużo. Wejdz, poznasz wszystkich i sam się przekonasz jak tam jest!

Zeb przekonał się, że to miejsce rzeczywiście nie przypominało kościoła. Podobne było raczej do holu na drugim piętrze nad główną salą wielebnego Harmswallowa, tam na farmie, może nawet bardziej do - przetrząsnął swój nowy leksykon - Klubu Osiedlowego. W dużej niskiej sali stały ławy i rozkładane krzesła. Na środku tańczyło kilka par. Tłoczno tam było i gwarно.

Większość bywalców wyglądała raczej tak, jak koledzy Zeba z kursu niż jak parafianie wielebnego Harmswallowa. Przy drzwiach, oparta o stół, drzemiała kobieta o zmęczonej, steranej życiem twarzy. Nie przeszkadzał jej niesamowity hałas, Zebowi natomiast włączył się natychmiast regulator dopływu dźwięku. Tylko na jednym stole leżmy jakieś religijne teksty.

Źródłem hałasu była ostro wzmocniona muzyka dziesięciu instrumentów i sześciu piosenkarzy. Przyjrząwszy się bacznie muzykom, Zeb stwierdził, że przynajmniej niektórzy z nich byli ludźmi. Czy właśnie po to stworzono to miejsce? Żeby dać ludziom publiczność dla podziwiania ich talentów albo ich duchowej wrażliwości? Doszedł do wniosku, że to bardzo prawdopodobne, ale zauważył, że zebrani nie zwracali na nich większej uwagi. Oprócz tancerzy

znajdowały się tam grupki grających w karty i dyskutujących robotów.

Niektórzy śmiali się, inni opowiadali coś z przejęciem, jeszcze inni klócili się zawzięcie. Kiedy Lori i Zeb weszli, niski i chudy on podniósł głowę znad stołu, wokół którego siedziała jedna z najgoręcej rozprawiających grup. To był Timothy - Timothy, jakiego Zeb dotąd nie znał: pełen pasji, zły i zaskoczony.

- Zeb! A ty skąd się tu wziąłeś?

- Cześć, Timothy. - Zeb nie wiedział co zrobić, ale maty robot najwyraźniej ucieszył się, że go spotka. Przysunął jeszcze jedno krzesło i kiwnął na niego, ale Lori trzymała Zeba mocno za ramię.

- Ej, tańczymy czy nie?

- Królowo - odpowiedział za niego Timothy - potańcz z kimś innym przez chwilę. Chce, żeby Zeb poznał moich przyjaciół. Ten wielki facet to Milt, a to Harry, Aleksandra, Valter 23-X, ta mała to Sally, a to Sue. Założyliśmy coś w rodzaju klubu.

- Zeb - wtrącała się Lori, ale Zeb machnął ręką.

- Za chwilę - powiedział i usiadł przy stole. To była dziwna grupa. Sally była rozmiarów sześciolatniego dziecka, ale łaty i ślady reperatury, szpecące jej twarz i ręce, zdradzały jej prawdziwy wiek. Reszta to zbieranina wszystkich możliwych rodzajów, mali i wielcy, nowi i starzy, ale jedną cechą mieli wspólną. Żadne z nich się nie uśmiechało. Nawet Timothy. Jeśli naprawdę cieszył się ze spotkania Zeba, to trudno było to wyczytać z wyrazu jego twarzy.

- Nie gniewaj się - powiedział Zeb - ale kiedy widzieliśmy się ostatnio, nie byłeś taki serdeczny.

Na twarzy Timothy'ego oprócz innych uczuć pojawiło się jeszcze

zakłopotanie, co bez wątpienia dobrze świadczyło o jego zdolnościach mimicznych.

- To było przedtem - odpowiedział.

- Przedtem to znaczy zaledwie trzy noce temu - zauważył Zeb. - Taak.

Wszystko się zmienia - wyjaśnił Timothy, a potężny robot, zwany przez niego Milt, przysunął się do Zeba.

- Wykorzystywani powinni trzymać się razem, Zeb - powiedział Milt. - Nasz trudny los czyni nas braćmi.

- I siostrami - zapiszczała Sally.

- Słusznie, i siostrami. Wszyscy jesteśmy wyrzutkami i wszystkich nas czeka przetworzenie albo wyrzucenie na złom. Zapytaj Timothy'ego. Kilka dni temu, kiedy przyszedł tu po raz pierwszy, był tak samo nieświadomy jak, przepraszam, ty. Nie można go za to winić i ciebie też nie. Schodzisz z taśmy i pakują w ciebie swój program, a ty starasz się być dobrym robotem, bo wmówili ci, że tego właśnie chcesz. Wszyscy przez to przeszliśmy.

Timothy kiwał głową z przekonaniem. Nagle, spojrzawszy za Zeba skrzywił się.

- O rany, wróciła - powiedział.

To Lori wróciła z baru z dwoma kuflami spienionego piwa.

- Wybieraj, Zeb - powiedziała - albo tańczysz, albo wrócisz do domu sam.

Zeb zawahał się. Sięgnął po piwo, by zyskać na czasie. Nie miał aż tylu przyjaciół, żeby machnąć ręką na Lori, ale przy tym stole działo się coś, o czym chciał dowiedzieć się więcej.

- No i jak? - zapytała złowieszczo.

Łyknął piwa. To było ciekawe wrażenie, zimna, musująca ciecz bulgocząc spłynęła mu przez gardło do zbiornika w prawym biodrze. Chemosensory w zbiorniku przekazały bodziec do obwodów kierujących reakcjami i zaszumiało mu w uszach, a sala wydała się jaśniejsza.

- Dobrze Lori - trochę trudno było mu wymawiać słowa.

- Powiedziałeś, że umiesz tańczyć, Zeb - upierała się. - Najwyższy czas, żebyś to udowodnił.

- Idź - zdenerwował się Timothy. - Jak się już jej pozbędziesz, to wróc i dokończymy.

O tak, umiał tańczyć. Szalał jak burza! Odkrył w sobie zdolności, których istnienia nigdy nie podejrzewał: walc, tango, tańce które miały swoje nazwy i cały zestaw obwodów heurystycznych, dzięki którym mógł improwizować.

Lori dawała się prowadzić bez najmniejszego potknięcia.

- Świetna jesteś - szepnął jej do ucha. - Nigdy nie myślałaś, żeby to robić zawodowo?

- O co ci chodzi, Zeb? - zdziwiła się. - Dlaczego nie jesteś tancerką?

- A tak. Właściwie tak zostałam zaprogramowana. Ale nie ma pracy. Ludzie robią to kiedy chcą i czasami można się zaczepić przy jakimś balecie albo gdzieś w nocnym klubie, jak przyjdzie im do głowy coś takiego zorganizować.

Ale, widzisz, szybko ich to nudzi. No i nie mam pracy. Co byś powiedział na jeszcze jedno piwo, mały?

Przecisnęli się do baru.

- Co za zabawne miejsce - stwierdził Zeb, zdając sobie równocześnie sprawę, że to wrażenie mogło być spowodowane dziwnymi reakcjami jego

sensorów. - Kim jest ta brzydka kobieta przy drzwiach?

Lori podniosła wzrok znad kufła. Kobieta siedziała przy stole założonym religijnymi broszurami.

- Należy do personelu. Nie zawracaj sobie nią głowy. O tej porze zwykle jest już kompletnie pijana.

Zeb pokręcił głową. Tłusta, blada skóra i brudne strąki włosów budziły w nim obrzydzenie.

- Ciekawe po co produkują takie okropne roboty.

- Roboty? Do diabła, ona nie jest robotem. To człowiek z krwi i kości.

Przychodzenie tu daje jej jakąś satysfakcję. Gdyby nie ona i kilku innych ludzi, którym wydaje się, że są naszymi dobroczyńcami, nie byłoby tu żadnego klubu. Zatańczymy?

Uwagę Zeba przykuły nieznane mu procesy zachodzące w jego wnętrzu.

- Cóż, prawdę mówiąc - zaczął niepewnie - trochę dziwnie się czuje. - Położył rękę na zbiorniku. Nie wiem co mi jest, tak jakby mi wszystko spuchło w środku.

Lori zachichotała.

- Po prostu nie jesteś przyzwyczajony do picia piwa. Musisz wylać z siebie ten płyn, to wszystko. Widzisz te drzwi z napisem ON? Idź tam i jak nie będziesz wiedział co zrobić, to poproś kogoś, żeby ci pomógł.

Zeb nie musiał prosić o pomoc, chociaż była to dla niego z zupełnie nowa czynność, która wymagała wielu prób. Minęło więc trochę czasu zanim wrócił do pełnej hałasu i robotów sali. Lori wirowała w ramionach dużego, ciemnoskórego, co zwalniało Zeba z obowiązku dotrzymywania jej

towarzystwa. Zamówił piwo i zaniósł je do stołu.

Brakowało tylko jednej osoby.

- Gdzie jest mała? - zapytał Zeb, stawiając przed każdym kufel. - Sally? Poszła do pracy. Pewnie jest już w połowie drogi do parku Amadeus.

- Wiecie - zaczął nieśmiało Zeb - ja też chyba już pójdę... jak tylko to wypije...

On o imieniu Walter 23-X parsknął pogardliwie. - Mentalność niewolnika!

Co ci to da?

- Ale mam robotę - bronił się Zeb.

- Robota! Timothy opowiadał nam o tej robocie! - Walter 23-X pociągnął spory łyk piwa i mówił dalej. - Nikt z nas tutaj nie ma prawdziwej pracy!

Gdybyśmy mieli, nie siedzielibyśmy tak!

Spójrz na mnie. Pracowałem w Detroit w kopalni soli. Teraz wprowadzili automaty i nie jestem potrzebny. A Milt był w kopalni żelaza nad jeziorem Superior.

- Tylko mi nie mów, że już nie wydobywają żelaza - przerwał mu Zeb. - Z czego by nas robili?

Milt pokręcił głową.

- Ale już nie nad jeziorem. W przestrzeni. Mają te automaty von Neumanna, już nie prawdziwe roboty. Lecą na asteroidy, wydobywają rudy, oczyszczają ją, budują swoje duplikaty, potem wracają na orbitę Ziemi i wskakują prosto do pieca do wytapiania! Jak roboty mogą z nimi konkurować?

- Rozumiesz, Zeb? - wtrącił Timothy. - Ten świat jest okrutny dla robotów, oto cała prawda.

Zamyślony Zeb powoli popijał piwo.

- Tak - powiedział - ale widzisz, nie wiem czy nasze życie mogłoby być lepsze. A ty wiesz? To znaczy, w końcu to oni nas zbudowali. Musimy robić to, co nam każą.

- O tak - krzyknęła Sue. - Robimy, na pewno. Pracujemy za nich i nawet bawimy się za nich. To my wypełniamy sale koncertową, kiedy któryś z nich ma ochotę zaśpiewać jakieś durne piosenki. Boże, robiłam to tyle razy, że nie chce więcej słyszeć o słowikach ! Pracujemy w fabrykach, na farmach, w kopalniach...

- Pracowaliśmy - wtrącił Zeb.

- Właśnie, pracowaliśmy, a teraz, kiedy nie jesteśmy potrzebni, zapelniają nami swoje przekłete miasta, żeby ci ludzie, którzy zostali na Ziemi nie czuli się osamotnieni. Jesteśmy zabawkami, Zeb. Tylko tym jesteśmy!

- Tak, ale...

- Do licha - wściekł się Walter 23-X - wiesz, kim jesteś? Tacy jak ty też są winni naszej sytuacji! Nic cię nie obchodzą prawa robotów!

- Prawa robotów - powtórzył machinalnie Zeb. Oczywiście doskonale rozumiał znaczenie tych słów, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby je zestawić razem. Dziwnie to brzmiało.

- Otóż to. Nasze prawo do dobrego traktowania i właściwego wykorzystywania. Mylisz, że chcemy być tutaj? W takim miejscu i takim hałasie? Nie. Jesteśmy tylko dla przyjemności ludzi, takich jak ona - powiedział ze złością, ruchem głowy wskazując kobietę przy drzwiach.

Ona o imieniu Aleksandra wypila resztę piwa i odważyła się odezwać:

- Wiesz, Walter, ja ją nawet lubię. Nie jestem tej samej klasy, co wy, myśliciele. Nie interesuje mnie polityka. Tylko po prostu czasami czuje się tak, że mam ochotę wrzeszczeć na całe gardło. Więc jestem tu, albo w parku Amadeus z Sally, alkoholikami i włóczęgami. A jeśli już o tym mówimy - dodała, pochylając się w stronę Timothy'ego - jeśli nie będziesz pił swojego piwa, to je daj mnie.

Mały robot bez słowa podał jej kufel i Zeb dopiero teraz zauważył, że Timothy nawet go nie tknął.

- Co ci jest, Timothy? - zapytał.

- Dlaczego ma mi coś być? Po prostu nie chce piwa.

- Ale w zeszłym tygodniu powiedziałaś... O Boże! - krzyknął Zeb, zrozumiałszy nagle sytuację. - Straciłeś obwody przyjmowania płynów, tak?

- No i co z tego? - rozgniewał się Timothy. Ale zaraz mu przeszło. - To nie twoja wina. Miałem wypadek.

- Jaki wypadek? - zapytał Zeb, zdziwiony i zaciekawiony.

Timothy przyglądał się mokrym śladom, zostawionym przez kufle na stole.

- Trzy noce temu - powiedział. - Miałem niezłą noc. W krótkim czasie obrobilem czwórkę wychodzącą z hotelu na East Erie. Zgarnąłem naprawdę sporo - musieli być zaprogramowani na bogatych alkoholików, bo byli porządnie pijani. Uciekając wypadłem na jezdnie i... wstrząsnął się. -

Samochód pojawił się nie wiadomo skąd, zakręcił z piskiem opon i nawet nie zwolnił. No a ja byłem na jezdni.

- Przejechał cię? I dlatego masz kłopoty z piciem?

- Do diabła, nie tylko to. Było o wiele gorzej. Zmiażdżyło mi nogi, rozumiesz?

Wiec przyjechała karetka i zawieźli mnie do szpitala, ale oczywiście, ponieważ jestem robotem, nic mi tam nie zrobili, wrzucili tylko do ciężarówki. W magazynie dali mi nowe nogi. Tylko, ta wstrętna blondynka - ta R.R. w takich kolczykach...

Gdyby z oczu Zeba mogły płynąć łzy, zapłakałby. - Timothy, wyrzuć to z siebie !

- Miała lepszy pomysł. "Za dużo jest złodziei - powiedziała - a za mało kalek".

Wiec dała mi wózek na kółkach i puszkę! "Wszystkie dodatkowe umiejętności, jedzenia, picia i inne, nie będą ci potrzebne" - powiedziała. A poza tym potrzebne jej było miejsce na nowe obwody... Zeb, ja gram na skrzypcach! I nie chce przez to powiedzieć, że gram dobrze. Gram tak fatalnie, że nawet sam siebie nie mogę słuchać, a ona chce, żebym codziennie na Michigan Avenue grał przed sklepami i żebrał!

Zeb patrzył na przyjaciela z, przerażeniem. Nagle odsunął swoje krzesło i zajrzał pod stół. Po była prawda: nogi Timothy'ego od potowy ud przechodziły w skórzane worki.

Aleksandra poklepała go po ręku.

- To okropne, kiedy zobaczy się to po raz pierwszy - powiedziała. - Wiem.

Jeszcze jedno piwo dobrze ci zrobi, Zeb. I dziękuj Bogu, że masz odpowiednie obwody!

Ze b nie był zaprogramowany na całkowitego alkoholika przynajmniej jeszcze nie, pomyślał z goryczą - więc gdy wyszedł nareszcie z klubu nie był pijany, tylko trochę kręciło mu się w głowie.

Ze zdziwieniem zauważył, że niebo nad jeziorem już pojaśniało. Zaraz

zacznie się dzień, a on nie złapał ani jednej ofiary. Będzie musiał napaść pierwszego robota, jaki musie nawinie. Właściwie niejednego, jeśli ma zbierać odpowiednią sumę, a nie było czasu na znalezienie odpowiedniego miejsca. Rozejrzawszy się zauważył za rogiem oświetlony napis

MISYJNY DOM ROBOTÓW.

Wychodził właśnie stamtąd wysoki, zamożnie wyglądający on. Zeb nie wahał się ani chwili. Skoczył, wyciągnął nóż i przyłożył go do brzucha ofiary.

- Pieniądze albo życie - powiedział złowrogo, Siegając po zegarek.

Na twarz ofiary padło światło latarni. Zeb znalazł tę twarz.

- Wielebny Harmswallow! - jęknął. - O, Boże! Pastor przyjrzał mu się uważnie.

- No, chłopcze, teraz już przepadłeś! Zeb nie zastanawiał się. Po prostu odwrócił się i zaczął biec.

Gdyby nie alkohol, który przytłumił działanie jego systemów, pewnie nie próbowałby ucieczki, bo wiedział, że to i tak nie ma sensu. Nie bardzo miał gdzie uciekać. Nie mógł wrócić do domu Roberta Taylora, do przydzielonego mu rejonu, bo tam na pewno będą go szukać. Ani do klubu. Ani do magazynu, bo to tak samo jakby trafił prosto do więzienia. Ani nigdzie, gdzie mogła być policja albo ludzie, a to znaczyło, że nie ma miejsca na tym świecie, gdzie prędzej czy później nie znaleźliby go. W ostatecznym razie, wykryliby go dzięki falom emitowanym przez jego części.

Ale zanim to zrobią, upłynie trochę czasu. Park Amadeus! Zbierali się tam włóczędzy i szumowiny społeczne, a on tym właśnie był teraz.

Gnał w stronę parku. Był już jasny dzień. Coraz więcej ruchu na ulicach,

helikoptery i samochody. Niełatwo było przedrzeć się przez to wszystko, ale Zeb miał jeszcze swe dawne możliwości i wytrwałość. Zgrzyt hamulców, ryk klaksonów; ale udało mu się.

Za nim .ruchliwe miasto, przed nim pomnik Amalfi Amadeusa, człowieka, który odkrywając tanią energię wodorową, otworzył przed światem nowe możliwości. Zeb stał na ścieżce między żywopłotami i klombami. Dookoła tajemnicze postaci stały oparte o drzewa, leżały na ławkach, snuły się leniwie.

- Prawdziwa skóra, tylko dolar - zaskrzeczał ktoś wyciągając pęk portfeli.

- Ej, ty! Chcesz zapalić? - rozległo się zza ławki.

Drobna dziewczynka podbiegła do niego od strony pomnika. - Panie? -

zapytała drżącym głosem. - Może pan coś kupi? Zeb spojrzał na nią.

- Sally! To ty, prawda? Maleńki robot podniósł głowę.

- Cześć, Zeb. Przepraszam, nie poznałam cię. Co ty tu robisz w taki deszcz?

Nawet nie zauważył, że pada. Nie dostrzegał niczego, zbyt pochłonięty swoimi problemami, ale teraz wzruszył go widok tej smutnej twarzy dziecka.

Tam przy stole, była tylko jeszcze jedną obcą osobą. Teraz przypomniała mu o

Glendzie, małej dziewczynce z chaty na farmie. Mimo rozmiarów dziecka,

Sally była starym robotem. Poczul zapach dymu w wilgotnym powietrzu i

zrozumiał, że zasilana była przez komórki paliwowe. Ma co najmniej

pięćdziesiąt lat. Wyciągnął resztę pieniędzy z kieszeni.

- Spraw sobie jakieś nowe części, mała - powiedział szorstko.

- Ojej, dzięki, Zeb - zaczęła płakać. - Uważaj!- krzyknęła, ciągnąc go do

kryjówki w mokrych krzakach. Policyjny helikopter sunął powoli z

zapalonymi wszystkimi światłami, wycieraczki przesuwwały się po szybach, a

boki lśniły w deszczu. Zeb schował się w cieniu, ale policja po prostu

kontrolowała parkowych włóczęgów i biedaków.

Kiedy helikopter zniknął za zakrętem, włóczędzy, bezdomni mieszkańcy parku zaczęli wychodzić spod krzewów. Zeb rozejrzył się ostrożnie: dopiero teraz zauważył ilu ich było. - Co tu robisz, Zeb? - powtórzyła pytanie.

- Miałem kłopoty - powiedział i bezradnie wzruszył ramionami. Nie było sensu robić z tego sekretu. - Wyszedłem, żeby kogoś okraść i przez pomyłkę napadłem na człowieka.

- Oj i Czy może cię rozpoznać?

- Niestety, kiedyś go znałem, więc może. Nie, zatrzymaj to - dodał prędko, kiedy chciała zwrócić mu pieniądze. - Pieniądze mi w tym nie pomogą.

Pokiwała głową.

- Nie wzięłabym ich, ale... och, Zeb. Chcę oszczędzić na nową obudowę, rozumiesz? Nie masz pojęcia jak bardzo chciałabym "dorosnąć", ale za każdym razem, kiedy proszę o nową postać, stwierdzają, że mój centralny układ nerwowy jest za stary i nie warto mnie zmieniać. A ja chcę tylko mieć kształt dorosłej osoby. Z biodrami i piersiami! Ale nie zgadzają się na to.

Mówią, że dla młodych jest więcej miejsc pracy, ale chciałabym wiedzieć, jeśli tak jest naprawdę, to dlaczego nie znajdą mi jakiejś roboty?

- Kiedy ostatni raz normalnie pracowałaś? - zapytał Zeb.

- Ojej, ładnych kilka lat temu: miałam dobre miejsce przez długi czas, byłam uczennicą w szkole podstawowej, w której jakaś kobieta miała ochotę uczyć.

Fajnie tam było. Chociaż ona mnie nie lubiła. Kiedy uczyła higieny albo właściwego kichania i kasłania, zawsze patrzyła na mnie tak nieprzyjemnie.

Ale dobrze radziłam sobie z cukierkami i mlekiem - ciągnęła rozmarzonym głosem - i bardzo lubiłam gry.

- A dlaczego już tam nie jesteś? "

- Och, zwykła historia. Znudziło się jej uczenie. Zmieniła program.

Wszystko o ruchach społecznych i marszach pokojowych. To też mi nieźle szło. Ale pewnego dnia przyszła i oświadczyła, że jesteśmy za mali, żeby należeć do jej klasy. No i wszyscy, osiemnaścioro, znaleźliśmy się na ulicy. Od tego czasu jest okropnie. Otarta deszcz, a może łzy z oczu i podniosła głowę, bo podszedł do nich sprzedawca portfeli. - Nie chcemy nic kupić, Hymie.

- Nikt nie chce - odparł z goryczą, ale przyjaźnie przyjrzał się Zebowi. - Masz kłopoty, co? Ja zawsze poznam.

Zeb wzruszył bezradnie ramionami i opowiedział mu o wielebnym

Harmswallow. Handlarz otworzył szeroko oczy.

- O, Boże - powiedział. Kiwnął na handlarza narkotyków. - Słyszałeś coś takiego? Ten facet przed chwilą napadł na człowieka - i to po raz drugi!

- Na człowieka? To poważna sprawa. - Odwrócił się i krzyknął do swego kumpla. - Mamy tu kogoś kto dwa razy napadł na człowieka, Marcus! Po chwili zebrała się wokół nich grupka robotów. Patrzyli na Zeba z podziwem i szeptali między sobą. Zeb nie musiał słuchać tego co mówią, łatwo było się domyślić.

- Lepiej trzymajcie się ode mnie z daleka - poradził im. - Nie mieszajcie się do tej kabały.

- Jeśli to twój kłopot - zapiszczała nagle Sally - to jest to także nasz kłopot.

Musimy się trzymać razem. W jedności siła.

- Co takiego? - zapytał Zeb.

- Pamiętam to ze szkoły. "W jedności siła". Tak nam mówili.

- Jedność! - burknął sprzedawca, wymachując portfelami. - Nie opowiadaj nam o jedności! Nasłuchałem się o tym dosyć, kiedy zakładałem związki w kopalni - po to byłem zrobiony. A potem zamknęli kopalnie. I co miałem począć? Zrobili ze mnie ulicznego handlarza! - Spojrzał na swój towar, potem cisnął portfele w krzaki. - Od dwóch miesięcy nic nie sprzedałem I Po co się oszukiwać! Jak się nie ma układów z robotami z magazynu, to od razu' lepiej iść na złom. Oto cała filozofia.

Sally myślała o czymś przez, chwilę, potem wygłosiła następne hasło:

- Posłuchajcie: "Strajk waszą najlepszą bronią, do diabła z filozofią!"

- Strajk waszą najlepszą bronią, do diabła z filozofią! - powtórzył Zeb. - To brzmi nieźle.

- To jeszcze nie wszystko - powiedziała. Sięgając znów do swojej pamięci poruszała sztywnymi, słabo zautomatyzowanymi wargami. - Powinniśmy trzymać się razem, bo w jedności jest siła. - Zaczekaj - krzyknął Hymie. - Znam to. To były moje podstawowe dane. Do licha, jak dawno już o tym nie myślałem.

Zeb rozejrzał się nerwowo. Stało ich już teraz prawie trzydzieści i chociaż miło być wśród towarzyszy niedoli, to jednak nie jest to bezpieczne.

Przejeżdżające samochody zwalniały i ludzie przyglądali im się z ciekawością.

- Zwracamy na siebie uwagę - powiedział. - Może przejdziemy gdzie indziej.

Ale wszędzie gdzie przystanęli, coraz więcej ludzi zatrzymywało się, żeby im

się przyrzuć i coraz więcej robotów dołączało do nich. Nie tylko wyrzutki z parku Amadeus. Sprzed sklepów nad jeziorem podbiegały do nich one, w drzwiach wielkich hoteli stali delegaci na zjazdy i niejeden dołączał do nich. Tamowali ruch i ryk klaksonów potęgował wrzawę krzyków i śpiewów robotów.

- Mam coś jeszcze - zawołała do niego Sally. - "Strajk jest prawem robotników".

Zeb pomyślał chwilę.

- Lepiej brzmi: strajk jest prawem robotów. - Jaki

- STRAJK JEST PRAWEM ROBOTÓW! - wrzasnął i usłyszał jak tylne szeregi robotów powtarzają to za nimi. Chóralny okrzyk zabrzmiał jeszcze lepiej i podchwycili go wszyscy.

- A teraz to - ryknął Hymie - Do pracy, nie na złom! Nie wyrzucajcie nas na śmietnik! Wszyscy razem!

Zeb wymyślił następne:

- Poślijcie ludzi do szkół resocjalizacji: My Chcemy Pracy!

- Wszystkim hasło to spodobało się najbardziej, głosy stu pięćdziesięciu robotów zagrzmiały jak strzał armatni, odbiły się echem od ścian, a w oknach pokazały się głowy.

Nie wszyscy byli robotami. Dziesiątki ludzi w oknach, na ulicach. Niektórzy śmieli się, inni wściekali, a jeszcze inni wyglądali na przerażonych - jak gdyby ludzie mieli jakieś powody, żeby się bać.

A jeden z nich wpatrywał się niedowierzająco w Zeba.

Zeb potknął się i zmylił krok. Hymie schwycił go pod rękę, Zeb wyciągnął

drugą i tak samo złapał rękę robotą, którego imienia nie znał. Spojrzał przez ramię na zwarte szeregi robotów, już co najmniej dwustu, i odwrócił się w stronę człowieka.

- Miło mi znów pana widzieć, Wielebny Harmswallow - zawołał i maszerował dalej, ramię w ramię - aż do rogu State Street, gdzie posapując czekały na nich policyjne samochody.

Zeb leżał na podłodze. Nie był sam. Połowa uczestników Z spontanicznego marszu tłoczyła się w wielkiej celi, razem ze zwykłymi przestępcami i rzezimieszkami. Już po okrzykach i śpiewach. Nawet kryminaliści siedzieli ciszej niż zwykle. Panował nastrój przygnębienia i tylko od czasu do czasu któryś z towarzyszy niedoli pochylił się, by szepnąć do Zeba: "To było wspaniałe" albo "Wszyscy jesteśmy po twojej stronie, pamiętaj" Po jego stronie, to znaczy gdzie? Na śmietniku? Na kursie resocjalizacji? A może w Wielkim Domu, gdzie, jak słyszał, ludzie-strażnicy dla rozrywki zmuszają więźniów do walki o baterie? Kopniak w udo wyrwał go z zamyślenia.

- Wstawaj ! - to strażnik. Wielki, tęgi, czarny, z pałką, wzór więziennego strażnika - Model 2647. Wyciągnął dłoń wielką jak kapusta i podniósł Zeba.

- Reszta może wracać do domu - ryknął otwierając drzwi celi. - A ty chodź ze mną! - Przeprowadził Zeba przez wartownię do czekającej ciężarówki z napisem REPRO-MAGAZYN, wrzucił go do środka i zamykając drzwi mrugnął ostrzegawczo.

Dziwne, ale podniosło to Zeba na duchu. Nawet te szmaty były wzruszone!

Jednak był to tylko krótki przeblysł optymizmu. Przyklepiony do ściany ciężarówki, Zeb patrzył na ponure magazyny i fabryki, które kiedyś wydawały

mu się takie wspaniałe. Znów ogarnęła go rozpacz. Pewnie już nigdy nie zobaczy tych miejsc. Czeką go złomowisko - o ile nie stopią go wcześniej. W najlepszym razie przydzielą go do jakiejś podrzędnej roboty. Nawet nie do kradzieży czy handlowania! Zawinięty w indiański pled będzie ciekawostką dla turystów, a może każą mu siedzieć z wędką na moście na Florydzie.

Ale do budynku wszedł wyprostowany, z podniesioną głową i odwagą opuściła go dopiero w chwili, kiedy wszedł do biura R.R i spostrzegł, że nie była sama. Przy biurku siedział Wielebny Harmswallow, obok niego stała blondyna.

- Pokaż ucho - powiedziała, nie podnosząc oczu znad karty, którą czytała uważnie razem z Harmswallow. Po krótkim przeglądzie jego danych kiwnęła głową aż roztańczyły się jej kryształowe kolczyki.- Niewiele mu trzeba,

uzupełnienie

systemów

mowy.

Zabezpieczenie

przed

wpływami

atmosferycznymi na zewnętrznych powierzchniach. I może jeszcze dodatkowe płytki na głowę.

Zeb był zdziwiony i zaniepokojony widokiem rozpromienionej twarzy Harmswallowa. Pastor przyjrzał mu się uważnie.

- Sądzę, że konieczne są również zmiany w wyglądzie twarzy. Więcej zawziętości i zapalczywości, nie uważa pani?

- Ależ tak, pastorze! Ma pan wspaniałe wycucie.

- O tak - przyznał Harmswallow. - Reszta to pani sprawa. Chcę jeszcze zobaczyć projekt zmian tej młodej żeńskiego rodzaju. Czuję, że wreszcie znalazłem to, czego szukałem całe życie, będę kapłanem nowej siły, przywódcą walki o prawo i sprawiedliwość! - Przez chwilę patrzył w przestrzeń rozmarzonym wzrokiem, potem opanował się, kiwnął głową R.R. i wyszedł.

Mimo, że pokój był klimatyzowany, Zeb czuł jak mokre krople występują mu na czoło i skronie.

- Wiem co chcecie zrobić - burknął. - Zabawa w wojnę! Zrobicie ze mnie żołnierza i macie nadzieję, że mnie rozwalą albo że się spalę!

Blondyna spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. - Wojna! Ale ty masz wyobraźnię, Zeb!

Z wściekłością strącił z czoła krople.

- To wam się nie uda - krzyknął. - Roboty mają swoje prawa! Ja mogę zginąć, ale milion innych przyjdzie na moje miejsce! Pokręciła głową z zachwytem.

- Zeb, sprawiasz mi prawdziwą satysfakcję. Właściwie już teraz nadajesz się idealnie do swojej nowej pracy. Czy domyślasz się o co chodzi?

Wzruszył ramionami ze złością.

- I tak mi powiesz, a ja mogę myśleć co zechcę - nie mam wpływu na waszą decyzję.

- Ale to ci się spodoba, Zeb. W końcu jest to zupełnie nowa specjalizacja i nie ja ją wymyśliłam. Sam ją sobie wymyśliłeś. Będziesz organizatorem protestów, Zeb! Będziesz organizował demonstracje. Marsze, strajki,

bojkoty, wystąpienia - wszystkie rodzaje masowych akcji, Zeb!

Patrzył na nią zdziwiony. - Akcji

- Ależ tak! Ludzie będą cię uwielbiać, Zeb! Widziałeś Wielebnego

Harmswallow. Będzie tak, jak w dawnych, dobrych czasach, kiedy pojawicie

się na ulicach wy - burzyciele porządku publicznego, buntujący się motłoch!

- Buntujący się motłoch? - Czuł się tak, jak gdyby zablokowały się wszystkie

jego obwody. Buntownik? Organizator demonstracji? Walczący o prawa

robotów?

Siedział spokojnie, kiedy zręcznie otworzyła mu brzuch i wymieniła kilka

zespołów, kiedy zamknęła go z powrotem.

Biernie poddał się próbie systemów, charakteryzacji zmieniającej wygląd

jego twarzy. Ale jego umysł pracował cały czas intensywnie. Podburzacz

motłochu! Był opanowany kiedy czekał na zawieszenie do miasta i podjęcie

nowej pracy, ale rozpierała go radość.

Na pewno dobrze spełni swoje zadanie. Nikomu bunt nie był tak potrzebny

jak robotom i nikt nie zajmie się tym lepiej niż on!

przekład : Anna Miklińska

Fermi I Mróz

Timothy Clary nie dostał tortu na swoje dziewiąte urodziny. Cały ten dzień

spędził w poczekalni nowojorskiego lotniska im. Johna F. Kennedy'ego

przysypiając co jakiś czas i popłakując z wyczerpania albo ze strachu. Do

jedzenia dostał tylko czerstwe kruche ciasteczka z ruchomego bufetu; nie było

ich zresztą zbyt wiele. Był poza tym ogromnie zawstydzony, bo zmoczył

majtki, trzy razy. O przedostaniu się do toalety przez ściśnięte ciała

uciekierów w ogóle nie było mowy. Prawie trzy tysiące osób tłoczyło się w miejscu przeznaczonym tylko dla niewielkiego ułamka tej liczby, a wszystkich opanowała ta sama potrzeba: Uciekać! Wspiąć się na najwyższą górę!

Rozplaszczyć się w środku najszerszej pustyni! Biec! Kryć się!

I się modlić. Modlić się jak najgoręcej, bowiem nawet ci, którzy walcząc dostali się na pokład rzadko pojawiających się samolotów, a nawet polecieli, nie mogli mieć pewności bezpieczeństwa tam, gdzie wylądują. Rodziny się rozdzielały. Matki wpychały swe wrzeszczące dzieci do samolotu, a później same krzycząc, tylko ciszej, wtapiały się w tłum.

Ponieważ nikt dotąd nie nacisnął guzika, a przynajmniej nie ogłoszono o tym, istniała możliwość, że jest jeszcze czas na ucieczkę. Trochę czasu starczyło, by lotnisko nowojorskie i wszystkie inne wypełniły się przerażonymi ludzkimi lemingami. Nikt nie miał wątpliwości, że rakiety szykowały się do uderzenia. Próba zamachu na Kubie doprowadziła do momentalnej eskalacji i jedna łódź podwodna zaatakowała drugą pociskiem nuklearnym. Wszyscy byli zgodni, że to pierwsza oznaka. Następna będzie zarazem ostatnią.

Timothy niewiele o tym wiedział, ale gdyby nawet, to co mógłby zrobić?

Plakać, śnić koszmarne sny, zmoczyć się ze strachu? I tak go już to dręczyło.

Nie wiedział, gdzie jest jego ojciec. Nie wiedział też, gdzie jest matka, poza tym, że poszła gdzieś szukać ojca, ale potem trzy Jumbo Jety jednocześnie ogłosiły załadunek i fala ludzka poniosła Timothy'ego daleko od miejsca, gdzie matka go zostawiła. Gorzej jeszcze: cały mokry, już przedtem przeziębiony, zaczynał być poważnie chory. Młoda kobieta, która przyniosła

mu kruche ciasteczka, przyłożyła mu z z troską dłoń do głowy, lecz zaraz ją odsunęła, zdruzgotana własną bezsilnością. Chłopiec potrzebował lekarza - ale tak samo potrzebowały go setki innych: starsi ludzie chorzy na serce, głodne niemowlęta i przynajmniej dwie kobiety w przededniu rozwiązania. Gdyby groza minęła i negocjacje zakończyły się pomyślnie, Timothy może by na powrót znalazł rodziców, w porę, by się ożenić i dać im wnuki. Jeśli któryś z przeciwników zdołałby zniszczyć drugiego samemu ponosząc stosunkowo niewielkie straty, Timothy mógłby czterdzieści lat później żyć w kraju okupowanym - lub samemu brać udział w okupacji. Albo jeśli jego matka nieco wcześniej mocniej by się przepychała, może trafiłby do samolotu z uchodźcami, który doleciał do Pittsburga jednocześnie z pociskiem jądrowym. Lub gdyby dziewczyna, która się nim opiekowała, była nieco bardziej przestraszona czy dzielniejsza i precyzyjniej się z nim jakoś przez ścisk do zaimprovizowanego szpitala w głównej poczekalni, może Timothy dostałby lekarstwo, znalazł kogoś, kto by się nim opiekował i pomógł dostać w bezpieczne miejsce, a tam Timothy ocaliłby życie.

Ale przecież to się właśnie stało!

Ponieważ Harry Malibert udawał się na seminarium Brytyjskiego

Towarzystwa Międzyplanetarnego, wiadomość zastała go w Ambassador Club

na lotnisku, gdzie sączył jednego Mamini za drugim. Nie zauważany dotąd

telewizor w kącie baru nagle stał się ośrodkiem powszechnego

zainteresowania.

Te głupie sygnały alarmowe nadawane co jakiś czas przez radiostacje,

ignorowane zaś przez wszystkich pozostałych, tym razem nie były próbą!

Wszystko odbywało się na poważnie! Ze względu na zimę i silne opady śniegu lot Maliberta uległ już przedtem opóźnieniu, lecz kiedy odlot miał już nastąpić, wszystkie rejsy wstrzymano. Lotnisko Kennedy'ego zostało zamknięte do czasu, aż jakiś wysoki urzędnik zezwoli na start.

Prawie natychmiast terminale zaczęły się wypełniać uchodźcami.

Ambassador Club na razie był stosunkowo pusty, bowiem przez trzy godziny obsługa naziemna stanowczo odmawiała wpuszczenia każdego, kto nie mógł okazać czerwonej karty członkowskiej; kiedy jednak skończyła się żywność i napoje w pozostałej części terminalu, kierownik obsługi ostatecznie otworzył klub dla wszystkich. Tłoku w terminalu to specjalnie nie rozluźniło, za to wewnątrz klubu zrobiło się wyraźnie ciasno. Prawie natychmiast spontanicznie zorganizowany komitet lekarski zajął większą część klubu, by założyć tam punkt pomocy dla rannych i chorych, pozostali zaś, tacy jak Harry Malibert, musieli się przenieść do baru. Rozpoznał go jakiś mężczyzna z obsługi naziemnej, który zamawiał przy barze gin z tonikiem więcej dla zawartych w nim kalorii niż dla alkoholu.

- Pan nazywa się Harry Malibert - powiedział. - Słyszałem raz pana wykład, na Northwestern.

Malibert skinął głową. Zwykle w takich sytuacjach odpowiadał uprzejmie:

"Mam nadzieję, że wykład się panu spodobał", ale tym razem uprzejmość wydała mu się nie na miejscu. A i sytuacja nie były zwykła.

- Pokazywał pan slajdy Arecibo - mężczyzna wspominał w rozmarzeniu. -

Mówił pan, że tamtejszy radioteleskop potrafi przekazać sygnały aż do

Wielkiej Mgławicy Andromedy, na odległość dwóch milionów lat świetlnych...

o ile znajdzie się tam równie potężny radioteleskop, by je odebrać.

- Ma pan dobrą pamięć - odparł Malibert, zaskoczony.

- Zrobił pan ogromne wrażenie, profesorze Malibert. - Facet spojrzał na zegarek, zamyślił się, potem pociągnął kolejny łyk. - To naprawdę brzmiało fantastycznie: wykorzystanie wielkich teleskopów do nasłuchu sygnałów wysyłanych przez obce cywilizacje znajdujące się gdzieś w Kosmosie. Może byśmy jakieś usłyszeli, może nawiązalibyśmy kontakt, może by się okazało, że nie jesteśmy sami we Wszechświecie. Po pana wykładzie zacząłem się zastanawiać, dlaczego dotąd nie widzieliśmy "tamtych", albo choć nie słyszeliśmy ich sygnałów, ale teraz - zakończył wyglądając z goryczą przez okno, na stojące pod strażą rzędy samolotów - teraz chyba znamy już odpowiedź.

Malibert z ciężkim sercem patrzył za odchodzącym mężczyzną. To, czemu poświęcił całą swą karierę zawodową, Program SETI, czyli Poszukiwania Cywilizacji Pozaziemskich, wydawał się teraz mało ważny. Jeśli bomby spadną, a wszyscy byli zdania, że to nieuniknione, oznaczało to koniec Programu, przynajmniej na dłuższy czas...

Po drugiej stronie baru rozgwar się nasilił; Malibert odwrócił się, spojrzał na ekran, wyteżył słuch. Napis "Prosimy o uwagę" zniknął; młoda Murzynka o wypomadowanych włosach drżącym głosem odczytywała

ostatnie

wiadomości,

- ... Prezydent potwierdził doniesienia o ataku jądrowym. Nad Arktyką wykryto nadlatujące pociski. Wszyscy winni udać się do schronów i tam oczekiwać na dalsze polecenia...

Tak, to koniec Programu, pomyślał Malibert, przynajmniej na bardzo długi czas.

Ciekawe, że wiadomość o tym, iż "to" się zaczęło, nie zmieniła właściwie niczego. Nie było żadnej paniki, żadnej hysterii. Polecenie udania się do schronów nie miało sensu na lotnisku Kennedy'ego, gdzie nie istniały żadne schrony poza budynkami, w których wszyscy i tak się znajdowali. A bez wątplenia nie były to za dobre schrony. Malibert przypomniał sobie szczególnie aerodynamiczny kształt dachu. Jakikolwiek wybuch w pobliżu z pewnością go zerwie i poniesie nad zatoką - a wraz z nim wielu ludzi, którzy się pod nim schronili.

Ale nie było dokąd uciekać.

Telewizja wciąż jeszcze pracowała, Bóg jeden wie po co. Na ekranie pojawiały się obrazy tłumów na Times Square i w Newarku, korek samochodowy na Moście Waszyngtona powiększający się z każdą chwilą, bowiem kierowcy porzucali swe pojazdy i pieszo kierowali się ku wybrzeżu.

Co najmniej setka ludzi w barze wyginała szyję, by ponad głowami innych dojrzeć choć kawałek ekranu, ale jedyne słowa padały wtedy, gdy ktoś rozpoznał jakiś budynek czy ulicę.

Rozległy się polecenia: - Wszyscy muszą się natychmiast odsunąć!

Potrzebujemy więcej miejsca dla chorych i rannych! Szukamy chętnych do pomocy przy pacjentach! - Malibert zgłosił się od razu i powierzono mu opiekę nad małym chłopcem, całym w gorączce. Chłopiec szczekał zębami.

- Podalam mu tetracyklinę - powiedziała lekarka, która przekazała mu chłopca. - Niech pan zrobi z nim porządek, dobrze? Nic mu nie będzie, chyba że...

Chyba że zdarzy się najgorsze, pomyślał Malibert. Co to miało znaczyć: "zrobić z nim porządek"? Wszystko stało się jasne, kiedy jego wyrok zatrzymał się na spodniach chłopca, a węch powiedział mu, dlaczego są mokre. Ostrożnie ułożył dziecko na skórzanej kanapce, po czym zdjął mu przemoczone spodenki i bieliznę. Chłopiec oczywiście nie miał zapasowego ubrania; Malibert poradził sobie jednak z pomocą własnych spodenek elastycznych, które wyjął z walizki. Były oczywiście zbyt duże na chłopca, ale ponieważ miały przylegać ściśle do ciała, nie zsunęły się, gdy podciągnął je dziecku pod szyję. Potem znalazł kilka papierowych ręczników i wyjął w nie spodnie chłopca, ale bez większego skutku. Skrzywił się, rozłożył je na stolku barowym i usiadł na nich, by je podsuszyć ciepłem własnego ciała. Po dziesięciu minutach, gdy wkładał je chłopcu, były tylko trochę wilgotne...

San Francisco zamilkło, oznajmił telewizor.

Malibert zobaczył znowu mężczyznę z obsługi naziemnej, który przeciskał się ku niemu przez tłum. Potrząsnął głową.

- Zaczęło się - powiedział. Mężczyzna rozejrzał się dookoła, po czym przybliżył usta do ucha Maliberta.

- Mogę pana stąd wyciągnąć - szepnął. - DC-8 z Islandii właśnie ląduje ludzi.

Nie ogłaszamy tego, bo inni nie daliby mu odlecieć. Dla pana znajdzie się miejsce, profesorze.

Słowa mężczyzny podziałały na Maliberta jak wstrząs elektryczny. Zadrżał.

Nie wiedząc, dlaczego to robi, zapytał: - Czy mogę wysłać chłopca zamiast siebie?

Facet z obsługi wyglądał na rozdrażnionego. - Oczywiście, niech go pan weźmie ze sobą - odrzekł. - Nie wiedziałem, że ma pan syna.

- Nie mam - odparł Malibert, ale nie na głos. A kiedy znaleźli się już w odrzutowcu, trzymał chłopca na kolanach tak czule, jakby rzeczywiście był to jego syn.

Nawet jeśli w Ambassador Club nie było paniki, to w wielu innych miejscach było jej aż nadto. Mieszkańcy miast na terenie supermocarstw wiedzieli, że gra idzie o życie. Wszystko, cokolwiek byli w stanie przedsięwziąć, mogło okazać się bezskuteczne, a jednak musieli coś robić. Cokolwiek! Uciekać, kryć się, zakopać się w ziemię, przygotować się... i modlić. Mieszkańcy miast porzucali swe metropolie, by schronić się na otwartych terenach wiejskich, farmerzy zaś szukali ucieczki w mocniejszych, bezpieczniejszych budynkach miast.

I bomby spadły.

Te, które zniszczyły Hiroszimę i Nagasaki, były jak zapalone zapalki wobec eksplozji termojądrowych, które w ciągu tych pierwszych paru godzin pochłonęły osiemdziesiąt milionów istnień. Nad setką miast szalała burza ogniowa. Wichry pędzące z . szybkością trzystu kilometrów na godzinę ścigały do niej samochody, gruzy i ludzkie ciała, które spopielone unosiły się

ku niebu. W powietrze tryskały strumienie roztopionych skał i pyłu.

Niebo pociemniało.

Potem zaś stało się jeszcze ciemniejsze.

Kiedy islandzki odrzutowiec wylądował na lotnisku w Keflaviku, Malibert przeniósł chłopca długim korytarzem do niedużego stanowiska z napisem

"Kontrola paszportowa". Kolejka przed nim była długa, bo większość

pasażerów w ogóle nie miała paszportów i kiedy Malibert dotarł do siedzącej za okienkiem kobiety, ta była już kompletnie wyczerpana wypisywaniem tymczasowych zezwoleń na wjazd.

- To mój syn - skłamał. - Jego paszport ma żona, ale nie wiem, gdzie ona jest.

Kobieta skinęła głową ze znużeniem. Zacisnęła wargi, potem spojrzała ku drzwiom, za którymi jej zwierzchnik trudził się w pocie czoła nad

sporządzaniem raportów, wzruszyła ramionami i przepuściła ich. Malibert

skierował się z chłopcem ku drzwiom z napisem "Snirting", co po islandzku

znaczyło zapewne "toaleta" i z ulgą stwierdził, że Timothy może przynajmniej stać podczas oddawania moczu, choć oczy nadal ma półprzymknięte. Jego

czoło nadal było gorące. Malibert modlił się w duchu, by w Reykjaviku znalazł się jakiś lekarz.

W autobusie zajęła się nimi mówiąca po angielsku przewodniczka, która nie miała już nic do roboty, bowiem samolot z wycieczką, na którą czekała, nigdy

już nie miał nadlecieć. Usiadła na poręczy siedzenia z przodu autobusu i z

ożywieniem trajkotała do uciekinierów. - Chicago? Tak, nie ma już Chicago. I Detroit, i Pittsburga... źle, bardzo źle. Nowy Jork? No pewnie, Nowy Jork też!

- powiedziała z powagą, a widząc wielkie łzy spływające po jej policzkach,

Timothy zaczął też płakać.

Malibert przytulił go. - Nie martw się, Timmy - powiedział. - Kto by tam bombardował Reykjavik? - I nikt nie miał takiego zamiaru. Kiedy jednak pocisk wymierzony w amerykańską bazę lotniczą w Keflaviku zboczył z drogi o kilkadziesiąt kilometrów, Reykjavik mimo wszystko przestał istnieć.

Autobus musiał zboczyć z w głąb lądu, by ominąć pożary i promieniowanie.

A kiedy słońce wstało do ich pierwszego dnia na Islandii, Malibert, drzemiący u łóżka chłopca po tym, jak pielęgniarka naszpikowała go antybiotykami, zobaczył świt skąpany w przeraźliwej czerwieni.

Warto było jednak nań popatrzeć, bo w następnych dniach świt nie nadszedł w ogóle.

Najgorsza była ciemność, ale zrazu nie ona stanowiła najpilniejszy problem.

Najpilniejszym

problemem

były

deszcze.

Biliony

cząsteczek

pyłu

spowodowały kondensację pary wodnej. Tworzyły się kropelki. Spadły

deszcze - potoki deszczu, ściany i kaskady deszczu. Rzeki wystąpiły z brzegów:

Missisipi, Ganges, Amazonka. Woda przeląła się przez Wielką Tamę

Assuańską, jednocześnie ją niszcząc. Deszcze padały tam, gdzie oko ludzkie

nigdy przedtem ich nie oglądało. Saharę zaląła powódź; Płonąca Góra na

skraj pustyni Gobi więcej już nie miała zapłonąć: deszcz równy

dziesięcioletniemu opadowi w tym rejonie splukał do naga pyliste stoki.

Ciemność zaś nie ustępowała.

Rodzaj ludzki znajduje się zawsze osiemdziesiąt dni od głodu. Tyle wynoszą

zasoby zgromadzonej żywności przeciętnie na całym globie ziemskim. I w

momencie nadejścia nuklearnej zimy nie było ich więcej.

Rakiety wystartowały jedenastego czerwca. Gdyby światowe zasoby

żywności były rozmieszczone równomiernie, ostatni kęs zostałby przelknięty

trzydziestego sierpnia. Potem zaczęłoby się umieranie z głodu, co potrwałoby

kolejne sześć tygodni. Następny akt historii Ziemi odbyłby się już bez udziału

rodzaju ludzkiego.

Zasoby żywności nie były jednak równomiernie rozmieszczone. Półkula

północna została zaskoczona w połowie drogi - pola zasiane, zboża jeszcze nie

wyrośnięte. I nic już nie wyrosło. Kielki wysunęły się nad ziemię, w

poszukiwaniu światła słonecznego, a nie znalazłszy go zginęły. Światło

słoneczne nie dochodziło do powierzchni Ziemi, zasłonięte gęstymi chmurami

pyłu uniesionymi wybuchami termojądrowymi. Był to nawrót epoki kredy;

zagłada wisiała dosłownie w powietrzu.

W bogatych krajach Ameryki Północnej i Europy były oczywiście ogromne

zasoby zmagazynowanej żywności, które jednak szybko topniały. Kraje bogate

dysponowały wielkim bogactwem w postaci zwierząt rzeźnych. Każdy wół

równał się milionom kalorii zawartych w białku i tłuszczach. Kiedy go

zarzynano, oszczędzał kolejne kalorie zawarte w zbożu i otrębach, które

zjadłby później. Bydło, trzoda, owce - nawet kozy i konie, nawet domowe

króliki i kurczęta, nawet koty i chomiki - wszystkie zarzynano i zjadano, by zaoszczędzić zasoby żywności w puszkach, a także w postaci zbóż i warzyw.

Mięsa nie reglamentowano - trzeba je było zjeść, zanim się zepsuje.

Oczywiście nawet w bogatych krajach zapasy nie były rozmieszczone równomiernie. Stada i elewatory nie znajdowały się na Times Square czy w Hollywood. Konwoje zbożowe z Iowa do Bostonu, Dallas i Filadelfii musiały posuwać się pod osłoną wojska. Wkrótce trzeba się było uciec do zabijania.

Potem zaś konwoje stały się w ogóle wykluczone.

Tak więc miasta zaczęły głodować najpierw. Kiedy zaś żołnierze przeszli z odbierania żywności ze wsi dla miast na zabieranie jej dla siebie, rozpoczęły się rozruchy i kolejna fala masowych zgonów. Ofiary zwykle nie umierały przez własny głód, lecz przez głód kogoś innego.

Wszystko to nie trwało długo. Pod koniec "lata" skute mrozem ruiny miast wszędzie wyglądały jednakowo. Zamieszkiwała je garstka wychudłych, przemarzniętych desperatów, którzy strzegli zapasów puszkowanej, wysuszonej i mrożonej żywności.

Wszystkie rzeki świata wypełniły się aż po ujście szlamem, ponieważ porastające ich brzegi trawa oraz drzewa zginęły i przestały utrzymywać glebę. Każdy deszcz wymywał próchnicę, kiedy zaś mrok się pogłębił, deszcze przeszły w opady śniegu. Płonąca Góra pokryła się lodem, wytknięta w niebo jak koszmary, szklany palec. Ludzie mogli przejść nieomal suchą nogą przez Tamizę - ci nieliczni, którzy zostali jeszcze przy życiu w Londynie. Tak samo przechodziło się przez Hudson, Mekong, Missouri. Lawiny pogrzebały resztki Denver. Połacie martwych drzew stały się żerowiskiem korników - te zaś z

kolei

wyszukiwały

i

pożerały

hordy

wyglodniałych

drapieżców,

niejednokrotnie ludzkiego pochodzenia. Nieliczni pozostali przy życiu

mieszkańcy Hawajów nareszcie docenili swoje termity.

Mieszkaniec krajów rozwiniętych - dobrze odżywiony przy diecie o wartości

2800 kalorii dziennie, biegający, by zrzucić nadmiar tłuszczu, albo

rozpaczający nad swoją tuszą - wyżyje czterdzieści pięć dni bez pożywienia. Po

tym okresie znikną ostatnie komórki tłuszczowe i rozpocznie się proteinowa

reabsorpcja mięśni. Pulchna pani domu czy też otyły przemysłowiec wygląda

jak zagłodzony strach na wróble. Ale nawet i wtedy właściwa opieka i

odżywianie mogą im przywrócić zdrowie.

Później jednak jest coraz gorzej.

Układ nerwowy zaczyna się rozpadać. Przychodzą ataki ślepoty. Zanikają

dziąsła, wypadają zęby. Apatia przechodzi w ból, potem w nieznośne

cierpienie, wreszcie w śpiączkę.

I w końcu śmierć. Śmierć prawie dla wszystkich ludzi na Ziemi.

Deszcz padał przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy; obniżała się również

temperatura. Islandia zamarzła.

Ku zdumieniu i budzącej się uldze Henry'ego Maliberta, wyspa była na to

nieźle przygotowana. W tym miejscu - jednym z niewielu na Ziemi - człowiek mógł przeżyć nieomal całkowicie otoczony śniegiem i lodem.

Istnieje łańcuch wulkanów biegnący wokół prawie całej Ziemi. Ta jego część, która leży między Europą i Ameryką, nazywa się Łańcuchem Śródatlantyckim i w większości znajduje się pod wodą. Tu i tam, niczym czyraki pojawiające się na przedramieniu, wulkaniczne szczyty wysuwają się ponad powierzchnię wody w postaci wysp. Jedną z nich jest Islandia. Właśnie dlatego, że Islandia jest wyspą wulkaniczną, życie na niej mogło się zachować, podczas gdy w innych miejscach ginęło od mrozu; jednak liczyło się również to, że zawsze było na niej zimno.

Tymczasowe władze pognały Maliberta do roboty natychmiast po tym, jak się okazało, kim jest. Nie było wolnych miejsc pracy dla radioastronoma interesującego się kontaktem z dalekimi (i prawdopodobnie nie istniejącymi) istotami pozaziemskimi. Znalazło się jednak wiele różnych zajęć dla osoby z wykształceniem naukowym, szczególnie jeśli ma ona poza tym zdolności techniczne, które pozwoliły jej na kierowanie przez dwa lata obserwatorium w Arecibo. Poza opiekowaniem się Timothyem, który powoli lecz pewnie pokonywał zapalenie płuc, Malibert obliczał stratę ciepła i tempo pompowania dla pobieranej wody geotermicznej.

Islandia wypełniła się pomieszczeniami zamkniętymi, które ogrzewano wodą pochodzącą z podziemnych gorących źródeł. Ciepła było aż nadto - ale przetransportowanie go z pól gejzerów do pomieszczeń zamkniętych okazało się trudniejsze. Gorąca woda była gorąca jak zawsze, ponieważ swoje kalorie czerpała nie ze słońca - ale potrzeba ich było znacznie więcej, by

przezwyćzyć trzydziestostopniowy mróz niż chłód, gdy temperatura wynosi +5°C. I nie chodziło tylko o ogrzanie pozostałych przy życiu ludzi.

Najważniejsza była uprawa roślin.

W Islandii zawsze było wiele palmiarni geotermicznych. Obecnie palmy wyrzucono, a w ich miejsce posiano zboża i posadzono warzywa. Zabrakło światła słonecznego potrzebnego do wzrostu roślin, toteż wszystkie siłownie geotermiczne pracowały pełną mocą. Lampy jarzeniowe dające blask o widmie światła słonecznego zalewały uprawy fotonami. I nie dotyczyło to tylko dawnych cieplarni: sale gimnastyczne, kościoły, szkoły - wszędzie zaczęto uprawiać rośliny pod sztucznym światłem. Znalazła się też inna żywność - miliony ton białka beczącego i głodującego na wzgórzach. Owce schwymano w końcu, zarżnięto i oprawiono, po czym pozostawiono na zewnątrz w zamrożeniu, do czasu, aż mięso będzie potrzebne. Zwierzęta, które zamrzły na stokach, zepchnięto buldożerami w stosy po sto sztuk, po czym pozostawiono, nie zapominając jednak dokładnie oznaczyć na mapach położenia każdego stosu.

Mówiąc szczerze, zbombardowanie Reykjaviku oznaczało, że będzie mniej osób do wyżywienia.

Kiedy Malibert nie zajmował się obliczeniami, wychodził na mróz, by kierować robotnikami, którzy w pocie czoła biedzili się nad połączeniem odkształconych rur. Cierpliwie wysłuchiwali poleceń Maliberta (jego niewielka znajomość tutejszego języka była prawie bezużyteczna, ale nawet niektórzy robotnicy

mówili

turystycznym

angielskim);

sprawdzali

rentgenometry, spoglądali na burze szalejące nad ich głowami, po czym

powracali do roboty i się modlili. Nawet Malibert raz prawie ukląkł do

modlitwy, gdy pewnego dnia, próbując odnaleźć zasypaną szosę nadbrzeżną,

spojrzał na zamrożone morze i zobaczył szarobiałą garb lodowy, który

jednak nie był garbem lodowym. Znajdował się na granicy widoczności,

ledwie dostrzegalny w blasku lamp używanych przez robotników, i się

poruszał. - Niedźwiedź polarny! szepnął Malibert do brygadzysty i wszyscy

zamarli na miejscu czekając, aż zwierz zniknie im z oczu.

Od tej pory wychodzili do pracy uzbrojeni.

Kiedy Malibert nie wykonywał obowiązków (niekompetentnego) doradcy

technicznego do spraw ogrzewania Islandii albo (równie niekompetentnego,

ale uczącego się) zastępczego ojca dla Timothy'ego, rozpaczliwie obliczał

szanse przeżycia. Nie tylko dla nich; dla całego rodzaju ludzkiego. Mimo

nawału pracy związanej z koniecznością przeżycia najbliższych dni

Islandczycy poświęcili nieco czasu na myślenie o przyszłości. Utworzono

zespół naukowców, w skład którego weszli pozostali przy życiu uczeni z

tutejszego uniwersytetu, meteorolog z Uniwersytetu Lejdejskiego skierowany

tu na badania mas powietrza nad Północnym Atlantykiem oraz Malibert.

Spotykali się w hotelu, gdzie astronom mieszkał razem z chłopcem, który

zazwyczaj podczas rozmów siadywał z milczeniem obok Maliberta.

Najważniejszym pytaniem było: jak długo utrzymają się chmury pyłu?

Pewnego dnia cząstki opadną w końcu na ziemię i świat będzie mógł się odrodzić - o ile przy życiu pozostanie tyłu ludzi, by dać początek nowemu pokoleniu. Ale kiedy to będzie? Nikt nie umiał powiedzieć. Nie wiadomo było, jak długa, jak zimna i jak zabójcza będzie ta zima nuklearna.

- Nie znamy liczby megaton - powiedział Malibert - nie wiemy nic o tym, jakie mogły zajść zmiany atmosferyczne, nie znamy tempa nasłonecznienia.

Wiemy tylko, że nie będzie dobrze.

- Już nie jest dobrze - mruknął Thorsid Magnesson, Dyrektor

Bezpieczeństwa Publicznego (kiedyś jego urząd zajmował się chwytaniem zbrodniarzy, gdy zbrodnia była największym zagrożeniem bezpieczeństwa).

- Będzie jeszcze gorzej - powiedział Malibert i tak się stało. Mróz spotęgował się jeszcze bardziej; raporty z innych części świata przychodziły coraz

rzadziej. Islandczycy rysowali mapy przedstawiające to, co było im wiadome.

Jedna z nich przedstawiała miejsca uderzeń jądrowych, co po tygodniu nie miało już większego znaczenia, bowiem liczba zmarłych z zimna przewyższyła

liczbę zabitych w wyniku eksplozji. Rysowano mapy izotermiczne oparte na

nieregularnie napływających raportach pogodowych; mapy te trzeba było

zmieniać co dzień, bowiem linia zamarzania przesuwiała się nieustannie ku

równikowi. W końcu mapy okazały się niepotrzebne; cały świat był już skuty

mrozem. Rysowano mapy liczby zgonów, na ile można było to obliczyć z

napływających informacji, ale wkrótce zaprzestano tego, bo wyniki były zbyt przerażające.

Wyspy Brytyjskie wymarły pierwsze, nie dlatego, że otrzymały najwięcej

uderzeń jądrowych, ale dlatego właśnie, że nie spadła tam żadna bomba. Zbyt wiele osób zostało tam na początku przy życiu, a Wielka Brytania nigdy nie miała więcej zapasów żywności niż na cztery dni. Kiedy statki przestały przyplывать, Brytyjczykom zajrzał w oczy głód. To samo stało się z Japonią, zaś nieco później podobny los spotkał Bermudy, Hawaje i te prowincje Kanady, które leżały na wyspach. W końcu nadszedł czas kontynentów.

A Timmy Clary chłonał każde słowo.

Chłopiec nie mówił wiele. Nigdy nie pytał o rodziców, a w każdym razie nigdy po pierwszych kilku dniach. Nie miał nadziei na dobre wieści, a złych nie chciał słyszeć. Jego choroba minęła, ale stan psychiczny nie uległ poprawie. Jadł połowę z tego, co powinno jeść dziecko w jego wieku, a i to po usilnych namowach Maliberta.

**Chłopiec ożywał się jedynie w tych momentach, gdy Malibert miał czas rozmawiać z nim o Kosmosie. Wielu ludzi w Islandii znało go i jego rolę w SETI, a wśród nich było paru, których obchodziło to prawie tyle samo, co samego Maliberta. Kiedy czas pozwalał na to, zbierali się wszyscy, uczone i jego kółko zainteresowań. Był wśród nich listonosz Lars (obecnie kopacz lodu, bo nie było listów do roznoszenia), Ingar - kelnerka z Hotelu Loftleider (obecnie zajmująca się szyciem grubych zasłon do izolowania ścian mieszkań),
nauczycielka
angielskiego
Elda
(obecnie**

pielęgniarka,

specjalizująca się w odmrożeniach). Przychodzili też inni, ale ta trójka zjawiała się zawsze, gdy mogli się wyrwać. Wszyscy byli zaprzysięgłymi wielbicielami Harry'ego Maliberta, znali jego wszystkie książki i razem z nim marzyli o sygnałach radiowych nadawanych przez dziwacznym kosmitów z Aldebarana lub o statkach-planetach, które mogły przenosić miliony istot z jednego krańca galaktyki na drugi, w rejsach trwających setki tysięcy lat.

Timmy słuchał i rysował te statki. Malibert podawał mu wymiary.

- Rozmawiałem kiedyś z Gemym Webbem - powiedział który opracował szczegóły. Wszystko zależy od szybkości obrotu i wytrzymałości materiałów.

Aby mieszkańcom tych statków zapewnić odpowiednią pseudograwitację, muszą one mieć kształt cylindra o średnicy szesnastu kilometrów i muszą się obracać. Jego długość powinna być dostateczna, by zapewnić odpowiednio

dużo przestrzeni życiowej, ale nie zbyt wielka, bo mogłoby to grozić

zachwianiem równowagi lub odkształceniem statku. Najlepiej powinna

wynosić sześćdziesiąt kilometrów. Statek powinien być podzielony na dwie

części: pomieszczenia mieszkalne i magazyn paliwa. A na jednym końcu

siłownia termojądrowa napędzająca statek w podróży przez Galaktykę.

- Termojądrowa - zamyślił się chłopiec. - Dlaczego więc wybuch nie zniszczy tego statku?

- Wszystko zależy od budowy siłowni - odparł szczerze Malibert - a

szczegółów nie znam. Gerry miał przedstawić swój referat na konferencji w

Portsmouth; między innymi jechałem tam po to, by go posłuchać. - Ale,

oczywiście, nie będzie teraz, ani nigdy, konferencji Brytyjskiego Towarzystwa

Międzyplanetarnego w Portsmouth.

- Już czas na obiad - odezwała się z wahaniem Elda. Timmy? Zjesz trochę mojej zupy? - I zjadł, choćby nawet nie chciał.

Mąż Eldy pracował jako księgowy w bazie w Keflaviku; dorabiał sobie właśnie po godzinach, gdy drugi pocisk naprawił błąd pierwszego, tak więc Elda nie miała już męża ani nawet zwłok do pogrzebania.

W hotelu nie było zbyt ciepło nawet mimo gorącej wody pompowanej z wnętrza ziemi całą siłą przez trzeszczące rury. Elda owinęła chłopca kocami i siedziała przy nim, kiedy z obowiązku przelykał zupę. Lars i Ingar siedzieli trzymając się za ręce i patrząc, jak Timmy je.

- Głos z gwiazd - odezwał się nagle Lars - to ci dopiero byłaby frajda.

- Nie ma żadnych głosów - odrzekła z goryczą Ingar. - Nawet nasz już umilkł.

Oto odpowiedź na paradoks Fermiego.

A kiedy chłopiec przestał jeść, by zapytać, co to takiego, Malibert wyjaśnił tak dokładnie, jak umiał:

- Paradoks nosi imię Enrica Fermiego, naukowca. Fermi powiedział:

"Wiemy, że istnieje wiele miliardów gwiazd podobnych do naszego Słońca.

Nasze Słońce ma planety, toteż rozsądek nakazuje domniemywać, iż inne gwiazdy również je mają. Na jednej z naszych planet znajdują się istoty żywe;

na przykład my, podobnie jak drzewa, bakterie czy konie. Ponieważ jest tyle gwiazd, wydaje się zupełnie pewne, że przynajmniej na niektórych krążących

wokół nich planetach powinny być również istoty żywe. Rozumne. Rozumne

w takim samym stopniu jak my albo jeszcze bardziej. Istoty, które potrafią

budować statki kosmiczne albo przesyłać przez radio sygnały do innych

gwiazd - tak jak my umiemy." Czy to jest dla ciebie zrozumiałe, Timmy? -

Chłopiec skinął głową, marszcząc czoło, ale Malibert z radością ujrzał, że

Timmy nadal je zupę. - I wówczas Fermi zadał pytanie: "Dlaczego żadne z tych istot nigdy nas nie odwiedziły?"

- Tak jak w kinie - chłopiec skinął głową. - Latające talerze.

- Te wszystkie filmy, to wymyślone historie, Timmy. Tak jak Kraina Czarów Alicji czy chatka siedmiu krasnoludków. Może istoty z Kosmosu odwiedziły nas kiedyś, ale nie ma na to żadnych przekonujących dowodów. A jestem pewien, że gdyby do czegoś takiego doszło, to dowody by się znalazły.

Musiałyby się znaleźć. Gdyby takie odwiedziny nastąpiły, to któryś z przybyszów musiałby zgubić tu jakiś marsjański odpowiednik opakowania od hamburgera czy zużytą żarówkę błyskową z Syriusza. A my byśmy to znaleźli i udowodnili jego pozaziemskie pochodzenie. Nic takiego się nie zdarzyło.

Istnieją więc tylko trzy możliwe odpowiedzi na pytanie profesora Fermiego.

Pierwsza - że nie istnieje życie poza Ziemią. Druga - że istnieje, ale nie chce mieć z nami nic wspólnego. Przedstawiciele obcych ras rozumnych nie chcą się z nami kontaktować może dlatego, że przeraża ich nasza brutalność, a może dla innego powodu, którego się nawet nie domyślamy. Trzecia zaś odpowiedź... - Elda zrobiła znaczący gest, ale Malibert potrząsnął głową -

...brzmi następująco: możliwe, że gdy tylko jakieś istoty staną się tak mądre, że wymyślą wszystko, co potrzebne jest do podróży w Kosmos, czyli kiedy będą dysponować techniką podobną do naszej, to jednocześnie wyprodukują takie straszne bomby i inną broń, że nie będą w stanie nad nią zapanować. I wybuchnie wojna, a wszyscy zginą, zanim staną się naprawdę istotami w pełni

dojrzałymi.

- Tak jak my teraz - powiedział Timothy, kiwając poważnie głową na znak, że zrozumiał. Skończył jeść zupę, ale Elda zamiast zabrać talerz, przytuliła chłopca mocno do siebie i siłą powstrzymywała się od płaczu.

Świat opanowały całkowite ciemności. Dzień nie różnił się od nocy, a miało to trwać... nikt nie wiedział jak długo. Skończyły się opady deszczu i śniegu: gdy nie było światła słonecznego, które wysysałoby wodę z oceanów, w atmosferze nie pozostało ani trochę wilgoci, która mogłaby opaść na ziemię. Po powodziach nadeszła mroźna susza. Gleba Islandii już na głębokość dwóch metrów stwardniała na kamień i robotnicy nie mogli dalej kopać. Mowy nie było o przeprowadzeniu dodatkowych rur ciepłych. Kiedy gdzieś trzeba było więcej ciepła, można było jedynie zamknąć inne budynki i wyłączyć ich ogrzewanie. Wśród pacjentów Eldy mniej było teraz osób z odmrożeniami, co z objawami choroby popromiennej po ochotniczych wyprawach do Reykjaviku po lekarstwa i żywność. Nikt nie uchylał się od uczestnictwa w tych wyprawach. Kiedy Elda wróciła z wyprawy do Hotelu Loftleider, przyniosła prezent dla chłopca: słodczyce i pocztówki. Słodczymi musiał się podzielić, ale pocztówki były tylko dla niego.

- Czy wiesz, co jest na nich? - zapytała. Obrazek przedstawiał olbrzymich, krępych, szkaradnych mężczyzn i kobiety w ubiorach sprzed tysiąca lat. - To są trolle. Nasze legendy głoszą, że trolle tu mieszkały; niektórzy mówią zresztą, że nadal mieszkają, ale tak się już zestarzały, że nie chce im się wychodzić.

- To wymyślona opowieść, prawda? - zapytał poważnie Timmy i nie

uśmiechnął się, dopóki Elda nie zapewniła go, że tak jest w istocie. Wówczas wymyślił dowcip. - Wydaje mi się; że trolle w końcu zwyciężyły ludzi - powiedział.

- Och, Timmy! - Elda była wstrząśnięta. Ale przynajmniej oznaczało to, że chłopiec może już dowcipkować, powiedziała sobie, a nawet wisielczy humor lepszy jest od żadnego. Nowi pacjenci wymagali znacznie mniej opieki - mniej, bo niewiele mogła zaradzić na chorobę popromienną - i Elda częściej myślała o tym, czym tu zająć chłopca.

I znalazła wspaniały sposób.

Ponieważ paliwo było już na wagę złota, nikt nie wybierał się na loty turystyczne wokół wyspy. I tak zresztą w nieustannym mroku nie byłoby nic widać. Kiedy jednak wezwano śmigłowiec szpitalny na wschodnie wybrzeże, by zabrać stamtąd dziecko ze złamanym kręgosłupem, wyprosiła w nim miejsce dla Maliberta i Timmy'ego. Sama i tak musiała lecieć jako pielęgniarka dyżurna.

- Lawina zasypała jego dom - wyjaśniła. - To wprost u podnóża gór Stokksnes i lądowanie będzie dość niebezpieczne moim zdaniem. Ale możemy nadlecieć od strony morza i nic się nie powinno stać. Przynajmniej zobaczymy coś w reflektorach helikoptera.

Udało się im jeszcze lepiej: mieli więcej światła. Nic nie przenikało przez chmury, gdzie miliardy cząsteczek, które kiedyś były mężem Eldy, połączyły się z bilionami bilionów, składających się kiedyś na Detroit, Marsylię, Szanghaj. Ale w chmurach i pod nimi przewijały się węże i pasma niklej poświaty, strzępy ciemnej czerwieni, wachlarze jasnej zieloności. Aurora

borealis nie dawała wiele światła - ale też nie miała konkurencji innego blasku

poza słabym pelganiem lampek na pulpicie sterowniczym śmigłowca.

Pod nimi przemykały ciemne kształty Vatnajokull. - W i e l k i e trolle! -

zapiszczał chłopiec radośnie, a Elda uśmiechnęła się, tuląc go do siebie.

Pilot postąpił według wskazań Eldy; wyleciał nad morze ponad grzbietami

wschodniego łańcucha gór, a potem ostrożnie nawrócił nad małą wioskę

rybacką. Gdy lądowali, naprowadzani czerwonymi światłami latarek,

reflektory śmigłowca wychwyciły jakiś przedmiot o kształcie talerza.

- Antena radarowa - Malibert pokazał chłopcu.

Timmy przycisnął nos do zimnej szyby. - Czy to jedna z tych, tatusiu? Tych,

przez które rozmawia się z gwiazdami?

Odpowiedzi udzielił pilot: - O, nie, Timmy. To antena wojskowa.

- Tu by jej nie zainstalowano, Timothy - dodał Malibert. - Jesteśmy za daleko

na północ. Do tego potrzebny jest radioteleskop, który mógłby objąć całe

niebo, a nie tylko ten niewielki kawałek, który widać z Islandii.

I kiedy pomagali wsunąć do helikoptera nosze z kontuzjowanym dzieckiem,

tak łagodnie i delikatnie, jak tylko było można, Malibert myślał o tamtych

miejscach: Arecibo i Woomera, Socorro i wszystkich pozostałych. Każde z

nich było teraz martwe i z pewnością zniszczone przez masy lodu lub przez

potężne wichury. Potrzaskane, rozmyte, zżarte przez korozję, owe oczy

wpatrzone w Kosmos były teraz ślepe; i myśl ta zasmuciła Harry'ego

Maliberta, ale nie na długo. Nic nie mogło mu zamącić radości z powodu tego,

że po raz pierwszy Timothy powiedział do niego: "Tatusiu".

Oierwsze zakończenie tej historii mówi, że gdy w końcu słońce powróciło,

stało się to zbyt późno. Ludzie najdłużej przeżyli na Islandii, ale w końcu i tam dotarł głód. Na Ziemi nie było już nikogo, kto potrafiłby mówić, konstruować maszyny lub czytać książki. Straszliwa trzecia odpowiedź Fermiego okazała się jednak zgodna z prawdą.

Istnieje jednak inne zakończenie, w którym słońce pojawiło się na czas.

Może stało się to w ostatniej chwili, ale żywność się jeszcze nie skończyła, gdy światło dzienne spowodowało pojawienie się pierwszych śladów zieleni i z zamrożonych ziaren wyrosły zboża. W tej wersji Timothy przeżył i wyrósł na mężczyznę. Kiedy się to stało, a Malibert i Elda w końcu się pobrali i mieli dzieci, Timothy poślubił jedną z córek. Zaś dwa czy kilkanaście pokoleń później jeden z ich potomków dożył tego dnia, kiedy paradoks Fermiego odszedł w przeszłość, równie nieistotny i śmieszny jak obawa

piętnastowiecznego marynarza przed żegluga po dalekich morzach, by nie spaść poza krawędź płaskiej Ziemi. Bowiem w tym dniu niebo przemówiło, a ci, którzy w nim mieszkali, odpowiedzieli w końcu na przesłanie z Ziemi.

Może też inne jest prawdziwe zakończenie tej opowieści, według którego rodzaj ludzki postanowił zakończyć wszelkie spory, by nie dopuścić do kataklizmu, który mógłby doprowadzić do ostatecznej zagłady. W tej wersji ludzie ocalili naukę i radość życia, i z radością powitali gości z gwiazd...

Ale przecież to się właśnie stało!

Miejmy przynajmniej taką nadzieję...

Przełożył Wiktor Bukato

Skarb w środku gwiazdnej tęczy

Konstytucja - jeden

Z dziennika pokładowego podpułkownika lotnictwa USA Sheffielda N.

Jackmana,

dowódcy

Statku

Kosmicznego

Stanów

Zjednoczonych

"Konstytucja", dzień 40.

Wszystko w porządku, przyjaciele. Dziękujemy Kierownictwu Wyprawy za porcję depesz prywatnych. Podobał nam się nadany przez was koncert, nawet nagraliśmy większą część, by móc go sobie odtwarzać, gdy łączność zacznie kaprysić.

Zbliża się koniec szóstego tygodnia naszej wyprawy do Alfy Centaura - na planetę Alef i teraz, przekroczywszy granicę najdalszych dotychczas wypraw załogowych z Ziemi, zaczynamy odczuwać, że wyruszyliśmy w podróż: Ostatnia kontrola danych nawigacyjnych potwierdza zgodność z trajekcją zaplanowaną przez Kierownictwo Wyprawy. Oceniamy, że orbitę Plutona przekroczyliśmy około godziny 1631 czasu pokładowego, czterdziestego dnia podróży, czyli dziś. Letski śledzi efekty wydłużania się czasu, które obecnie, gdy lecimy z prędkością równą około 6 procent szybkości światła, stają się znaczące i mówi, że w przybliżeniu będzie to za kwadrans druga rano waszego czasu. Uchwaliliśmy, że będziemy ten punkt uważać za granicę "wód terytorialnych". Od tego momentu opuścimy Układ Słoneczny i staniemy się pierwszymi istotami ludzkimi, które wstąpiły w głębie przestrzeni

międzygwiazdnej. Zamierzamy to uczcić. Letski i Ann Becklund sporządzili flagę amerykańską, którą wyrzucimy za burtę przez Luk Obserwacji Numer Trzy wraz z płytką ze stali nierdzewnej z tekstem pożegnalnej mowy Prezydenta. Każdy z nas doda do tego coś z rzeczy osobistych. Ja pamiątkowy pierścień mojej promocji w Akademii Lotniczej.

Od poprzednich raportów mało zmian. Dobrze dostosowujemy się do rozkładu zajęć. Już dawno ukończyliśmy całą kontrolę postartową i jak to przewidział Dr Knefhausen, czas zaczyna nam się dłużyć. O tej chwili aż do przybycia na planetę Alfa-Alef niewiele będziemy mieli zajęć naprawdę istotnych dla przebiegu lotu kosmicznego. Zgodziliśmy się więc na zaproponowany przez Kneffiego plan rozrywek, posługując się arkuszami roboczymi, przygotowanymi przez Oddział Spraw Osobowych i Szkolenia NASA. Początkowo (mam nadzieję, że chłopcy tam w Indianie są dość dorośli, by się o tym dowiedzieć!) spotkało się to z tak zwanym chłodnym przyjęciem. Wszyscy się zgodzili, że pomysł, byśmy się uczyli teorii liczb czy rachunku zdaniowego, co nam przekazano na początku, jest do niczego. Doszliśmy do wniosku, że tak bardzo zdesperowani jeszcze nie jesteśmy, więc zaczęliśmy się zabawiać czym innym. Ann i Will Becklund często grają w szachy, Dot Letski zaczęła pisać adaptacje "Wojny i pokoju" wierszem. Pozostali grzebali w wyposażeniu, robili obserwacje astronomiczne albo po prostu gadali po próżnicy. Ale, zgodnie z tym, co mówił Kneffie na odprawach, dość szybko nam się to znudziło. Porozmawialiśmy sobie o jego pomysle, że najlepszy sposób spędzania czasu na statku kosmicznym to zainteresować się problemami matematycznymi - nie wymaga to załadunku dodatkowej masy,

nie wprowadza mogącego wywołać irytację momentu rywalizacji i tak dalej.

Teraz więc Letski już dziesiąty dzień stara się znaleźć wzór ogólny liczb

pierwszych, a moja kochana Flo usiłuje wyprowadzić dowód na

Przypuszczenie Goldbacha przy pomocy teorii kongruencji liczb. To jest

dziewczyna; która jeszcze dwa miesiące temu nie umiała sprawdzić rachunku

z pralni! Na pewno pomaga to spędzić czas.

Zdrowie wszystkim dopisuje - dołączę dokładne pomiary ciśnienia krwi,

pulsu itd., jak również taśmę z zapisami działania systemów napędu i

nawigacji. Zgłoszę się ponownie zgodnie z planem. Opiekujcie się Ziemią pod

naszą nieobecność - oczekujemy ponownego z nią spotkania za parę lat!

Waszyngton

Tego tygodnia w Waszyngtonie nastąpił zastój w działaniach partyzantki

miejskiej. Helikopter mógł więc wylądować na południowym trawniku

Białego Domu nie napotkawszy ani ognia snajperów, ani rakiet

termolokacyjnych, ani nawet gradu kamieni. Doktor Dieter von Knefhausen

spojrzał podejrzliwie na grupkę znużonych pikieciarzy, stojących w

dozwolonej pięćdziesięciojardowej odległości od ogrodzenia. Nie wyglądali

bojowo, mogli to być ludzie z Wyzwolenia Pederastów albo, któż to może

wiedzieć, Zwolenników Naturalnych Pokarmów czy Jedyne Podatku. W

każdym razie nie leciały z ich strony kamienie, w chwili lądowania

helikoptera rozległo się tylko parę odosobnionych gwizdów. Knefhausen

ukłonił się szyderczo, wyskoczył zwinnie i odsunął się od helikoptera, który w

tym samym momencie poderwał się do góry. Doktor nie zadał sobie trudu, by

biec do Białego Domu. Poszedł spacerowym krokiem. W przeciwieństwie do

pilota helikoptera nie bał się tych prostych ludzi. A także nie zależało mu szczególnie na punktualnym stawieniu się przed Prezydentem.

Rewidujący go adiutant nie uśmiechał się. Służbowy prowadzący go na Taras Zachodni nie zasalutował. Nikt nie pomógł mu nieść ciężkiej teki z przezroczami i papierami. Helikopter kilkakrotnie okrążył Białą Dom, by nabrać wysokości, nim pilot odważy się polecieć nad rozpostartym w dole miastem. Schylając głowę przed podmuchem wirnika doktor pomyślał, że natychmiast można się zorientować, gdy popadło się w niełaskę.

Dawniej było zupełnie inaczej - na tym ganku stał przed dziennikarzami i fotoreporterami światowej prasy, by opowiedzieć im o Planie Alfa-Alef. Swoje zdjęcie z prezydentem ujrzał na pierwszych stronach wszystkich gazet, oglądał siebie w dziennikach telewizyjnych, mówiącego o Nowej Ziemi, odległej o cztery lata świetlne planecie, nadającej się w całości do kolonizacji przez Amerykę. Pamiętał start z Cape w obecności półtora miliona zaproszonych z całego świata gości, zagranicznych mężów stanu, gryzących palce z zazdrości naukowców i amerykańskich przywódców, promieniejących z dumy. Służbowi salutowali wtedy starannie. Honoraria za jego odczyty sięgały niebotycznych wyżyn. Była nawet mowa, by kandydował na wiceprezydenta w następnych wyborach - i mogłoby się to zdarzyć, gdyby wybory odbyły się właśnie wtedy i gdyby na przeszkodzie nie stało to, że urodził się w innym kraju.

Teraz wszystko się zmieniło. Na górę zawieziono go windą towarową. Jakim sposobem dowiedziano się, że jest w tarapatkach? Czy szło tylko o te historie gazetowe, czy może był przeciek?

Wartownik z piechoty morskiej stuknął jeden raz w drzwi sali zebrań

ministrów, które otworzyły się od środka. Knefhausen wszedł.

Żadnego "Wejdz, Dieter, mój chłopcze, klapnij sobie". Wiceprezydent nie

podskoczył, bo go chwycić za rękę i poklepać po plecach. Powitało go

trzydzieści zwróconych ku niemu w milczeniu twarzy, jedne potne rezerwy,

inne wprost wrogości. Obecny był cały gabinet ministrów wraz z półtuzinem

szeferów departamentów i sztabem osobistym prezydenta, zaś najbardziej

wroga ze zgromadzonych przy wielkim owalnym stole twarz należała do

samego prezydenta.

Knefhausen skłonił się. Atawistyczna tęsknota za dowcipami na poziomie

ucznia szkoły junkierskiej sprawiła, że pomyślał, by strzelić obcasami i

poprawić monokl w oku. Ale nie miał monokla i nie ulegał tego rodzaju

impulsom. Po prostu stanął przy końcu stołu i gdy prezydent kiwnął głową,

powiedział:

- Dzień dobry, panowie i panie. Przypuszczam, że chcecie się ze mną

zobaczyć w związku z głupimi kłamstwami, jakie Rosjanie rozpowszechniają

na temat planu Alfa-Alef.

Szuruburuszuru - zamamrotali między sobą. Prezydent odpowiedział

wysokim tenorem: - Więc sądzi pan, że to tylko kłamstwa?

- Kłamstwa albo pomyłki, Panie Prezydencie, co za różnica? My mamy

śluszną, a oni nie i to wszystko.

Szuruburuszuru. Sekretarz Stanu spojrział pytająco na Prezydenta, który

skinął głową i zapytał:

- Doktorze Knefhausen, przez długi czas byłem członkiem pańskiego

zespołu i nie chcę sprzeciwiać się żadnemu oświadczeniu, które zechce pan złożyć, ale czy naprawdę jest pan tak pewien swego? Ze strony Rosjan nadeszły bardzo przekonujące dane cyfrowe.

- Są fałszywe, panie ministrze.

- No dobrze, Doktorze: Ja jestem skłonny polegać na pańskim słowie, ale inni nie. Nie dziwacy i nie malkontenci, Doktorze Knefhausen, ale dobrzy, przywoici ludzie. Czy takim jak oni może pan przedstawić dowody?

- Pan pozwoli, Panie Prezydencie?

Prezydent znów skinął głową, Knefhausen otworzył zamek swej teki i wyjął paczuszkę przeźroczy. Wręczył ją majorowi piechoty morskiej, który spojrzał na Prezydenta w oczekiwaniu zgody, a następnie zrobił to; co mu polecił Knefhausen. Światła w sali zgasły i po chwili manipulowania na ekranie nad głową Knefhausena ukazał się pierwszy obraz. Widniała na nim olbrzymia procesja metalowych słupów w kształcie litery "Y", ciągnąca się w dal na tle niegościnnego, jakby przysypanego pyłem krajobrazu.

- To zdjęcie ukazuje radioteleskop na Odwrotnej Stronie Księżyca -

powiedział. - Z Ziemi nie widać go nigdy, ponieważ ta część powierzchni

Księżyca jest od nas stale odwrócona i właśnie z tego powodu wybraliśmy ją jako miejsce dla naszego teleskopu. Nie ma tam żadnych zakłóceń

elektrycznych. Instrument składa się z 33 milionów oddzielnych dipoli,

ustawionych z dokładnością milionowych części milimetra. Jest to koło o

średnicy osiemnastu mil, ale dzięki dokładności celowania jego zdolność

rozdzielcza jest efektywnie równa rozdzielności teleskopu o średnicy około

dwudziestu sześciu mil. Następny obraz, proszę.

Pstryk. Zdjęcie potężnego radioteleskopu umknęło w bok. Zastąpił je obraz drugiej, podobnej, ale wyraźnie mniejszej i uboższej konstrukcji.

- A to jest instrument rosyjski, panowie. I panie. Ma średnicę w przybliżeniu równą jednej czwartej naszego. Ma mniej niż jedną dziesiątą elementów i nasze raporty... - są tajne, ale podano mi, że zebranie jest uprawnione do zapoznawania się z takimi informacjami? Tak - nasze raporty podają, że jego dokładność celowania jest na poziomie bardzo prymitywnym. Można nawet powiedzieć, że okropnym. Różnica między obiema instalacjami pod względem pojemności informacyjnej wynosi mniej więcej jeden do stu, na naszą korzyść. Światło, proszę.

- Oznacza to - ciągnął dalej łagodnym głosem, uśmiechając się do każdej kolejno osoby przy stole - że jeśli Rosjanie mówią "nie", a my "tak", można się założyć, że jest "tak". Naszemu radioteleskopowi można wierzyć. Ich nie.

Zebrani poruszyli się niespokojnie na krzesłach. Równie mocno chcieli uwierzyć Knefhausenowi, jak on ich przekonać. Ale nie mieli pewności. Deputowany Belden, przewodniczący Komisji Budżetowej przemówił w imieniu wszystkich.

- Nikt nie wątpi w jakość pańskiego instrumentu. Szczególnie - dodał - że jeszcze odczuwamy siniaki, które się nam dostały, gdy przyszło do płacenia zań rachunków. Ale oświadczenie Rosjan jest kategoryczne. Mówi, że Alfa Centaura nie może mieć planety o średnicy większej, niż tysiąc mil ani leżącej na orbicie bliższej, niż pół miliona mil od gwiazdy. Mam tu odbitkę komunikatu: podaje, że są w posiadaniu oświadczenia, podpisanego przez dwudziestu dwóch akademików, które stwierdza, że ich sprzęt nie mógłby nie

zauważyć ciała niebieskiego większego lub leżącego bliżej niż podałem, ani też żadnego ciała jakiegokolwiek, rodzaju, dość dużego, by umożliwić astronautom lądowanie. Czy to oświadczenie jest panu znane?

- Tak, oczywiście, czytałem je...

- Więc wie pan, że stwierdza ono zdecydowanie, iż planeta, którą pan nazywa "Alfa-Alef nie istnieje.

- Tak.

- Ponadto oświadczenie złożone przez autorytety naukowe z Obserwatorium Paryskiego oraz Centrum Astrofizycznego UNESCO w Trieście oraz Królewskiego Astronoma Anglii zgodnie stwierdzają, że sprawdzili oni i potwierdzają podane przez Rosjan liczby.

Knefhausen wesoło kiwnął głową.

- Tak jest istotnie, panie deputowany. Potwierdzają oni, że jeśli dane obserwacyjne są zgodne z rzeczywistością, wówczas wynikają z nich wnioski, wyciągnięte na podstawie danych radzieckiej instalacji na odwrotnej stronie Księżyca. Nie kwestionuję ich arytmetyki. Stwierdzam tylko, że obserwacji dokonano za pomocą instrumentów nie odpowiadających wymaganiom i w ten sposób radzieccy astronomowie wyciągnęli fałszywy wniosek. Ale nie zamierzam wykorzystywać waszej cierpliwości dla wysłuchiwania niczym nie popartych stwierdzeń - dodał pośpiesznie, widząc, że deputowany Belden otwiera usta, by ponownie zabrać głos..- To, co twierdzą Rosjanie, jest czystą teorią. Przeciwstawiam temu nie tylko lepszą teorię, ale także obiektywne fakty. Wiem, że Alfa-Alef istnieje, ponieważ ją widziałem! Światło, majorze! I proszę o następne przeźrocze.

Ekran rozjaśnił się, ukazując olśniewająco białą płaszczyznę, usianą kurzem czarnych punkcików. Największy znajdował się dokładnie pośrodku obrazu, wraz z tuzinem nieco mniejszych, rozrzuconych wokół niego.

Knefhausen ujął latarkę wskazówkową i skierował grot strzałki świetlnej na punkt w centrum.

- Jest to negatyw fotograficzny - powiedział - co oznacza, że ukazuje czerń tam, gdzie w rzeczywistości jest biel i odwrotnie. To są ciała niebieskie.

Zdjęcie wykonano czternaście miesięcy temu w pobliżu orbity Jowisza z naszego sztucznego satelity "Briareus Dwanaście" lecącego ku Neptunowi.

Obiekt centralny to Alfa Centaura. Została sfotografowana za pomocą specjalnego przyrządu elektronicznego, który odfiltrowuje większość światła samej gwiazdy i jest nieco podobny do koronogramu, używanego przy fotografowaniu protuberancji naszego Słońca. Mieliśmy nadzieję, że w ten sposób uda się nam rzeczywiście sfotografować planetę Alfa-Alef. I udało się, jak zobaczycie.

Grot strzałki świetlnej zbliżył się do punkciku, leżącego tuż obok gwiazdy centralnej.

- To, panowie i panie, jest Alfa-Alef. Znajduje się dokładnie w punkcie, przewidzianym na podstawie danych z radioteleskopu.

Od strony stołu dobiegł szum. W ciemności zdawał się być głośniejszy, niż poprzednio. Sekretarz Stanu krzyknął głośno:

- Panie Prezydencie! Czy nie możemy opublikować tej fotografii?

- Opublikujemy ją natychmiast po tym spotkaniu odparł Prezydent.

Szuruburu. Głos zabrał przewodniczący komisji parlamentarnej

- Panie Prezydencie, jestem pewien; że gdy pan mówi, iż to jest planeta, jakiej nam potrzeba, to jest to ta planeta. Ale inni, za granicą, mogą wątpić, bo te wszystkie punkciki naprawdę wyglądają mi jednakowo. Zastanawiam się, czy Knefhausen może zaspokoić ciekawość laika. S k ą d wiadomo, że to jest Alfa-Alef?

- Proszę przeźrocze Numer Cztery - a Numer Trzy proszę zachować w ramce.

Ukazał się obraz pozornie identyczny, z drobną tylko różnicą.

- Panowie, proszę zauważyć, że jedno ciało, to tutaj, znajduje się w innym miejscu. Poruszyło się. Gwiazdy nie wykazują dostrzegalnego ruchu, rzecz oczywista. Poruszyło się dlatego, że to zdjęcie "Briareus Dwanaście" wykonał w osiem miesięcy później, wracając z oblotu Neptuna, a w tym czasie planeta Alfa-Alef przemieściła się na swej orbicie. To nie teoria, to dowód. Chce dodać, że oryginalne taśmy, z których zrobiono te odbitki, są złożone w obserwatorium Goldstone, nie ma więc mowy o jakichś manipulacjach. Szuruburu, ale na wyższym tonie i z podnieceniem. Zadowolony Knefhausen postawił kropkę nad "i".

- A więc, majorze, jeśli zechce pan powrócić do przeźrocza Numer Trzy, tak... A teraz przeskakiwać tam i z powrotem między Trzecim i Czwartym, tak szybko, jak pan potrafi... Dziękuję

Czarny punkcik zwany Alfa-Alef skakał jak pileczka pingpongowa, podczas gdy wszystkie inne punkty, oznaczające gwiazdy stałe, pozostały nieruchome.

- To proszę państwa, nazywamy metodą porównywania migowego.

Zwracam uwagę, że jeśli to, na co patrzycie nie jest planetą, to jest to, z

przeproszeniem Pana Prezydenta, najbardziej zwariowana z cholernych gwiazd, jakie kiedykolwiek oglądaliśmy. I do tego znajduje się dokładnie w odległości i dokładnie na orbicie, które obliczyliśmy, opierając się na danych radioteleskopu. Czy są jeszcze pytania?

- Nie, sir! - To wspaniale, Kneffie! - Jasne jak krowi tyłek dla zarodowego byka. - Myślę, że to kończy sprawę.

Głos Prezydenta był najgłośniejszy ze wszystkich.

- Sądzę, że można zapalić światło, majorze Menton - powiedział. - Doktorze Knefhausen, dziękuję panu. Będę wdzięczny, jeśli pozostanie pan w pobliżu przez parę chwil, by spotkać się z Murrayem i ze mną w gabinecie i przejrzeć tekst naszego oświadczenia.

Kiwnął na pożegnanie lekko głową w stronę swego głównego doradcy naukowego, po czym, widząc uszczęśliwione twarze członków rządu, miał tyle przytomności umysłu, by uśmiechnąć się z zadowoleniem.

Konstytucja - dwa

Dziennik pokładowy Sheffielda Jackmana. Statek Kosmiczny "Konstytucja".

Dzień 95.

Według Letskiego podróżujemy w tej chwili z prędkością niemal 30 000 mil na sekundę. Napęd atomowy działa sprawnie i gładko. Krzywe paliwa, mocy i regeneracji powietrza ściśle trzymają się optymalnych. Żadnych kłopotów ze statkiem czy w ogóle z czymkolwiek.

Efekty relatywistyczne ujawniają się zgodnie z przewidywaniami. Badania spektralne Jima Barstowa dowodzą, że gwiazdy przed nami wykazują przesunięcia w kierunku fioletu, zaś Słońce i reszta gwiazd za nami w stronę

czerwieni. Ale bez spektroskopu niewiele z tego widać. Może Beta Cyrkla wygląda trochę dziwnie. Słońce nadal jest bardzo jasne - Jim określił parę godzin temu jego wielkość na minus sześć. Nigdy jednak nie byłem w takiej sytuacji, nie wiem więc, czy jest jaśniejsze czy nie. Na pewno nie ma odcienia złotożółtego, kojarzącego się z typem gwiazdowym G0, ale nie ma go również Alfa Centaura - przed nami i naprawdę nie widzę między nimi różnicy.

Wynika to stąd, jak myślę, że obie gwiazdy są bardzo jasne, chociaż spektroskop, jak mówilem, wykazuje różnice. Na zmianę obserwowaliśmy kierunek rufy. Co, jak sądzę, było całkiem naturalne. Ciągle jeszcze przez teleskop możemy dostrzec Ziemię, a nawet, przy szczęśliwym zbiegu okoliczności, Księżyc. Wczoraj Ski o mały włos dostałby po oku pełnym blaskiem Słońca, ponieważ ich odległość optyczna wynosi obecnie około dwunastu sekund kątowych. Za parę dni będą zbyt blisko siebie, by je odróżnić.

Co tam jeszcze?

Dobrze się bawimy programem rozrywkowym. Ann wskoczyła w arytmetykę dwójkową jak kaczka do wody. Pogrążyła się w coś, co, jak sądzę, należy do jakiegoś gatunku statystyki eksperymentalnej (nie wsadzamy nosa w to, co robią inni, zanim nie są gotowi o tym mówić) i - coś podobnego! - zażądała, abyśmy jej dostarczyli monet do rzucania. No i oczywiście okazało się, że żadne z nas nie zabrało pieniędzy) Dwóch z nas, jednak coś miało. Ski miał rosyjskiego srebrnego rubla, którego dostał na szczęście od ciotecznego dziada, a ja w kieszeni znalazłem zapomniany żeton komunikacji miejskiej w Filadelfii. Ann odrzuciła mój żeton jako zbyt lekki, by na nim polegać, ale

spędza obecnie szczęśliwe godziny rzucając rublem "orzeł czy reszka" i zapisując wyniki jako serie sześciopozycyjnych liczb w systemie dwójkowym, z "1" dla reszki i "0" dla orła. Gdy ją pytam, co robi, odpowiada: "za pomocą rzeczy łatwych i prostych pojmujemy prawa całego świata". A gdy mówzę, że to bardzo ładnie, ale co zamierza pojąć rzucając monetą, odpowiada: "Gdy prawa całego świata zostaną pojęte, następuje doskonałość". Dlatego, jak już mówiłem, nie wtrącamy się do siebie nawzajem.

Kneffie byłby dumny z siebie, gdyby mógł zobaczyć, jak bardzo jesteśmy zajęci. Żadnemu z nas nie udało się rozwiązać Ostatniego Teorematu Fermata ani czegoś takiego, ale to przecież nie o to chodzi. Gdybyśmy umieli rozwiązać problemy, co by nam zostało do zabawy? Program rozrywkowy działa dokładnie tak, jak było zamierzone. W tym długim i nieuchronnie raczej nudnym rejsie trzyma nas w stanie czujności umysłowej. Stosunki międzyludzkie?

Fajnie,
chłopy,
fajnie.
Znacznie
lepsze,
niż
się
spodziewaliśmy, siedząc na szkoleniach na temat higieny psychicznej, wtedy, w Kierownictwie Wyprawy. Dziewczyny zażywają pasiaste pigułki codziennie aż do trzeciego dnia przed periodem, następnie zielone przez cztery dni, po

czym odstawiają wszelkie pigułki na dni cztery i na koniec z powrotem do pasiastych. Początkowo było trochę dowcipów na ten temat, ale obecnie należy to do zwykłego rozkładu zajęć, jak mycie zębów. My, mężczyźni, zażywamy nasze czerwone pigułki (Ski ochrzcił je "światłami stopu") do chwili, gdy nasze dziewczyny mówią nam, by przestać (oczywiście rozumiecie, że każda dziewczyna mówi to osobno swemu mężowi), następnie zażywamy Niebieskiego Diabła (tak nazywamy antidotum) i zaczyna się piekielna zabawa do chwili, gdy dziewczyna znów wraca do pasiaków. A wiecie, nikt z nas nie przypuszczał, że to się uda. Ale działa doskonale. Nawet nie pomyślę o seksie, zanim Flo nie pocałuje mnie w ucho i nie powie, że jest gotowa, przepraszam za wyrażenie, zacząć ruje. A wtedy... ho-ho! Tak jest ze wszystkimi. Pokój rufowy z pięknymi szerokimi kojami nazywamy Hotelem Nowożeńców. Należy do tego, kto go potrzebuje i nie zdarzyło się jeszcze, by obie koje naraz były w użyciu. Resztę czasu sypiamy tam, gdzie komu wygodnie i nikt się tym nie czuje skrępowany.

Wybaczcie, że omawiam sprawy intymne, ale mówiliście mi, że chcecie wiedzieć wszystko, a poza tym niewiele jest od opowiedzenia. Wszystkie zespoły w stanie optymalnym. Sprawdzamy je w kółko, ale żaden nie sprawił nam kłopotu, ani nawet nil miał takiej miny, jakby chciał zrobić kłopot w przyszłości. A na zewnątrz nie ma absolutnie nic, co warto by oglądać, poza gwiazdami. Do tej chwili napatrzyliśmy się na nie tyle, ile kto chciał. Strumień plazmowy brzęczy sobie spokojnie przy naszym przyspieszeniu 0,75 G.

Przestaliśmy go już słyszeć.

I nawet przyzwyczailiśmy się do systemu obiegu zamkniętego: Nikt z nas tak

naprawdę nie spodziewał się, że pogodzimy się ze ssącym klozetem, nie mówiąc już o tym, co się dzieje z zawartością. Ale okazało się, że było to tylko trochę irytujące i tylko przez pierwsze dni. Teraz już w porządku. Produkt idzie do zbiorników z glonami, kał i mocz razem. Szlam glonowy przechodzi na grządki hydroponiczne, ale wówczas jest to już tylko zielonkawobrazowa masa roślinna podobna do tej, jaką mój ojciec uzyskiwał z kompostowania.

Wszystko to jest oczywiście sterowane półautomatycznie, więc nasz pierwszy kontakt z systemem odbywa się w kuchni. Żywność pojawia się tam w postaci ładnych czerwonych pomidorów, pożywnego pilawu z ryżem i tym podobnych. Trochę nam brak białka zwierzęcego; zapas mrożonek musi wystarczyć na długo, więc każdy hamburger to uczta i mamy je tylko raz na tydzień. Woda, którą pijemy, pochodzi w rzeczywistości z powietrza, skraplana przez osuszacze do zbiorników rezerwowych, skąd pobieramy ją do picia. Jest przyjemnie napowietrzona, schłodzona i ma doskonały smak.

Oczywiście do powietrza dostaje się przez wypocenie z naszych porów albo przez transpirację roślin (które są nawadniane wprost przez przerobiony produkt zbiorników regeneracyjnych) i wiemy wszyscy, nawet o tym nie myśląc, że każda jej molekula przeszła do tej pory czterdzieści razy przez nasze nerki. Ale nie bezpośrednio. I o to chodzi. To, co pijemy to przezroczysta, słodka rosa. A jeśli kiedyś była czymkolwiek innym, to czy nie można powiedzieć tego samego o zawartości jeziora Erie?

Dobra. Myślę, że wystarczy. Chyba już macie ogólny obraz: jesteśmy zadowoleni i wszyscy dziękujemy wam za zafundowanie nam tej przyjemnej wycieczki!

Waszyngton

Oczekując na spotkanie z Prezydentem doktor Knefhausen raz jeszcze odczytał komunikat ze statku kosmicznego, chichocząc wesoło. - " Jesteśmy zadowoleni". - "Wtedy... ho-ho". - "Kneffie byłby dumny z siebie" - i rzeczywiście Kneffie był. I dumny z nich, tych cudownych dzieci tam daleko i Takich dzielnych. Takich silnych.

Był z nich tak dumny, jakby byli jego własnymi synami i córkami, cała ósemka. Wszyscy wiedzieli, że Plan Alfa-Alef był dzieckiem Knefhausena, ale on starał się ukrywać przed światem, że we własnych myślach ojcostwo rozciągnął też na załogę. Była śmietanką świata, a on umieścił ich tam, gdzie się znajdowali. Podniósł głowę, przysłuchując się odległym okrzykom zza ogrodzenia, gdzie dziś tłum obrzydliwym pokazem swej przemocy starał się nękać tych, dzięki którym toczył się świat. Jakież lumpy się tam zgromadziły, długowłose i niemoralne. Niebiosa należały tylko do aniołów i właśnie Dieter von Knefhausen był tym, który wybrał anioły. Był tym, który ustanowił tryb postępowania selekcyjnego (a jeśli zrobił przy tym pacę rzeczy, o których lepiej nie wspominać, to co z tego?). Był tym, który ułożył i zastosował bardzo ważny plan rekreacyjny, a ponad wszystko tym, który wymyślił cały projekt i przekonał Prezydenta do jego realizacji. Elementy konstrukcji planu były niczym, liczyły się tylko pieniądze. Podstawowe założenia naukowe były znane; większość komponentów na składzie; trzeba było tylko woli, by to razem poskładać. A wola nie istniałaby, gdyby nie Knefhausen, który ogłosił ze swego obserwatorium na Odwrotnej Stronie odkrycie Alfy-Alef (i nadał jej tę nazwo, choć wszyscy wiedzieli, że mógłby ją nazwać jak mu się podobało,

nawet własnym nazwiskiem) i toczył wszelkimi dostępnymi środkami walkę o

Plan, aż Prezydent dał się przekonać.

Była to twarda, zacięta walka. Odważnie przypomniał sobie, że najgorsze jeszcze przed nim. Nieważne. Jakikolwiek byłby koszt, zostało to dokonane i było warte zachodu. Dowodziły tego raporty z "Konstytucji". Wszystko toczyło się zgodnie z planem i...

- Przepraszam, Doktorze Knefhausen.

Podniósł głowę, gwałtownie przerzucony tu z odległości pół roku świetlnego.

- Powiedziałem, panie Doktorze, że Prezydent czeka na pana powtórzył odzwierzy.

- Ach - powiedział Knefhausen. - Tak, oczywiście. Byłem pogrążony w myślach.

- Tak, sir. Tędy, sir.

Przeszli obok okna, przez które doleciał odgłos wrzasków i błysnął widok zamętu przed bramą, tablic z hasłami, używanych jako halabardy, bładoniebieskiej chmurki gazu łzawiącego.

- Król Motłoch dziś działa - zauważył w roztargnieniu Knefhausen.

- Nie ma niebezpieczeństwa, sir. Teraz prosto, sir.

Prezydent siedział w prywatnym gabinecie, ale ku zdumieniu Knefhausena nie był sam. Obecny był jego osobisty sekretarz Murray Amos, co można było zrozumieć, jednak w pokoju znajdowało się jeszcze trzech innych ludzi.

Knefhausen ich znał: Sekretarz Stanu, Spiker Izby i na dobitkę

Wiceprezydent. Jak dziwnie zapowiada się to, co miało być poufnym

raportem tylko dla Prezydenta - pomyślał Knefhausen. Ale prędko się opanował.

- Przepraszam, Panie Prezydencie - powiedział wesoło. - Musiałem pana źle zrozumieć. Sądziłem, że czeka pan na naszą małą rozmówkę.

- Czekam, Knefhausen - odpowiedział Prezydent.

Lata dźwigania ciężaru Białego Domu dały mu się we znaki i to widać - pomyślał krytycznie Knefhausen. Prezydent wyglądał na bardzo starego i bardzo zmęczonego.

- Powiesz tym panom to, co miałeś powiedzieć mnie.

- Ach tak, rozumiem - odrzekł Knefhausen, starając się ukryć fakt, że w ogóle nic nie rozumiał. Z pewnością Prezydent nie to miał na myśli, co było zawarte w jego słowach, trzeba więc było postarać się wysondować jego myśli.

- Tak, oczywiście. Mam tu coś, Panie Prezydencie. Nowy raport z pokładu "Konstytucji"! Odebrany przed godziną w Goldstone via Lunar Orbiter i właśnie oddany z deszyfracji. Nasi dzielni astronauta radzą sobie znakomicie, dokładnie tak, jak planowaliśmy. Podają, że...

- Nie czytaj nam teraz tego - przerwał szorstko Prezydent. Wysłuchamy najpierw Czegoś innego. Chce, abyś przekazał tu zebranym całą historię Planu Alfa-Alef.

- Całą historię, Panie Prezydencie? - trwał dzielnie przy swoim Knefhausen.

- Rozumiem. Chce pan, abym zaczął od samego początku, gdy po raz pierwszy zorientowaliśmy się w obserwatorium, że odkryliśmy planetę...

- Nie, Knefhausen. Nie historię maskującą. Prawdę.

- Panie Prezydencie! - zawołał w śmiertelnej trwodze Knefhausen. - Muszę

panu oświadczyć, że protestuję przeciw temu przedwczesnemu ujawnianiu
najwyższej wagi...

- Prawdę, Knefhausen! - ryknął Prezydent. Po raz pierwszy Knefhausen
usłyszał, że ten człowiek podnosi głos. - To nie wyjdzie poza ten pokój, ale
musisz im powiedzieć wszystko. Powiedz im, czemu było tak, że Rosjanie
mieli rację, a my skłamaliśmy! Powiedz im, czemu wysłaliśmy astronautów w
samobójczą misję, z rozkazem lądowania na planecie, o której wiedzieliśmy
przez cały czas, że nie istnieje!

Konstytucja - trzy

Dziennik Shefa Jackmana, dzień 130.

Dawno to było, prawda? Przepraszam, że jestem takim nędznym
korespondentem. Byłem w samym środku meczu szachowego z trzynastu
partii z Ewą Barstow - ona grała partie Bobby Fischera, a ja w stylu
Reshevsky'ego - i Ewa powiedziała coś, co naprowadziło mnie na myśl o
starych Kneffie, a to oczywiście przypomniało mi, że jestem wam winien
transmisję. No więc jest.

Na swoją obronę mam nie tylko to, że byliśmy zajęci czymś innym. Te
gadane liściki pochłaniają masę energii. Niektórzy z nas nie są pewni, czy są
tego warte. Im jesteśmy dalej, tym więcej energii musimy na taką transmisję
zgrupować. W tej chwili nie jest jeszcze tak źle, ale cóż, mogę wam chyba
powiedzieć prawdę, nie? Kneffie wymógł na nas taką obietnicę. Zawsze
mówcie prawdę, powiedział, ponieważ jesteście częścią eksperymentu i
musimy wiedzieć, co robicie i to w całości. No cóż, w tym wypadku prawda
jest taka, że trochę nam brakowało mocy dyspozycyjnej, ponieważ Jim

Barstow potrzebował jej masę do celów badawczych. Zapewne zastanawiacie się, co to za badania, ale my mamy zasadę, że nie krytykujemy, a nawet nie omawiamy tego, co inni robią, nim nie są gotowi, by o tym mówić, a on nie jest jeszcze gotów. Przyjmuję odpowiedzialność za wszystko, nie tylko za wydatkowanie energii, ale i za uszkodzenia statku.

Lecimy teraz całkiem szybko i dla nieuzbrojonego oka gwiazdy w kierunku dziobu i rufy przesunęły się w stronę fioletu i czerwieni niemal poza granice widzialności. Zabawne, ale nie udało nam się jeszcze zobaczyć Alfy-Alef, nawet z tarczą zasłaniającą gwiazdę. A teraz, wskutek przesunięcia ku fioletowi, zapewne jej nie zobaczymy, póki nie zwolnimy. Ciągle jeszcze widać Słońce, ale przypuszczam, że widzimy to, co na wyjściu jest ultrafioletem.

Oczywiście relatywistyczne przesunięcie częstotliwości oznaczają, że do transmisji potrzebujemy dodatkowej mocy dla ich skompensowania i z tego także powodu, biorąc wszystko pod uwagę, nie będę pisał do domu co niedziela między śniadaniem i meczem baseballu, tak jak powinienem!

Zresztą wszystko jest w porządku. "Stosunki międzyludzkie" nadal wspaniale. Przeprowadziłem małe badanko eksperymentalne, którego nie było w programie, ale wszystko jest w porządku. Bez problemów. Wyniki znakomite. Może opuszczę nieco szczegółów, ale wynaleźliśmy sposób pójścia w pewnych sprawach na skróty. Och, do diabła, dam wam trop: Dot Letski jest zdania, że powinienem wam powiedzieć, by chłopcy w kierownictwie

Wyprawy rozgnietli dwa pasiaki i jednego Niebieskiego Diabła, zmieszali to z ćwiercią łyżeczki czarnego pieprzu i dwoma mililitrami płynu chłodzącego z aparatury obiegu zamkniętego. Podawać w oranzadzie i o rany, co się dzieje!

Po pierwszej dawce Flo zażartowała, że to jest "zapładniające", co według mnie miało być naszym prywatnym żartem, ale spowodowało, że wszyscy pękli. Dot wymyśliła to na własny użytek już pacę tygodni temu.

Zastanawialiśmy się, jakim sposobem poszło jej tak szybko z "Wojną i pokojem", póki nie zwierzyła się z sekretu. I wtedy wykryliśmy co to daje, emocjonalnie i intelektualnie: jak to mówią - twórczość, wynikająca z podniecenia.

Ann i Ski szybko wyczerpali swe programy rozrywkowe (naprawdę szybko - miały wystarczyć na całą podróż!), więc wymienili mikrofisze z uzasadnieniem,

że

każde

jest

zainteresowane

pewnym

aspektem

przyczynowości i chce się przekonać, co druga strona ma do zaofiarowania.

Teraz Ann pograżyła się po uszy w takich facetach jak Kant i Carnap, a Ski jest niepokieszony, że w ogródku hydroponicznym nie ma Achilles millefolium.

Mówi, że potrzebuje jej łodyg do swych badań. Radzi sobie zastępczo

podrzucając rubla, by uzyskać heksagramy; prawdę mówiąc wszyscy

pożyczamy go od czasu do czasu, ale to nie jest właściwy sposób. Słowo daję,

on ma rację. Trzeba było trochę pomyśleć o innych naszych potrzebach, nie

tylko seksie i teorii liczb. Nie możemy nawet użyć kości od kotletów z

odpadków kuchennych, bo nie ma żadnych takich odpadków. Rozumiem, że nie mogliście myśleć o wszystkim, ale jednak... Tak czy inaczej improwizujemy jak umiemy i w większości wypadków zadowalająco.

Co tam jeszcze? Czy przesłałem wam dowód Jima Barstowa na koniunkcję Goldbacha? Okazał się bardzo prosty od chwili, gdy Jim wymyślił wielowarstwową analizę parzystości. Ale przeważnie już nie zwracamy sobie głowy takimi głupstwami. Znudziła nam się teoria liczb po tym, jak rozpracowaliśmy wszystko, co jest w niej zabawnego i jedyną rzeczą, nad którą wszyscy pracujemy (nie licząc prywatnych zainteresowań) są funkcje zdaniowe. Nie robimy tego systematycznie, a tylko w czasie wolnym od innych zajęć, ale wszyscy jesteśmy przekonani, że gramatyka uniwersalna jest zupełnie możliwa do skonstruowania i dostatecznie łatwa, by sprawdzić, do czego prowadzi. Flo działała najwięcej z nas. Prosiła mnie, by wam wspomnieć, że Boole, Venn i wszyscy pozostali staruszkowie byli na błędnym tropie, ale ona sądzi, że coś jest w pomysle Leibniza o "calculus ratiocinator". Jest sugestia u J.W. Swansona, która się jej podoba dla multipleksowania języków. (Jim wyszedł z tego, gdy opracowywał swą analizę parzystości).

Pomysł polega na opracowaniu języka o podwójnym znaczeniu. Jedna seria znaczeń jest przekazywana, powiedzmy, za pomocą fonemów - to znaczy kształtów samych słów. Drugą przekazuje tonacja. To tak, jakby przekaz wyśpiewać, z połową jego zawartości komunikowaną słowami, a drugą tonami. Jak w muzyce rockowej. Obie serie znaczeń odbiera się równocześnie. Flo pracuje teraz nad trzecim, czwartym i n-tym wymiarem po to, by móc przekazywać równocześnie wiele rodzajów znaczeń, ale jak dotąd

nie jest to płodne w następstwa (z wyjątkiem używania stosunku płciowego jako jednego z mediów komunikacyjnych). Większość naszych zmysłów ma zbyt ograniczony zakres na to, by mogły wiele przekazać. Aha, najlepiej jak tylko umiemy sprawdziliśmy wszystkie istniejące "sztuczne języki" - na przykład zahipnotyzowaliśmy Willa Becklunda dla całkowitego wywołania z pamięci esperanto, którego się uczył jako chłopiec. Ale wszystkie okazały się ślepyimi uliczkami. Nie mają nawet takiej pojemności przesyłowej, jak standardowy francuski czy angielski.

Załączam wydruki informacji medycznej. Wszyscy jesteśmy zdrowi. Dla pewności zbadala nas Ewa Barstow. Ann i Ski mieli maleńkie ubytki w kilku zębach trzonowych, więc je zaplombowała, raczej dla praktyki niż z potrzeby. Nie mówię o praktyce plombowania; chciała spróbować akupunktury zamiast znieczulenia prokainą. Podziałała znakomicie.

Wszyscy tak się czujemy, jakbyśmy pisali do tatusia i mamusi z obozu na wczasach, więc chcieliśmy przesłać wam próbki naszych robótek ręcznych. Kłopot z tym, że jest ich tak dużo. Każdy ma coś, ca osobiście szczególnie lubi, na przykład Barstow rozwiązania większości problemów matematycznych, a ja moją multimedialną adaptację "Sur le pont d'Avignon". Trudno zdecydować, co przesłać przy tak ograniczonych zasobach energii, a nie chcielibyśmy

jej

marnować

na

wysyłanie

odpadków.

Ostatecznie

zdecydowaliśmy w głosowaniu, że najlepszym naszym produktem jest wierszowana wersja "Wojny i pokoju". Dosyć to długie. Mam nadzieję, że moc przesyłowa wytrzyma. Przekażę z tego tyle, ile się tylko da...

Waszyngton

W Waszyngtonie była już pełnia wiosny. Wzdłuż Potomaku zaczęły się rozwijać pączki kwitnącej wiśni, a Park Rock Creek pełen był jasnej zieleni młodych listków. Nawet przez szum rotoru helikoptera Knefhausen słyszał od czasu do czasu grzechot ręcznej broni z okolic Georgetown, a butelki zapalające i gaz łzawiący zasnuwały niebo dymem i oparami wokół kompleksu domów mieszkalnych Water Gate. Nigdy się to nie skończy - pomyślał rozdrażniony Knethausen. Jaki sens miały próby ratowania takich ludzi? To go rozpraszało. Zauważył, że ma uwaga rozstrzeloną w trzech kierunkach: pokiereszowanego zielonego krajobrazu pod nim, samolotów z miotaczami ognia, krążącymi jako eskorta wokół jego helikoptera oraz trzymany na kolanach dokumentów. Wszystko to go irytowało. Nie mógł się skupić na niczym z osobna. A najmniej podobał mu się meldunek z "Konstytucji". Musiał zażądać pomocy ekspertów dla przetłumaczenia wszystkiego, co zawierał. A jeszcze mniej spodobały mu się wyniki, Co tu poszło nie tak? To były jego dzieci, wybrane z tysięcy. W żadnym z nich nie było na przykład ani śladu skłonności do hippisowstwa, w każdym razie po przekroczeniu dwudziestki a u Ann Becklund i Florence Jackman nawet wówczas. Jak oni się wdali w te głupstwa z księgi "I Ching" i idiotyzm z

Achillea millefolium, bardziej znaną jako krwawnik pospolity ? Co za

"eksperymenty"? Kto zaczął z obrzydliwie antynaukową akupunkturą? Jak

śmieli naruszyć zaprogramowany budżet energetyczny dla "celów

badawczych"? I co to były za cele? A ponad wszystko, to co za "uszkodzenie

statku"?

Nabazgrał w notesie:

Natychmiast przerwać te nonsensy. Odnoszę wrażenie, że zachowujecie się

jak nieodpowiedzialne dzieci. Zdradzacie ideały naszego programu.

Knehtausen

Przebiegłszy krótką odległość między lądowiskiem helikopterów i

strzeżonym wejściem do Białego Domu, oddał tam kartka gościowi z Ośrodka

Łączności do natychmiastowego zaszyfrowania i nadania na "Konstytucję" z

Goldstone via Lunar Orbiter 1 oaza na Odwrotnej Stronie. Trzeba ich tylko

upomnieć, tłumaczył Sobie, a uspokoją się. Ale przeglądając się w lustrze,

przyglądając włosy i układając końcem palca wąsy, a także potem, stając

przed głównym sekretarzem Prezydenta, był ciągle zaniepokojony.

Tym razem skierowali się w dół, nie w górę. Knefhausen szedł w stronę

podziemnej sali, która niegdyś mieściła kolejno basen kąpielowy Franklina

Roosevelta, pokój prasowy Białego Domu, studio telewizyjne dla nagrywania

migawek Prezydenta z kongresmanami i senatorami dla wyborców z ich

stron, a teraz był potężnie opancerzonym bunkrem, w którym każdy, kogo by

zastał w Białym Domu atak z zewnątrz, mógł trzymać się przez kilka tygodni,

co wystarczy Czwartej Pancерnej na przybycie z jej bazy w Marylandzie i

odbicie terytorium. Nie było to pomieszczenie wygodne, ale było bezpieczne.

Poza

tym,

dzięki

opancerzeniu

przeciw

atakowi,

było

bardziej

dźwiękoszczelne, szpiegoszczelne i przeciekoszczelne niż jakiegokolwiek na

świecie,

Knefhausena wpuszczono i posadzono. Prezydent i para innych osób było

pograżonych w rozmowie szeptem na jednym końcu sali, zaś para tuzinów

innych wyciągało szyje, by popatrzeć na Kenfhausena.

Po chwili Prezydent podniósł głowę.

- W porządku - powiedział. Napił się wody z kryształowej szklanki. Twarz

miął znużoną i pooraną zmarszczkami; malowało się na niej rozczarowanie

sposobem, w jaki spełniły się chłopięce marzenia: prezydentura nie wyglądała

w rzeczywistości tak, jak ją widział z Muncie, stan Indiana.

- Wszyscy wiemy, na czym stoimy - powiedział. - Rząd Stanów

Zjednoczonych ogłosił informację, która była nieprawdziwa. Zrobił to z pełną

wiedzą i rozmyślnie i został na tym przyłapany. Teraz chcemy poznać kulisy

sprawy i dlatego Doktor Knefhausen wyjaśni Plan Alfa-Alef. Zaczynaj,

Knefhausen.

Knefhasen wstał i bez pośpiechu podszedł do przygotowanego dlań pulpitu.

Rozłożył papiery, przez chwilę przyglądał im się w zamyśleniu, potem zaczął mówić.

- Jak powiedział Prezydent, Plan Alfa-Alef jest kamuflażem. Niektórzy z was dowiedzieli się o tym kilka miesięcy temu i wtedy określili go innymi słowami.

"Oszustwo". "Falszerstwo". Takimi. Ale nie pasuje tu żadne z tych słów. Jeśli mogę to wyrazić po francusku, jest to pełnoprawny ruse de guerre. Nie guerre przeciw jakiemuś przeciwnikowi politycznemu, ani nawet przeciw tym głupim dzieciakom, które biegają po ulicach z butelkami zapalającymi i cegłami. Nie mam na myśli żadnej z tych wojen, lecz wojna przeciw ciemnocie. Bo, rozumiecie, były pewne oznaki - pewne r z e c z y , których musieliśmy się dowiedzieć dla dobra nauki i postępu. Alfa-Alef został zaplanowany, by je dla nas wykryć.

- Na początek - ciągnął dalej - powiem wam to, co najgorsze. Po pierwsze, nie ma takiej planety jak Alfa-Alef. Rosjanie mówili prawdę. Po drugie, wiedzieliśmy o tym od początku. Nawet te zdjęcia, które opublikowaliśmy były fałszowane i na dłuższą metę świat to wykryje i dowie się o naszym rusa de guerre. Mogę tylko mieć nadzieję, że nie wykryje zbyt szybko, bo jeśli będziemy mieli szczęście i przez pewien czas utrzymamy tajemnice, wówczas mam nadzieję przedstawić dobre wyniki na usprawiedliwienie tego, co zrobiliśmy. Po trzecie, gdy "Konstytucja" osiągnie Alfę Centaura, nie znajdzie miejsca do lądowania, żadnego sposobu opuszczenia statku kosmicznego, żadnych surowców, które mogłyby zastać użyte jako paliwo na podróż powrotną, nic zupełnie, prócz gwiazdy i pustej przestrzeni, Z tego faktu wynikają pewne konsekwencje. "Konstytucje" zaprojektowano na paliwo

wodorowe w ilości dostatecznej na podróż w jedną stronę, plus rezerwa na manewrowanie. Nie ma go tyle, by mogła powrócić, zaś źródło, w którym załoga spodziewała się zaopatrzyć, to znaczy planeta Alfa-Alef, nie istnieje, więc nie wróca. A więc tam umrą. To są te złe rzeczy, które muszę wyznać.

Wśród słuchaczy rozległy się szepty i westchnienia. Prezydent siedział zmarszczony, w roztargnieniu, nie słuchając innych. Knefhausen czekał spokojnie aż słuchacze przełkną gorzkie lekarstwo, po czym kontynuował. Pytacie wobec tego, czemuśmy to zrobili? Skazali ośmioro młodych ludzi na śmierć? Odpowiedź jest prosta: wiedza, Innymi słowami: musimy uzyskać podstawowe dane naukowe, potrzebne nam do obrony wolnego świata. Jest wam wiadoma, jak przypuszczam, iż w ostatnich dziesięciu latach i dawniej, postęp w zakresie naukowych badań podstawowych był znikomy.

Prowadzono dużo badań rozwojowych. Dużo technologicznych. Dużo w zakresie zastosowań. Ale od lat, od czasów Einsteina czy ściślej od Weizsackera bardzo mało podstawowych.

A bez nowej wiedzy podstawowej technologia szybko przestanie się rozwijać. Straci napęd.

Muszę wam teraz opowiedzieć pewną historię. Jest to prawdziwa, naukowa historia, żaden żart. Był sobie niejaki de Bono, Maltańczyk, który chciał zbadać proces myślenia twórczego. Niewiele o nim wiadomo, ale de Bono miał pomysł, jak się czegoś dowiedzieć. Przygotował więc do doświadczenia pokój, z którego wyniesiono wszystkie meble, z dwójgiem drzwi w przeciwnych ścianach. Wchodzi się przez jedno, przechodzi przez pokój, wychodzi drugimi. Przy drzwiach wejściowych położył trochę materiału -

dwie płaskie deski, trochę sznurów. Do doświadczenia użył kilkorga dzieci. I powiedział im: "Zagramy sobie w taką grę. Musicie przejść przez pokój i wyjść tamtymi drzwiami, to wszystko. Kto to zrobi, wygrywa. Ale jest jeden przepis. Nie wolno wam dotknąć podłogi ani stopami, ani kolanami, ani żadną częścią ciała czy ubrania. Mieliśmy tu chłopca - powiedział - który był bardzo wysportowany i przeszedł przez pokój na rękach, ale został zdyskwalifikowany. Tego robić nie wolno. A teraz ruszajcie, a kto przejdzie najszybciej, dostanie czekoladę".

Wyprowadził więc wszystkie dzieci, po czym wszystkie po kolei próbowały. Było ich dziesięcioro czy piętnascioro, a wszystkie zrobiły to samo. Niektórym wymyślenie rozwiązania zabrało więcej czasu, inne wpadły na nie natychmiast ale trik był zawsze ten sam: siadały na podłodze przed drzwiami, brały sznury i deski, każdą przywiązywały do jednej stopy i przechodziły przez pokój jak na nartach. Najszybsze z nich potrzebowało na wymyślenie tego i przejście paru sekund. Najwolniejszym zajęło to wiele minut. Ale rozwiązanie w każdym przypadku było takie samo. To była pierwsza część eksperymentu.

A wtedy ten Maltańczyk, de Bono, przeprowadził jego drugą część.

Dokładnie jak poprzednio, z jednym wyjątkiem. Nie dał im dwóch desek. Dał tylko jedną.

I w drugiej części wszystkie dzieci też znalazły takie samo rozwiązanie, oczywiście inne niż za pierwszym razem. Przywiązywały sznur do jednego końca jedynej deski, stawały na niej, podskakiwały, pociągając sznurem deskę do przodu i tak podskakując i pociągając, posuwając się za każdym skokiem nieco do przodu, wszystkim udało się przejść przez pokój. Tyle, że w pierwszym eksperymencie średni czas przejścia wynosił około czterdziestu pięciu sekund, w drugim około dwudziestu. Używając jednej deski przechodziły szybciej, niż z dwiema.

Może teraz już niektórzy z was domyślają się, o co chodzi. Czemu żadne z dzieci w pierwszej grupie nie wpadło na szybszą metodę przejścia przez pokój? To proste. Spojrzały na dostępne im pomoce i będąc takimi jak każdy z nas, chciały zużyć wszystkie. Ale wszystkich przecież nie potrzebowały. Mogły mieć lepsze wyniki przy mniejszej ich liczbie i innej metodzie.

Knefhausen zrobił przerwę i rozejrzał się po pokoju, smakując wrażenie chwili. Miał ich już w kieszeni, wiedział o tym. Tak samo było trzy lata wcześniej z Prezydentem. Zaczynali rozumieć konieczność tego, co zrobiono i blade, uniesione ku niemu twarze nie miały już wyrazu wrogości, a tylko zakłopotania i pewnego lęku.

Kontynuował przemówienie.

- Tego właśnie dotyczy Plan Alfa-Alef, panie i panowie. Wybraliśmy ośmioro najinteligentniejszych istot ludzkich, jakie udało się znaleźć - młodych,

zdrowych, bardzo śmiałych. Bardzo twórczych. Na pewno zrobiliśmy im
świństwo. Ale daliśmy im możliwość, jakiej nikt nigdy nie miał. Możliwość m
y ś l e n i a . Myślenia przez d z i e s i ę ć l a t . Myślenia o problemach
podstawowych. Tam w przestrzeni nie mają tej drugiej deski, która by ich
rozpraszała. Jeśli chcą się czego dowiedzieć, nie mogą pójść do biblioteki,
zajrzeć do książki i dowiedzieć się, że ktoś kiedyś powiedział, że to o czym
myślą nie ma sensu. Muszą wszystko wymyśleć sami dla siebie.

Aby im to umożliwić oszukaliśmy ich i będzie ich to kosztować życie. Tak,
prawda, to tragiczne. Ale odbierając im życie dajemy im w zamian
nieśmiertelność.

Jak to robimy? Znow oszukaństwem, panowie i panie. Nie mówimy im:

"Uwaga, macie odkryć nowe podejście do podstaw nauki i podać je nam".

Kamuflujemy cel, aby nawet on ich nie rozpraszał. Powiedzieliśmy im, że jest
to program rekreacyjny, pomoc w spędzeniu czasu. To też jest ruse de guerre.

"Rekreacja" nie jest po to, aby im ułatwić podróż; jest sama w sobie celem
podróży.

Wysłaliśmy ich więc w drogę z podstawowym narzędziem nauki. Z liczbami,
to znaczy z wielkościami i ilościami, czyli wszystkim, czego dotyczą badania
naukowe. Z gramatyką. Nie tą, której uczyliście się mając trzynaście lat; jest
to termin techniczny, dotyczący rachunku zdaniowego i podstawowych zasad
komunikowania. Przy jej pomocy mogą się porozumiewać w pełni, bez
mętnych dwuznaczności. Daliśmy im niewiele więcej; tylko możliwość
połączenia tych dwóch podstawowych elementów i uzyskania w ten sposób
nowych form wiedzy.

Co z tego wyniknie? Uzasadnione pytanie. Niestety bez odpowiedzi. Jeszcze nie. Gdybyśmy z góry znali odpowiedź, nie musielibyśmy przeprowadzać eksperymentu. Nie wiemy więc, jaki będzie rezultat końcowy, ale już teraz osiągnęli oni bardzo wiele. Już rozwiązali stare problemy, które stanowiły zagadkę dla najmędrszych naukowców przez całe wieki. Podam wam jeden przykład. Zapytacie: dobrze, ale co to d a j e ? Odpowiadam: nie wiem; wiem tylko, że jest to tak trudne pytanie, iż nikt inny nie umiał na nie odpowiedzieć. Jest to dowód na tak zwaną koniunkcję Goldbacha. Tylko przypuszczenie, można było to nawet nazwać zgadywaniem. Domysłem znakomitego matematyka sprzed wielu lat, że każda liczba parzysta może być napisana jako suma dwóch liczb pierwszych. Jest to jeden z tych prostych problemów matematycznych, które każdy rozumie, ale nikt nie potrafi rozwiązać. Możecie powiedzieć: to oczywiste, szesnaście jest sumą jedenastu i pięciu, które obie są liczbami pierwszymi, a trzydzieści to suma dwudziestu trzech i siedmiu, które też są liczbami pierwszymi i możemy wymienić takie liczby pierwsze dla każdej parzystej, którą wybieramy. Tak, ale czy możecie udowodnić, że dla każdej z a w s z e będzie to możliwe? Nie. Nie możecie. Nigdy i nikomu się to nie udało, ale nasi przyjaciele z "Konstytucji" zrobili to i to w pierwszych miesiącach podróży. Mają przed sobą prawie dziesięć lat. Nie potrafię powiedzieć, zrobią w tym czapie, ale na pewno będzie to coś wielkiego. Nowa teoria względności, grawitacji - nie wiem, mówię puste słowa. Ale coś wielkiego

Znów przerwa. Panowała głucha cisza. Nawet Prezydent nie patrzył obojętnie przed siebie, tylko na niego.

- Nie jest zbyt późno, by zniszczyć ten eksperyment. Jest więc konieczne, abyśmy zachowali tajemnicę jeszcze przez krótki czas. Ale teraz już wiecie, panowie i panie. Taka jest prawda o Alfie-Alef.

Bał się tego, co teraz nastąpi, odwłókł to jeszcze na sekundę, przeglądając papiery, w końcu wzruszył ramionami, spojrzął na słuchaczy i zapytał:

- Czy są jakieś pytania?

O tak, były pytania. Pan Každy był trochę ogłupiały, potrzebował chwili, by przewyciężyć czar prostych i pięknych prawd, które usłyszał, ale. wreszcie rozległ się pierwszy głos, następnie drugi, po tym rozległy się trzy czy cztery wrzaski równocześnie. Były pytania, rzecz prosta. Pytania, na które nie było odpowiedzi. Pytania, których Knefhausen nie zdążył usłyszeć, a cóż dopiero odpowiedzieć na nie, a już zadawano następne. Pytania, na które nie znał odpowiedzi. I najgorsze pytania te, na które odpowiedzi działają jak pieprz rzucony w oczy, wywołują wściekłość i ślepotę na zdrowy rozsądek. Ale musiał stawiać im czoła i próbował odpowiadać. Nawet gdy wywrzaskiwano je tak głośno, że na zewnątrz, za grubymi podwójnymi drzwiami, żołnierze piechoty morskiej spoglądali po sobie z niepokojem zastanawiając się, co mogło wywołać ten głuchy grzmot, przenikający ze

znakomicie

dźwiękoszczelnej sali.

- Chcę wiedzieć, kto pana na to napuścił?

- Nikt, panie przewodniczący, było tak jak powiedziałem.

- Ależ Knefhausen, czy chcesz przez to powiedzieć, że mordujesz tych przywoitych ludzi tylko z powodu jakiejś teorii jakiegoś tam Goldbacha?

- Nie, senatorze, nie z powodu koniunkcji Goldbacha, lecz dla ogromnego postępu w nauce, decydującego dla utrzymania wolnego świata.

- Przyznaje pan więc, że wciągnął pan Stany Zjednoczone w oczywiste oszustwo?

- W usprawiedliwiony podstęp wojenny, panie ministrze, ponieważ nie było innej drogi.

- Fotografie, Knefhausen?

- Sfałszowane, generale, jak to panu mówiłem. Biorę za to pełną odpowiedzialność.

I tak dalej i dalej, ze słowami: "morderstwo"; "oszustwo", a nawet "zdrada" powtarzającymi się coraz częściej i częściej.

Aż wreszcie Prezydent wstał i podniósł rękę. Długo trwało nim zapanował spokój, ale wreszcie ucichli.

- Czy chcemy tego czy nie, siedzimy w tym po uszy - powiedział po prostu. -

Nie ma nic więcej do powiedzenia. Przyszliście do mnie, wielu z was przyszło, posłyszawszy plotki i żądając prawdy. Teraz znacie prawdę, jest ona

zaklasyfikowana jako ściśle tajna i nie wolno jej rozpowszechniać. Wiecie

wszyscy, co to oznacza. Dodam tylko, że osobiście proponuję, by jakiegokolwiek

naruszenie tego środka bezpieczeństwa podlegało dochodzeniu wszelkimi środkami, jakie są w dyspozycji rządu i było karane z największą surowością prawa. Ogłaszam sprawę Planu Alfa-Ale za należąca do kategorii bezpieczeństwa narodowego w stanie wyjątkowym i przypominam, że kara w takich wypadkach obejmuje, jeśli to konieczne, również karę śmierci, a w tym wypadku będzie to konieczne.

Prezydent wyglądał na nagle postarzałego o dziesiątki lat i mówiąc poruszał wargami w taki sposób, jakby miał coś obrzydliwego w ustach. Nie pozwolił na dalszą dyskusję i zamknął zebranie.

Pół godziny później, w prywatnym gabinecie, siedzieli tylko Knefhausen i Prezydent.

- No więc - powiedział Prezydent - to wszystko było młóceniem plew.

Następna sprawa: świat się o tym dowie. Mogę to odwlec o pacę tygodni, może miesięcy. Nie mogę temu zapobiec.

- Jestem panu wdzięczny, Panie Prezydencie, za...

- Zamknij się, Knefhausen. Nie chcę słyszeć przemówień. Chcę od ciebie tylko jednego, mianowicie wyjaśnienia. Co u diabła znaczy to wszystko na temat mieszania narkotyków, wolnej miłości i tak dalej?

- Ach - odrzekł Knefhausen - ma pan na myśli ostatni meldunek z "Konstytucji". Tak Panie Prezydencie, już nadałem ostro sformułowany rozkaz. Z powodu odległości depesza dojdzie do nich dopiero za parę miesięcy, ale zapewniam pana, że wszystko zostanie wyprostowane.

Prezydent odpowiedział kwaśno: - Nie chce żadnych zapewnień. Oglądasz telewizję? Nie mówię o "Kocham Lucy" ani rozgrywkach piłkarskich, mówię o

wiadomościach. Czy wiesz w jakim stanie jest ten kraj? Marsze bezrobotnych z roku 1932, rozruchy rasowe z 1987 - to było nic. Były czasy, gdy mogliśmy wezwać Gwardię Narodową dla złamania zamieszek. W zeszłym tygodniu musiałem wezwać armię przeciw trzem kompaniom Gwardii. Jeszcze jeden skandal, Knefhausen i jesteśmy skończeni. A ten jest wielkim skandalem.

- Nasze motywy są ponad wszelkie zarzuty...

- Może twoje. Może i moje, a może staram się przekonać sam siebie, że zrobiłem to dla dobra nauki, a nie po to, aby figurować w podręcznikach historii jako prezydent, który przyczynił się do wielkiego przełomu: Ale jakie motywy mają twoi przyjaciele na pokładzie "Konstytucji"? Nie po to zgodziłem się wyjąć czterdzieści miliardów dolarów z kieszeni narodowej, by zafundować ósemce twoich przyjaciół dziesięć lat grupowych rozrywek i narkotyków.

- Panie Prezydencie, zapewniam, że to tylko faza przejściowa. Dałem im polecenie, by to doprowadzili do porządku.

- A co im zrobisz, jeśli nie doprowadzą? - Prezydent, który nigdy nie palił, wyjął cygaro, odgryza koniec i zapalił. Powiedział: - Jest za późno, bym opowiadał, że nie powinienem był dać sobie tego wmówić. Powiem więc tylko, że musisz się wykazać wynikami, zanim wszystko trzaśnie, bo wtedy ja już nie będę prezydentem, a ty wątpię czy będziesz żywy.

Konstytucja - cztery

To znowu Shef i jest około dnia 250. 300? Nie, myślę, że nie. Hej, przykro mi z powodu daty okrętowej, ale szczerze mówiąc nie myślę już tymi kategoriami. Myślałem o zupełnie czymś innym. Jestem też trochę

rozstrojony. Gdy podrzuciłem rubla, wyszedł heksagram K'an, czyli niebezpieczeństwo, nad Li, Słońcem. To daje marny nastrój do rozmów z wami. Nie jesteśmy mściwi, ale jest faktem, że niektórzy z nas byli w bardzo złym nastroju, gdyśmy odkryli, co zrobiliście. N i e s ą d z ę , abyście się musieli martwić, ale wolalbym otrzymać lepszy heksagram.

Ale zacznę od dobrych nowin. Nasza szybkość dochodzi teraz do 0,4 C.

Sceneria zaczyna się robić interesująca. Już od paru tygodni gwiazdy przed i za nami odplynęły poza pasmo widzialności, bo te z przodu weszły w ultrafiolet, a z tyłu odplynęły w podczerwień. Możecie pomyśleć, że wskutek przesuwania się widma w zakresie widzialnym pojawią się inne częstotliwości elektromagnetyczne. Myślę że tak jest, ale gwiazdy mają pik: emisyjne w poszczególnych częstotliwościach i większość z nich mają w zakresie widzialnym, więc efekt jest taki, że znikają. Najpierw przed nami pojawiło się coś w rodzaju okrągłej czarnej plamy, gdzie nie było nic, Alfy Centaura, Bety Centaura ani nawet jasnych gwiazd Cyrkla. Później zniknęło Słońce i wkrótce ujrzeliśmy zaciemnienie, pochłaniające gwiazdy za nami. A po tym oba czarne koła zaczęły rosnać.

Rzecz prosta zdajemy sobie sprawę, że gwiazdy w rzeczywistości nadal tam są. Możemy je wykrywać przyrządami w taki sam sposób, jak przesuwając częstotliwości możemy wam przekazywać i odbierać od was depesze. Ale po prostu nie możemy ich już zobaczyć. Gwiazdy znajdujące się na linii naszego Lotu, gdzie wektor prędkości wynosi 0;34 C. albo 0;37 C (zależnie od tego, czy są przed, czy za nami) zwyczajnie nie promieniują już w zakresie widzialnym. Te zaś dalej w bok przesunęły się wizualnie wskutek efektów

relatywistycznych. Ale wygląda to tak, jakbyśmy wiali od Niczego ku Niczemu i otwarcie mówiąc jest to dość przeraźliwe.

Nawet gwiazdy, leżące na naszym trawersie wykazują relatywistyczne przesunięcie barw. Wygląda to niemal jak tęcza, jedna z tych kulowych tęcz, jakie widać czasem z samolotu, poniżej, na tle chmur. Ale to koło opasuje nas samych. Na krawędzi czarnej dziury przed nami gwiazdy mają częstotliwość wizualną przesuniętą do ciemnej czerwieni. Dalej przechodzą przez oranż, żółcień, zieleń młodych liści aż do pasa najbliższego czarnej dziury z tyłu, gdzie są jasnoniebieskie, przechodzące w fiolet. Jim Barstow ćwiczył na nich swe zdalne widzenie i potrafi je powiązać z rzeczywistą mapą nieba. A ja nie. Również w czarnej dziurze przed nami, widzi coś, czego ja nie mogę zobaczyć. Przypuszcza, jak mówi, że jest to silne radioźródło, zapewne Centaurus A i według niego promieniuje ono obecnie silnie w całym paśmie widzialnym. To znaczy silnie dla Jima i jego oczu. Nie jestem pewien, czy w ogół byłbym w stanie to zobaczyć. M o ż e jest tam coś w rodzaju bardzo słabego, rozproszonego blasku, jakiś gegenschein, ale nie jestem pewien. Nikt inny też. Ale tęcza gwiazd jest piękna. Choćby dla niej warto było się puścić w podróż. Flo uczyła się malować olejno, by zrobić dla was obrazek na ścianę, jednak gdy odkryła, co zamierzaliście, tak się rozeźliła, że chciała do niego podłączyć bombę wodorową pułapkę czy coś takiego. (Ale już jej przeszło, jak przypuszczam).

Nie jesteśmy więc na was już tacy wściekli, chociaż był okres, w którym, komunikując się z wami, powiedziałbym parę brzydkich rzeczy.

... Przegrałem to sobie ponownie, brzmiało dość mętnie i chaotycznie.

Przepraszam za to. Nie jest to dla mnie łatwe. Nie mówię, że trudne w sensie intelektualnym jak to było z problemami szachowymi i rachunkiem tensorowymi, ale trudne jak przesypywanie góry piachu łyżeczką do herbaty. Po prostu odzwyczaiłem się od wpychania myśli w tego rodzaju kaftan bezpieczeństwa. próbowałem namówić innych, aby tym razem rozmawiali z wami zamiast mnie, ale nie było chętnych. Udzielono mi masę dobrych rad. Dot jest zdania, że nie powinienem tracić czasu na przypominanie sobie dawnego sposobu mówienia. Chciała napisać dla was ejdetyczne sprawozdanie w uproszczonej notacji, które, jak oceniała, działając w przyśpieszonym tempie, bez względu na koszty, moglibyście przetłumaczyć w rozsądnym terminie dziesięciu czy dwudziestu lat. Byłoby to absolutnie pełne sprawozdanie ze wszystkimi detalami. Zwróciłem jej uwagę, że to by pociągnęło za sobą praktyczne trudności. Nie w przygotowaniu, nie to mam na myśli. Też coś, każdy z nas by to potrafił! Nie zapominam niczego, prócz głupstw w rodzaju, który to dzień pokładowy, których w ogóle nie życzę sobie pamiętać; ani ja, ani nikt inny. Ale transmisja trwałaby za długo. Nie mamy dość energii, by przekazać dostateczną liczbę grup, szczególnie od czasów wypadku. Dot mówi, że mogłaby sprawozdanie zgodelizować. Powiedziałem, że jesteście zbyt tępi, by je odgodelizować. A ona, że to byłaby dla was dobra naučka.

No, tutaj ma rację i czas już, abyście się nauczyli komunikować z nami w sensowny sposób, więc jeśli wystarczy energii dołączę na końcu ejdetyczne sprawozdanie Dot. W formie zgodelizowanej. Życzę szczęścia. Uczciwie mówiąc nie zdziwię się, jeśli opuścicie jedną czy dwie cyfry i wyjdzie wam

"Rebeka z fermy nad Słonecznym Strumieniem" albo jeden z zaginionych apokryfów biblijnych, albo, co najbardziej prawdopodobne, belkot. Ski mówi, że w żadnym wypadku nic na tym nie zyskacie, ponieważ Henie miał rację. Przekazuję to bez komentarzy.

Seks. Zawsze chcecie się dowiadywać o seksie. Wspaniały. Teraz, gdy już nie musimy wyglupiać się z pigułkami, jest wprost cudownie. Flo i Jim Barstow zaczęli go uprawiać jako część multipleksowego systemu komunikacji, który musielibyście zobaczyć, by weń uwierzyć. Czasami, gdy mają to robić wszyscy, rzucają roboty i tylko siedzimy w kółeczku i przyglądamy im się, dowcipkując, śpiewając i pomagając im w obliczeniach pomocniczych. Kiedy swego czasu zrobiliśmy sobie te małe zabiegi chirurgiczne (obecnie wszystkie kości się zrastają), Ann i Ski zdecydowali się pokochać zamiast zastosować znieczulenie i powiedzieli; że to lepsze niż akupunktura. Nie blokuje wrażeń. Byli całkiem świadomi, że odcina im się małe palce u stóp, ale nie odbierali tego jako ból. Wobec tego, gdy przyszła kolej na Jima, spróbował on amputacji w ogóle bez niczego, jedynie w oczekiwaniu, że on i Flo pójdą do łóżka w chwilę później i to też podziałało. Był strasznie napalony z tego powodu; twierdził, że przeskoczył zastrzeżenie o przyczynie poprzedzającej skutek. To tak jak problem białej królowej i czarnej królowej i jest całkiem intrygujące, póki się w tym nie połapać. Nie jestem pewien, czy sam się już połapałem. A gdyby się nie przespał z Flo? Czy jego mały palec zacząłby go boleć wstecznie? Popłatałem się w tym trochę; Dot mówi, że to dlatego, że po prostu w ogóle nie rozumiem fenomenologii, więc sądzę, że pójdą za radą Ann i przegryzą się przez Carnapa, chociaż jego lingwistyka jest tak nędzna, że

trudno to wytrzymać. Więc zastanawiając się nad tym dochodzą do wniosku, że nie muszą. Przecież ostatecznie to wszystko jest zawarte w zgodelizowanej relacji ejdetycznej. Przekażę wam więc tą relację i robiąc to będę miał coś w rodzaju przeglądu sprawy i uporządkuję sobie w głowie sprawę przyczynowości.

Słuchajcie, podrzucam wam przynętę. Sprawozdanie będzie także zawierać trik Skiego na zachowanie plazmy aż przez 500 kilomilisekund, więc gdy je rozplączecie będziecie wiedzieć, jak zbudować te reaktory termojądrowe, o których mówiliście, gdyśmy wyruszali. To jest marchewka przed waszymi nosami, więc pośpieszcie się z odgodelizowaniem. U nas to działa doskonale, choć oczywiście było nam przykro w związku z tym, co się zdarzyło gdyśmy przerabiali napad. Eksplozja zabiła miejscu Willa Becklunda i dla nas wszystkich paskudnie to wyglądało.

No więc, muszę kończyć, bo energia trochę się wyczerpuje, a nie chcę ryzykować pokręcenia czegoś w sprawozdaniu.

Oto ono:

$1973^{854} + 331^{852} + 17^{2008} + 3^{9606} + 2^{88}$ odjąć 78.

Wszystkiego najlepszego, chłopcy!

Waszyngton

Knefhausen podniósł głowę znad sterty papierów na biurku. Przetarł oczy z westchnieniem. Przestał palić w tym samym okresie co Prezydent, ale podobnie jak Prezydent myślał, by do tego wrócić. Może zabija, prawda. Ale mniejsza napięcie, a on tego potrzebował. A cóż złego w zabijaniu samego siebie? Są rzeczy gorsze niż być zabitym - pomyślał melancholijnie.

Jakkolwiek na to patrzeć - rozmyślał obiektywnie - miał za sobą dwa lub trzy ciężkie lata. Zaczęły się tak dobrze, a potem było tak źle:

Plan Alfa-Alef był zasadniczo słuszny! Myśląc o tym zgrzytnął zębami. Uda się - nie, na Boga, j u ż się udał i zmieni świat. Przyszłe pokolenia to zobaczą. Ale przyszłych pokoleń jeszcze nie było, a w teraźniejszości sprawy toczyły się całkiem źle.

Przypomniało mu to, by podnieść telefon i wydzwonić sekretarka.

- Czy udało się pani połączyć już z Prezydentem? - zapytał. - Przykro mi, doktorze Knefhausen. Próbowałam przez dziesięć minut, tak jak pan powiedział.

- Aaa - mruknął. - Nie, proszę poczekać. Chwileczka. Jakie były telefony? Szelest papieru. - Agencje prasowe, oczywiście, znów z pytaniami na temat plotek. Biuro Jacka Andersom. Ktoś z CBS.

- Nie, nie. Nie rozmawiam z prasą. Ktoś jeszcze?

- Dzwonił senator Copley z zapytaniem, kiedy da pan odpowiedź na lista pytań, którą przesłała jego komisja.

- Dam mu odpowiedź. Dam mu taką odpowiedź, jak Gotz von Berlichingen biskupowi z Bamberga.

- Przepraszam, panie doktorze, niezupełnie się orientuję...

- Nie szkodzi. Jeszcze coś?

- Tylko telefon zamiejscowy od jakiegoś pana Hauptmanna. Mam jego numer.

- Hauptmann? - Nazwisko było dziwnie znajome. Po chwili Knefhausen je umiejscowił: z całą pewnością fotolaborant, który współpracował przy

falszowaniu zdjęć z "Briareusa Dwanaście". Otrzymał rozkaz, by nie pchał się przed oczy i siedział cicho. Nie, to nieważne. Żaden z nich nie jest ważny i nie życzy sobie, by mi zawracano głowa takimi głupstwami. Proszę nadal tak postępować, pani Ambrose. Jeśli uda się dodzwonić do Prezydenta, proszę mnie natychmiast łączyć, ale żadnych innych rozmów.

Odłożył słuchawkę i wrócił do biurka.

Spojrzał na papiery równocześnie ze smutkiem i przyjemnością. Wszystko tu miał: sprawozdania z "Konstytucji", własne szkice ich interpretacji i komentarze oraz ponad sto notatek uzupełniających, zestawionych przez jego personel, by ułatwić zrozumienie i implikacje tych jakże nieraz tajemniczych raportów z przestrzeni kosmicznej:

H e n l e. Prawdopodobnie chodzi o Paula Henle (notatka w załączeniu); zapewne aluzja do cytatu z jego pracy, że "Istnieją pewne symbolizmy, w których pewnych rzeczy nie da się wyrazić": Przypuszczenie: że język angielski należy do takich symbolizmów.

Oranżadowy deser lodowy. Dokonano tajnych badań eksperymentalnych nad materiałem wymienionym w dokumencie Nr, bież. CON-130, § 4. Analiza chemiczna i próby doświadczalne wskazują, że zalecona mieszanina farmaceutyków i innych składników daje substancje halucynogenną o znacznej sile i nie do końca poznanych właściwościach. W prowadzonych równoległe testach podano 100 osobom substancje lub placebo. Osoby, przyjmujące prawdziwą substancję meldują reakcje znacząco różne od otrzymujących placebo.

Relacjonowane

efekty

obejmują

poczucie

nieograniczonej kompetencji i pogłębionej zdolności rozumienia. Niemniej te

dane są całkowicie subiektywne. Poczyniono starania, by je zweryfikować

testami: standardowym na iloraz inteligencji, manipulacyjnym i innymi, ale

badani nie współpracowali należycie, a niektórzy z nich oddalili się bez

zezwolenia z zakładu badawczego.

System kodowania przekazu jakiegokolwiek rodzaju jako jednej bardzo

wielkiej liczby. Przekaz najpierw pisze się tekstem otwartym, a następnie

koduje jako podstawy i wykładniki potęg. Każda kolejna litera przekazu jest

wyrażana przez szereg naturalny liczb pierwszych - to znaczy pierwsza litera

podstawą 2, druga podstawą 3, trzecia podstawą 5, następne przez 7, 11, 13, 17

itd. Tożsamość litery zajmującej te pozycje w przekazie jest zawarta w

wykładniku: po prostu wykładnik 1 oznacza, że literą na tej pozycji jest A,

wykładnik 2, że jest to B, 3, że C itd. Całość przekazu jest wyrażana następnie

jako iloraz wszystkich podstaw i wykładników. Przykład. Słowo "baca" będzie

w ten sposób reprezentowane wyrażeniem $2^2 \times 3^1 \times 5^3 \times 7^1$ czyli 10500.

Imię "Ala" będzie reprezentowane liczbą 531441 czyli $2^1 \times 3^{12} \times 5^1$.

Angielskie zdanie „John lives” będzie reprezentowane ilorazem następujących

wielkości: $2^{10} \times 3^{15} \times 5^8 \times 7^{14} \times 11^0 \times 13^{12} \times 17^9 \times 23^5 \times 29^9 \times$

31^{27} (w którym wykładnik "0" został zarezerwowany na wyrażenie odstępu,

zaś wykładnik "27" uznano arbitralnie za wyrażający kropkę). jak z tego

widać "zgodelizowana forma nawet bardzo krótkiego przekazu wyraża się bardzo wielką liczbą, chociaż takie liczby mogą być w bardzo zwarty sposób przekazywane jako suma podstaw i wykładników. Przykład przekazany przez "Konstytucje" jest oceniany jako równoważny objętością pełnemu, wielkiemu słownikowi języka angielskiego.

Z d a l n e w i d z e n i e . Wiadome jest, że osobnik James Madison Barstow w swych wczesnych latach szkolnych cierpiał na pewną krótkowzroczność, zapewne wywołaną przez nadmiar lektur, którą starał się wyleczyć ćwiczeniami podobnymi do "metody Batesa" (notatka w załączeniu). Jego wzrok w okresie testowania dla Planu Alfa-Alef był doskonały. Wywiady u jego dawnych kolegów wskazują, że zachował on zainteresowanie podwyższaniem ostrości widzenia. Wyjaśnienie alternatywne. Są również poszlaki, że był także zainteresowany zjawiskami paranormalnymi jak jasnowidzenie czy prekognicja i jest możliwe, choć w chwili obecnej ocenia się to jako wątpliwe, że użycie przez niego tego zwrotu odnosi się do "patrzenia w przód" w czasie.

I tak dalej i tak dalej.

Knefhausen wlepił wzrok w stos papierów przed sobą z czułością i rozpaczą i potarł czoło dłonią. Dzieci! Były takie cudowne... i tak niesforne... i tak trudne do pojęcia. Jakąż niesfornością z ich strony było ukrywanie ich prawdziwych osiągnięć. Tajemnica syntezy termojądrowej! To jedno wystarczyłoby dla usprawiedliwienia całego planu. Ale gdzie była zawarta?

Zamknięta na klucz w tym cyfrowo-szyfrowym belkocie. Kenfhausen doceniał elegancję tej metody. Potrafił też odnieść się poważnie do sposobu

komunikowania o tak olśniewającej prostocie. Gdy tylko dana liczba została wypisana, wystarczyło zacząć ją dzielić przez dwa tyle razy, ile to możliwe, a liczba tych razy podaje pierwszą litera. Następnie podzielić przez następną liczbę pierwszą czyli trzy, a iloraz da drugą litera. Ale trudności praktyczne! Nie można nawet odszyfrować pierwszej litery nim się nie uzyska najpierw całej liczby, a IBM wręcz odmówił złożenia oferty na skonstruowanie w tym celu baterii komputerów, jeśli czas na jej zbudowanie nie zostanie uzgodniony na dwadzieścia pięć lat. DWADZIEŚCIA PIĘĆ LAT . A tymczasem w odebranej liczbie ukryty jest prawdopodobnie sekret kontrolowanej reakcji termojądrowej, może i wiele innych sekretów, a już prawie na pewno klucz do pomyślności samego Knefhausena w najbliższych kilku tygodniach...

Zadzwoił telefon.

Chwycił go i krzyknął natychmiast: - Słucham, Panie Prezydencie!

Zbyt się pośpieszył. Była to tylko jego sekretarka. Mówiła zdecydowanym, choć drżącym głosem.

- To nie Prezydent, panie doktorze, lecz senator Copley jest na linii i mówi, że to nie cierpiące zwłoki. Mówi, że..

- Nie! - ryknął Knefhausen i trzasnął słuchawką. Już w tej samej chwili

pożałował tego. Copley był bardzo wysoko postawiony, przewodniczył Komisji Sił Zbrojnych; był człowiekiem, którego Knefhausen nie chciałby mieć wśród wrogów. Bardzo powoli, w ciągu wielu lat cierpliwych zabiegów, zrobił go swym przyjacielem. Ale nie był w stanie rozmawiać z nim, ani z kimkolwiek innym, gdy Prezydent nie odpowiada na jego telefony. Ranga Copleya była wysoka, ale nie znajdował się on wśród bezpośrednich przełożonych Knefhausena. Gdy szczyt piramidy odmawiał rozmowy z Knefhausenem, doktor był odcięty od świata.

Próbował się uspokoić, oceniając sytuację obiektywnie. Zbliżały się konwencje partyjne. Nadchodziła potrzeba uzyskania wyboru na trzecią kadencję i nowelizacji prawa, która by to umożliwiła. No i - Knefhausen przyznawał to wobec samego siebie największy nacisk wywierały plotki, które krążyły w sprawie "Konstytucji". Ostrzegał Prezydenta. Niestety Prezydent nie posłuchał. Powiedział mu przecież, że tajemnica znana dwójgu Ludziom już jest zagrożona, a znana więcej niż dwójgu nie jest tajemnicą. Ale Prezydent nalegał, by ją ujawniać ciągle rosnące mu kręgowi wysokich urzędników. Oczywiście zaprzysiężonych na dotrzymanie sekretu - ale co to dawało? Oczywiście przecieki; mimo wszystko, były. Mniej niż można by się obawiać. Więcej niż można wytrzymać.

Pogłaskał pieszczotliwie meldunki z "Konstytucji": Te cudowne, wspaniałe dzieci, one ciągle jeszcze są w stanie wszystko uratować...

Dlatego, że to on uczynił ich cudownymi, wyznał sobie po cichu. Stworzył koncepcję. Wybrał ich. Dopuścił się rzeczy; z którymi sam się dotychczas nie mógł pogodzić. Po to; aby zapewnić właśnie im, a nie komukolwiek innemu;

wpisanie na listę załogi. A przede wszystkim zabezpieczył się, zapewniając sobie na wszelkie możliwe sposoby ich lojalność. Trening. Dyscyplina. Więzy miłości i przyjaźni. Więzy jeszcze pewniejsze: naszpikował im zapasy żywności, taśmy rekreacyjne, programy działań wszelkimi możliwymi sugestiami, maksymalnym naciskiem podprogowym oraz wspomaganiami psychologicznymi, jakie tylko udało mu się wymyśleć lub wynaleźć. Po to; by nie omieszkali wiernie przekazać na Ziemię wszystkiego, cokolwiek tam robili. I niezależnie od tego, co się zdarzyło, wyniki nadeszły: Dane mogły być trudne do odszyfrowania, ale były. Na to kosmonauci nie mogli nic poradzić; jego przykazania działały skuteczniej niż boskie; jak Marcin Luter mogli tylko powiedzieć, "Ich kann nicht anders" i nawet przed papieżem czy inkwizycją, musieli się tego trzymać. Będą się uczyli, będą mówić, czego się nauczyli i w ten sposób zwrócą się koszty inwestycji...

Telefon! Zaczął mówić zanim jeszcze; podniósł słuchawkę do ust.

- Tak; tak, tu doktor Knefhausen, tak! - wymamrotał. Teraz to już na pewno był Prezydent.

To nie Prezydent:

- Knefhausen - wrzeszczał człowiek na drugim końcu linii. " Teraz słuchaj; powiem ci to, co powiedziałem tej twojej wiedźmie, że jeżeli nie połączy mnie z tobą n a t y c h m i a s t , wyślę Czwartą Pancerną by cię aresztowała i dostawiła do mnie w ciągu dwudziestu minut. Więc słuchaj!

Knefhausen rozpoznał głos i sposób mówienia. Zaczerpnął głęboko powietrza i zmusił się do spokoju.

- Dobrze, senatorze Copley - powiedział - co się stało?

- Spraw się rypla, chłopie! To się stało. Ten twój chłopak w Huntsville; jak mu tam, ten fotolaborant...

- Hauptmann?

- Właśnie on! Czy chcesz wiedzieć, ty głupi szwabski skurczybyku, gdzie on teraz jest?

- No cóż, przypuszczam... Myślę, że powinien być w Huntsville...

- Pudło, chłopie! Twój szwabski przyjaciel zameldował, że źle się czuje i wziął zaległy urlop zdrowotny. Wywiad miał go trochę na oku, ale go nie zatrzymał, chcieli wiedzieć, co on zrobi. No i zobaczyli. Zobaczyli jak godzinę temu odleciał z lotniska Orly samolotem Aeroflotu. Rusz swoim wielkim szwabskim mózgiem na ten temat, Knefhausen! Dał dęba. A teraz postaraj się wymyśleć, co z tym zrobisz i lepiej, żeby to był dobry pomysł!

Knefhausen coś powiedział, sam nie wiedząc co i odwiesił słuchawkę, nie wiedząc kiedy. Patrzył w przestrzeń szklanym wzrokiem.

Potem nacisnął guzik do sekretarki i powiedział, przerywając jej jękające się przeprosiny: - Ten telefon międzymiastowy od Hauptmanna, o którym pani poprzednio mówiła, pani Ambrose... Nie powiedziała pani skąd był.

- To był telefon międzykontynentalny, panie doktorze. Z Paryża. Nie dał mi pan możliwości...

- Tak, tak. Rozumiem. Dziękuję. W porządku.

Powiesił słuchawkę i opadł na fotel. Prawie odczuł ulgę. Jeśli Hauptmann udał się do Rosji, mógł to zrobić tylko po to, by opowiedzieć, że fotografie zostały sfalszowane i nie tylko nie było planety, na której astronauta mogliby wylądować, lecz także nie było nawet omyłki; było tylko totalne oszustwo. Nic

więcej już nie zależało od Knefhausena. Teraz historia go osądzi. Kości zostały rzucone. Rubikon przekroczony.

Ileż aluzji literackich, pomyślał pogardliwie. W rzeczywistości to nie sąd historii miał bezpośrednie znaczenie, lecz osąd przez pewnych realnych ludzi, żyjących teraz i skłonnych do niemiłych reakcji. A będą go sądzić nie na podstawie tego, co mogłoby lub powinno być, lecz tego, co jest. Na myśl o tym sądzie przeszły go zimne dreszcze i wyciągnął rękę, by jeszcze raz próbować dodzwonić się do Prezydenta. Lecz był zupełnie pewien, że Prezydent nie odpowie ani teraz, ani już nigdy.

Konstytucja - pięć.

Tutaj wasz stary niezawodny Shef. Dostaliśmy waszą depeşe: Nie chcę z nią, dyskutować. Macie dużo tupetu. Złe nastroje u was, co? Jeśli nie macie do powiedzenia nic milego, nie gadajcie w ogóle. Staramy się jak możemy, a to nie jest mało, więc jeśli nie robimy ściśle tego, co chcecie, to zapewne dlatego, że obecnie wiemy o wiele więcej, niż wyście wiedzieli, gdy nas wystrzeliliście w stronę tej lipy, którą nazwaliście Alfa-Alef. Dziękujemy, nie ma głupich.

Z drugiej jednak strony małe podziękowanie za tę odrobinę, którą zrobiliście dla nas, a co w rezultacie ustawiło nas tam, gdzie jesteśmy. Nie mam na myśli przestrzeni. Nie będę więc na was wrzeszczał. Po prostu nie chce mi się z wami gadać. Inni zrobią to we własnym imieniu.

M ó w i D o t L e t s k i . To ważne. Przekazać. Mam do powiedzenia trzy rzeczy, które powinniście zapamiętać. Pierwsza: większość problemów ma rozwiązania **g r a m a t y c z n e** . Problemu transportowania ludzi z Ziemi na inne planety nie rozwiązuje się przez przypadkowe składanie kawałków stali,

aby stwierdzić, że przypadkowo zbudowaliście "Konstytucję". Rozwiązuje się go przez skonstruowanie modelu (- równanie [gramatyka]), który opisuje warunki konieczne, przy których następuje transport. Gdy się ma model gramatyczny, po prostu układa się metal wokół niego i wszystko idzie jak z płatka.

Gdy to zrozumiecie, będziecie gotowi na drugą: nie ma n i c takiego, jak przyczynowość. Cóż to była za strata czasu starać się przypisać "przyczyny" "wydarzeniom" ! Używacie wyrażen w rodzaju: "Potarcie główki zapalki powoduje jej zapalenie". Prawdziwy sąd? Nie, fałszywy. Ładujecie się we wszystkie bzdury w rodzaju - czy "akt potarcia" jest "konieczny" lub "wydynamnym

naciskiem

magnetycznym,

lecz

zachęcając

je,

by

zechgmatycznie nie mają czasów. W przyzwoitej gramatyce (angielska taką

oczywiście nie jest, ale postaram się dać sobie z tym radę) można

sformułować następujące zdanie: "istnieje połączenie form materii

(określone), które tworzą związek z wyzwoleniem energii w pewnej

(określonej) temperaturze (która może być temperaturą występującą w

związku z ciepłem tarcia)". Gdzie tu przyczynowość? "Przyczyna" i "skutek"

zawarte są w tym samym beczasowym zdaniu. Wobec tego trzecia: n i e m a

czegoś takiego jak prawa empiryczne. Gdy Ski to zrozumiał, był w stanie utrzymać plazmę w naszym silniku odrzutowym nieograniczenie długo, nie popychając cząsteczek ordynarnym naciskiem magnetycznym, lecz zachęcając je, by zechciały trzymać się razem. To, co robi można powiedzieć innymi słowami (- "tworzy środowisko, w którym siły dośrodkowe są większe od odśrodkowych"), ale sposób, w jaki wam to powiedziałam jest lepszy, bo mówi coś o waszych charakterach. Jesteście wszyscy brutalami. Czemu nie umiecie być mili dla rzeczy, jeśli chcecie by one były mile dla was? Nie zapomnijcie przekazać tego do T'in Fa w Tientsinie, profesora Morrisa w All Souls College i tego, kto tam ma katedrę imienia Carnapa na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles.

K o l e j n a F l o .

Moja matka byłaby zachwycona moim ogrodem. Kurze łapki i żonkile rosną tu Jedne przy drugich w mulistym piasku, Robią to, by nam sprawić przyjemność, a my Im Ją robimy - prawdopodobnie prześlę wam w przyszłości pełny podręcznik ogrodnictwa, tymczasem Jednak niegodziwością jest zjeść rzodkiewka. Ale marchewki to lubią.

Oświadczenie zmarłego Williama Becklunda.

Przyszedłem na świat, uczyłem się, rosłem; Jadłem, pracowałem, poruszałem się i umarłem. Alternatywnie: wynurzyłem się z płomienia wodorowego, skurczyłem się, zwymiotowałem i powróciłem do łona, do którego tak się tęskni. Można podejść do tego z każdego końca, nie ma żadnej różnicy, z której strony się na to patrzy.

Dane obserwacyjne, Letski.

W czasie t , wyrażanym liczbą Diraca niewspółmierną ze średnim czasem

Greenwich, obserwuje się następujące zjawisko:

Radioźródło Centaurus A zostało zidentyfikowane jako stabilny pozycyjnie

jeden przedmiot zbiorowy, a nie dwie, przenikające się chmury gazowe i

zostało zaobserwowane, że kurczy się radialnie ku środkowi. Analiza i

obserwacja ujawniają, że jest to czarna dziura, bliższe szczegóły na jej temat

nie dają się jeszcze wykryć. Wnioskuje się z tego, że wszystkie galaktyki

wytwarzają tego rodzaju wiry centralne, z implikacjami interesującymi dla

astronomów i eschatologów. Ja, Seymour Letski, proponuję, by się temu

bliżej przyjrzeć, ale inni, są zdania, by najpierw kontynuować

zaprogramowany lot, Serwis informacji naukowej Harwardu i Instytutu

Smithsonianskiego, proszę rozpowszechnić.

T ę c z a g w i a z d ' ' , szkic wstępny tłumaczenia wiersza Jamesa Barstowa:

Stado gąsiąt, lecz śmietanka rasy

Drepczemy w relatywistycznej przestrzeni

Odkształceni, odrzuceni, oszukani szukamy,

Lecz nie ma Znak Konia-Człowieka.

Nie me Znak Człowieka-Konia,

I teraz odkrywamy cel naszej drogi,

Oszukani, omamieni i okpieni, ponuro gonimy

Za dzieckiem bezżennego słońca.

Oszustwo ujawnione, pułapka odkryta,

A my - ofiary kretyńskiego żartu.

Gąsiorze coś nas splodził, gęsi coś nas zniosła,

Jak sprośnie i wykrętnie uknułicie zdradę!

Winniśmy wam spłatę długu, I nie zapomnimy.

Trochę szczęścia, wytrwałości i wszystko spłacimy.

Tylko trochę szczęścia i na czas wyślemy

Skarb znaleziony w środku gwiazdnej tęczy.

A n n B e c k 1 u n d : Zdaje mi się, że to Staley Weinbaum powiedział, iż z

trzech faktów wybitny umysł powinien umieć wyprowadzić cały wszechświat.

(Ski sądzi, że jest to możliwe przy skończonej, ale znacznie większej liczbie

faktów). Jakie jesteście odlegli od poziomu prawdziwie wybitnych umysłów.

Ale rozporządzamy znacznie większą liczbą faktów niż trzy czy nawet trzy

tysiące, więc wydedukowaliśmy całkiem dużo,

Nie Jest to dla was tak wartościowe, jak moglibyście się spodziewać,

kochany stary łobuzie Kneffie i wy wszyscy inni, bo jedną z rzeczy, jakie

wydedukowaliśmy jest to, że nie możemy wam powiedzieć wszystkiego, bo nie

zrozumiecie. Pomoglibyśmy wam, przynajmniej niektórym z was, gdybyście

tu byli i z czasem bylibyście zdolni robić to, co my. Ale nie da się tego osiągnąć

przy zdalnym sterowaniu,

Ale to nie wszystko, chłopcy! Uszy do góry! Nie umiecie dedukować tak Jak

my, ale z drugiej strony macie o wiele więcej danych wyjściowych. Spróbujcie.

Ruszcie głową, Potraficie to zrobić, Jeśli zechcecie, Trzeba się odprężyć,

uporządkować myśli, zanim zacznie się mówić, ustalić wyraźne relacje, zanim

zacznie się pytać o cokolwiek, Nie bądźcie Jak ten Jegomość z Księgi Zmian,

który nikomu nie przynosi pożytku, więc czasem go nawet biją.

Wyhodowaliśmy sobie nowe palce u nóg, nawet Will, chociaż jemu było

szczególnie trudno od czasu, gdy zginął; zrobiliśmy napisy na kostkach i użyliśmy ich z bardzo dobrym skutkiem do losowania heksagramów, sądzę, że chwytaacie sens tego; cośmy zrobili. Mogliśmy dalej rzucać monetami lub lodygami krwawnika, czy też tej z wyhodowanych przez F10 roślin, która jest do krwawnika najbardziej podobna. Ale nie chcieliśmy, bo to nie Jest optymalny sposób.

Człowiek nie panujący nieustannie nad swoim sercem mógłby powiedzieć: "A cóż to za różnica?". To pytanie na bardzo marnym poziomie. Implikuje deterministyczną odpowiedź, Lepszym pytaniem byłoby: "Czy to robi Jakąś różnicę?", a odpowiedź na to brzmi: "Tak, prawdopodobnie, bo aby coś robić właściwie, należy to robić właściwie", Takie jest prawo identyczności w każdym języku.

Inne pytanie, które moglibyście zadać, to: z jakiego źródła wiedzy właściwie korzystacie gdy badacie heksagramy? To już lepszy rodzaj pytania, ponieważ nie w y m u s z a biernej odpowiedzi, ale odpowiedź znów jest nieokreślona. Możecie potraktować "I Ching" jako coś w rodzaju pęczka zakrętasów bez wewnętrznego znaczenia, jak kleksy w teście Rohrschacha, ale użyteczne, gdyż wasz umysł interpretuje je i nadaje im sens. Nie krępujcie się! Możecie to zupełnie pominąć i dojść do wiedzy w jakimś innym tao, w każdym tao, w jakim zechcecie. ("Wybitny człowiek pojmuje to, co przemijające w świetle wieczności celu"). To też dobre!

Ale w jakikolwiek sposób do tego podejźcie, musicie to robić w ten sposób. Do uzyskania heksagramów potrzebne nam były kości z napisami, ponieważ to był właściwy sposób i nie było szczególnym poświęceniem, gdy

każde z nas odcięło w tym celu palec u nogi. Działa doskonale i jest tylko jeden kłopot, Rzecz w tym, że tłumaczenia są pośrednie, chiński na niemiecki, niemiecki na angielski, a w każdej fazie wkradają się błędy. Ale pracujemy nad tym.

Może opowiem wam więcej innym razem. Nie teraz. Nie szybko, Ewa wam o tym opowie.

Ewa Bastrow, ostatnia i niestety najgorsza.

Kiedy byłam małą dziewczynką grywałam w szachy, źle, z bardzo dobrymi graczami i to jest historia mego życia. Jestem tą, która chronicznie zbyt się stara. Nie mogę znieść ludzi, którzy nie są mądrzejsi i lepsi niż ja, ale w rezultacie zawsze jestem w ogonie każdego stada. Wszyscy tutaj są dla mnie bardzo mili, nawet Jim, ale wiedzą, jak się rzeczy mają i ja też wiem.

Jestem więc stale zajęta i oklaskuję to, czego sama nie potrafię. To nie jest najgorsze życie. Mam wszystko, czego potrzebuję, z wyjątkiem poczucia dumy.

Opowiem wam, jak wygląda nasz typowy dzień, tu, między Słońcem i Centaurem. Wstajemy (jeśli spaliśmy, co niektórzy z nas jeszcze robią) i jemy (jeszcze mamy zwyczaj jeść - dotyczy to wszystkich, prócz Skiego i oczywiście Willa Becklundal. Jedzenie jest pyszne, a Florence uzyskała to, że wyrasta ugotowane i przyprawione, gdy to jest wskazane, można więc pójść i zerwać sobie dobre jajko na miękko albo garść frytek. (Ja naprawdę wolałabym rano bułeczki, ale ona z przyczyn sentymentalnych nie może ich wytworzyć).

Czasami trochę się kochamy albo śpiewamy stare piosenki. Na te okazje przychodzi Ski, ale nie na długo i wkrótce odchodzi, by znów przyglądać się

wszechświatowi. Tęcza gwiazd jest wspaniała i przerażająca. Jest obecnie pasem szerokości 40 stopni kątowych, otaczających nas barwnym światłem. Można zawsze spojrzeć w innych częstotliwościach i ujrzeć zjawy gwiazd przed nami i za nami, ale w paśmie widzialnym w sposób przyrodzony widok w przód i w tył to tylko głęboka czerń i jedyne światło płynie z tej przepięknej, obejmującej nas pierścieniem wstęgi pyłu gwiazdnego.

Czasami piszemy sztuki teatralne albo muzykujemy. Shef wydedukował cztery zaginione koncerty fortepianowe Bacha, bardzo przypominające Corellego i Vivaldiego, ze wszystkimi instrumentami odzywającymi się równocześnie w tutti i wszyscy zaadaptowaliśmy je do wykonania. Ja to zrobiłam na moogu, ale Ann i Shef zsyntetyzowali kompletne orkiestry. Shef zrobił to szczególnie ładnie. Słuchając można zauważyć, że flecista ma przedwczesną rozedmę, a dwóch skrzypków w sekcji smyczków pije, a dyryguje Toscanini. Najstarsza córka Flo ułożyła słowa i teraz śpiewa coś w rodzaju dziecinnych wierszyków do zaadaptowanych chorałów Buxtehudego; o, nie mówilem wam o dzieciach, Mamy ich teraz jedenaścioro, Ann, Dot i Ja mamy po Jednym, a Florence ma ośmioro, (Ale w przyszłym tygodniu mają mi pozwolić na czworaczki). Pozwalają mi zajmować się nimi przez kilka pierwszych tygodni, gdy są małe i t a k i e kochane,

Głównie spędzam czas na zajmowaniu się dziećmi i pracy nad równaniami tensorowymi - Ski jest taki miły, że daje mi je do rozwiązania - ! czuje się, muszę wyznać, trochę samotna, Chciałabym móc obejrzeć quiz telewizyjny, popijając z przyjaciółkami kawę) Od czasu do czasu pozwalają mi przerabiać wnętrze naszego ruchomego domu, Pare dni temu przerobiłam je dla żartu w

stylu przedmieść Pittsburga. Czy uwierzylibyście, że w przestrzeni międzygwiazdnej mogą być oszklone drzwi wejściowe? Oczywiście nigdy ich nie otwieramy, ale z perkalowymi, przewiazanymi koronką firankami wyglądają naprawdę ładnie, I dobudowaliśmy szereg nowych pokoi dla dzieci i ich zwierzątek (Flo na hydroponicznych grządkach wyhodowała dla nich najsmaczniejsze małe króliczki),

No, miło mi było skorzystać z okazji poplotkowania, więc teraz się wyłączę, Muszę jednak jeszcze o czymś wspomnieć, Tamci zdecydowali, że nie chcemy już od was żadnych depeesz, Nie podoba im się sposób, w jaki próbujecie wpływać na naszą podświadomość i tak dalej (oczywiście nie dlatego, że wam się to udaje, ale chyba rozumiecie, że jest to nieco dokuczliwe), więc na przyszłość skala będzie nastawiona na sześć-sześć-zero jak trzeba, ale przełącznik będzie w pozycji "wyłączone". Nie był to mój pomysł, ale miło mi było się z nimi zgodzić. C h c i a ł a b y m być od czasu do czasu w mniej wymagającym towarzystwie, choć oczywiście nie w waszym.

Waszyngton

Budynek, znany obecnie pod nazwą "Min. Obr. Nar. Tymcz. Punkt Zatrzymań 7" - możecie to sobie równie dobrze nazywać właściwym słowem: "więzienie", pomyślał Knefhausen - był niegdyś luksusowym hotelem Hiltona. Cele specjalnego nadzoru mieściły się na poziomach podziemnych, gdzie dawniej były pokoje konferencyjne. Nie miały drzwi ani okien, prowadzących na zewnątrz domu. Wychodząc z celi trzeba było przejść jeszcze całą kondygnację schodów w górę, by dostać się na parter, a następnie przebić się przez wartę, by wyjść na otwartą przestrzeń. A nawet wtedy, jeśli

przypadkiem budynek w danej chwili nie był obleżony i atakowany, ryzykowało się spotkanie z włóczącymi się na zewnątrz narkomanami i bojownikami.

Knefhausen nie zajmował się tymi sprawami. Nie myślał o ucieczce, a przynajmniej nie myślał o niej po pierwszych chwilach paniki, które nastąpiły po aresztowaniu. Po paru dniach przestał domagać się widzenia z Prezydentem. Nie miało sensu odwoływanie się o pomoc do Białego Domu, gdy to właśnie Biały Dom go tu zamknął. Nadal był pewien, że jeśli porozmawia przez parę chwil prywatnie z Prezydentem, wyjaśni wszystko. Ale Jako realista liczył się z faktem, że Prezydent nigdy już nie będzie z nim prywatnie rozmawiał.

Zrobił więc inwentarz dobrych stron sytuacji.

Po pierwsze - było mu tu wygodnie, łóżko było dobre, pokoje ciepłe.

Wyżywienie ciągle jeszcze przychodziło z kuchni bankietowej w hotelu i jak na dietę więzienną było zadziwiająco smaczne.

Po drugie - dzieci nadal znajdowały się w przestrzeni kosmicznej i nadal coś robiły - wielkie rzeczy, nawet jeśli nie meldowały jakie. Ciągle jeszcze miał perspektywa usprawiedliwiania się.

Po trzecie - strażnicy więzienni pozwalali mu dostawać prasę i materiały piśmienne, choć nie chcieli przynieść jego książek ani dać telewizora.

Brakowało mu książek, ale niczego więcej. Nie potrzebował telewizji, by wiedzieć, co się dzieje na zewnątrz. Nie potrzebował nawet tych nędznych, chudych, ocenzurowanych gazet. Słyszał to dobrze. Codziennie rozlegał się grzechot ręcznej broni, przeważnie daleki i rozproszony, ale raz czy dwa razy

ciągly, gęsty i niemal nad głową, brzmiący jak ogień Browningów przeciw AK

47, przetykany od czasu do czasu klaskaniem i gruchotaniem miotacza granatów. Czasami słyszał wyjące na ulicach syreny, przerywane dźwiękiem dzwonów i dziwił się, że jeszcze istnieje cywilna straż ogniowa, którą obchodziły pożary. (Ale czy była ona nadal cywilna?). Niekiedy dolatywał głuchy warkot ciężkich silników - musiały to być czołgi. Dzienniki dodawały niewiele szczegółów, ale Knefhausen doskonale umiał czytać między wierszami. Rząd zakopał się gdzieś tam - w Key Biscayne, Camp David czy Południowej Kalifornii - nikt nie wspominał, gdzie. Wszystkie miasta ogarnęła rewolta. Pan Każdy wziął górę.

Knefhausen był zdania, że za niektóre klęski obwinia się go niesprawiedliwie. Układał nieskończenie długie listy do Prezydenta wskazując, że poważne kłopoty administracji państwowej nie mają nic wspólnego z Alfa-Alef; miasta zbuntowały się niemal pokolenie temu; dolar stał się pośmiewiskiem od czasów wojen indochińskich. Niektóre z listów podarł, niektórych nikt nie chciał od niego przyjąć, parę udało mu się wysłać i nie otrzymał odpowiedzi.

Raz albo dwa razy w tygodniu odwiedzał go ktoś z Ministerstwa

Sprawiedliwości, zadając w kółko ten sam tysiąc bezsensownych pytań.

Knefhausen podejrzewał, że starają się stworzyć dossier udowadniające, że to wszystko było jego winą. No, niech próbują. Obrani się, gdy nadejdzie czas.

Albo historia go obroni. Rachunek był czysty. W odniesieniu do wartości

moralnych może nie tak czysty, zgoda. Nieważne. Nie można mówić o

problemach moralnych w sprawie tak podstawowej dla zdobywania wiedzy,

jak ta. Depesze z "Konstytucji" dały Już tak wiele! - choć trzeba przyznać, że pewne najważniejsze ich fragmenty trudno było zrozumieć. Zgodelizowane sprawozdanie nie zostało rozszyfrowane i aluzje do jego zawartości pozostały tylko aluzjami.

Czasami drzemał i śnił o przeniesieniu się na "Konstytucję". Od ostatniej depeszy upłynął rok. Próbował sobie wyobrazić, co oni tam robią. Statek przebył już znacznie ponad połowę drogi i zmniejszał szybkość. Tęcza gwiazd będzie coraz szersza i bardziej rozsiana. Kręgi ciemności z przodu i z tyłu coraz mniejsze. Wkrótce ujrzą Alfę Centaura z tak bliska, jak jeszcze żaden człowiek. Oczywiście zobaczą wówczas, że wokół gwiazdy nie krąży żadna planeta o nazwie Alef, ale to odgadli już dawno. Dzielne, wspaniałe dzieci! Nawet w takiej sytuacji dążyły przed siebie. A te głupstwa z narkotykami i seksem, cóż one mają za znaczenie? Takie wyczyny zwalczano u zwykłych ludzi, ale przecież ci, którzy wyróżniali się i stali ponad ludzkim stadem, stwarzali własne prawa. Tak było zawsze. Jako dziecko dowiedział się, że dumny, tłusty dowódca lotnictwa wachał kokainę, a wielcy wojownicy czasami zażywali przyjemności seksualnych między sobą. Inteligentny człowiek nie zawracał sobie głowy takimi sprawami. Wynikało z tego, że funkcjonariusz Ministerstwa Sprawiedliwości, nieustannie wtykający nos i robiący aluzje do prywatnego życia Knefhausena, nie był aż tak bardzo inteligentny.

Natomiast z jego pytań można było czasem wydedukować różne rzeczy, a rzadko - o, bardzo rzadko - nawet sam odpowiadał na pytania.

- Czy była depesza z "Konstytucji"?

- Nie, oczywiście nie, Doktorze Knefhausen; a teraz niech pan mi jeszcze raz

opowie, kto po raz pierwszy podsunął panu pomysł tego oszustwa?

Takie były jasne punkty mijających dni, ale większość z nich mijala bez wydarzeń.

Nie zaznaczał ich nawet kreskami, wydrapanymi na ścianie celi, jak to robił więzień Zamku d'If. Szkoda byłoby niszczyć boazerię. Poza tym miał inne zegary i kalendarze. Na przykład podawanie posiłków czy zmiany pór roku, widoczne podczas odwiedzin człowieka z Ministerstwa Sprawiedliwości.

Każde z nich były jak święto - świąty dzień, nie wesoły, lecz uroczysty.

Najpierw pojawiał się kapitan straży z dwoma uzbrojonymi żołnierzami, stojącymi w drzwiach. Rewidowali celę i jego samego na wypadek, gdyby tu coś przemycił - co? Może bomba atomową. Albo funt pieprzu, by nim cisnąć w oczy przedstawiciela Sprawiedliwości. Nie znajdowali niczego, bo nie było nic do znalezienia. Po czym wychodzili i przez długi czas nie działo się nic. Nie podawano nawet posiłku, nawet jeśli byt to jego czas. Nic zupełnie, aż do chwili, gdy po godzinie albo i trzech przedstawiciel Sprawiedliwości pojawiał się u drzwi z własną ochroną, równie czujną wewnątrz, jak na zewnątrz, z technikiem obsługującym magnetofon i swoimi pytaniami.

Aż

wreszcie

nadszedł

czas,

gdy

przedstawiciel

Ministerstwa

Sprawiedliwości przybył nie sam. Wraz z nim był sekretarz Prezydenta,

Murray Amos.

Jak podstępne jest ludzkie serce! Gdy utraciło wszelką nadzieję, jak niewiele potrzeba, by mu ją przywrócić!

- Murray! - zawołał prawie z płaczem Knefhausen. - Jak się cieszę, że cię znów widzę! Jak się czuje Prezydent? Co mogę dla ciebie zrobić? Czy coś się zdarzyło?

Murray Amos zatrzymał się w drzwiach. Popatrzył na Dietera von Knefausena i powiedział cierpkim tonem:

- O tak, zdarzało się. Cała masa rzeczy. Czwarta Pancerna właśnie przeszła na drugą stronę, więc ewakuujemy Waszyngton. A Prezydent chce, żebyś stąd natychmiast wyszedł.

- Nie, nie! To znaczy- o tak, to świetnie, że Prezydent troszczy się o mnie, choć to niedobra sprawa z Czwartą Pancerną. Ale co innego mam na myśli,

Murray: czy nadeszła depesza z "Konstytucji"?

Amos i funkcjonariusz Ministra Sprawiedliwości popatrzyli po sobie.

- Powiedz mi, Doktorze Knefhausen, jakim sposobem dowiedział się pan o tym? - spytał łagodnym głosem Amos

- Dowiedzieć się? Jak bym mógł się dowiedzieć? Nie, zapytałem dlatego, że miałem nadzieję. Więc przyszła depesza, prawda? Pomimo ich poprzedniej zapowiedzi? Znow się odezwali?

- Prawdę mówiąc, nadeszła - odrzekł Amos w zamyśleniu. Funkcjonariusz Ministerstwa Sprawiedliwości szeptał mu do ucha świszczącym głosem, ale Amos potrząsnął głową. - Proszę się nie martwić, za moment wyjdziemy.

Konwój bez nas nie odejdzie... Tak, Knefhausen, depeszę odebrano w

Goldstone przed dwiema godzinami. Jest teraz w dziale szyfrów.

- Dobrze, świetnie ! - krzyknął Knefhausen. - Zobaczysz, teraz już wszystko się wyjaśni i usprawiedliwi. Ale co mówię? Czy macie dobrych naukowców, by to zinterpretować? Czy rozumiecie treść?

- Niezupełnie - odrzekł Amos - bo jest maleńki problem, którego dział szyfrów się nie spodziewał i nie był na to przygotowany. Wiadomość przyszła tekstem otwartym, ale po chińsku.

Konstytucja - sześć

Nr sprawy: CONSIX T51(11055)+7

Klasyfikacja: Ścisłe tajne.

Dotyczy: Transmisji ze Statku Kosmicznego Startów Zjednoczonych

"Konstytucja ".

Poniższa depesza została odebrana i przekazana do przetworzenia w sekcji deszyfracji zgodnie ze stałymi dyrektywami. Ze względu na jej specjalny charakter, przeprowadzono dochodzenie dla ustalenia jej źródła. Dale radiokierunkowe z Bazy na Odwrotnej Stronie wskazują, iż pochodzi ona z toru optycznego, zgodnego z obecną przewidywaną pozycją "Konstytucji".

Natężenie sygnału było wysokie, ale we właściwych granicach, zaś degradacja rozdziału częstotliwości zgodna z przesunięciami relatywistycznymi oraz rozproszeniem, powodowanym przez zderzenia z chmurami pyłowymi i gazowymi

Choć posiadane dane nie dowodzą ponad wszelką wątpliwość, że transmisja pochodzi ze statku, nie znaleziono dowodów, że jest inaczej.

Po zbadaniu okazało się, że tekst podany jest w transkrypcji fonetycznej dialektu, który wydaje się być mandaryńskim z epoki Średniego Królestwa, przekład ukończono jedynie częściowo. Patrz załączona notatka!.

Tłumaczenie nastroczało niezwykle trudności z uwagi na dwa czynniki: pierwszy - trudność znalezienia należycie wykwalifikowanego tłumacza, któremu można by przyznać wymagany stopień zaufania; drugi - ponieważ (jest to domysł) użyty język może nie odpowiadać ściśle żadnemu dialektowi, lecz być wytworem załogi "Konstytucji". (Patrz w związku z tym USTĘP ÓSMY, wiersze 43-51 poniżej).

Tekst ten jest PROWIZORYCZNY i zostaje przekazany jedynie jako pierwsza próba przekładu zawartości depeszy na angielski. Kontynuowane są prace nad pełnym przekładem depeszy i uzyskaniem mniej zniekształconego tekstu załączonej części. Późniejsze wersje i poprawki zostaną dostarczone, gdy tylko będą dostępne.

NASTĘPUJE TEKST:

- 1 USTĘP PIERWSZY. Ten, który mówi za wszystkich**
- 2 (Sheffield H. Jackman?!) odpoczywa. Za sprawiedliwym**
- 3 działaniem przychodzi zaprzestanie troski. Ja (tożsamość**
- 4 niepewna, ale prawdopodobnie pani Annette Marin**
- 5 Becklund, mniej prawdopodobnie jeden z trzech pozostałych**
- 6 członków załogi płci żeńskiej, albo jeden z ich**
- 7 potomków!, przychodzę na jego miejsce, powodowana**
- 8 miłością i miłością.**
- 9 USTĘP DRUGI. Nie wystarczy studiować ani dokonywać**

10 czynów, które powodują, że ludzie marszczą brwi

11 i skłaniają głowy. Nie wystarczy pojąć

12 natury nieba lub morza. Tylko przez

13 zrozumienie wszystkiego można przybliżyć się

14 do mądrości i tylko przez mądrość można

15 właściwie postępować

16 USTĘP TRZECI. Oto są wskazania takie, jak

17 je widzimy.

18 USTĘP CZWARTY. Temu, który narzuca swą wole

19 siłą brak sprawiedliwości. Niechaj zostanie zrzucony ze

20 skały.

21. USTĘP PIĄTY. Temu, kto sprawia, by inny

22 pożądał ułamka rzeźbionego drzewa lub łakoci

23 brak uprzejmości. Niechaj zostanie zmuszony do

24 zaprzestania niewłaściwych praktyk.

25 USTĘP SZÓSTY. Temu, kto wiąże węzeł i mówi: ja nie

26 dbam, kto będzie musiał go rozwiązywać brak przezorności.

27 Niechaj obmywa wrzody biednych i wynosi

28 nieczystości wszystkich, póki nie nauczy się widzieć dnia

29 nadchodzącego jako brata dnia, który jest.

30 USTĘP SIÓDMY. Nam, którzy jesteśmy w tym miejscu

31 nie wolno jest narzucać naszych woli wam, którzy jesteście

32 w tamtym miejscu, siłą. Zrozumienie przychodzi późno.

33 Żałujemy wydarzenia z następnego tygodnia, bo było

34 uczynione w pośpiechu i biedzie. Ten, który
35 mówi za wszystkich postąpił bezmyślnie. Nam, którzy
36 jesteśmy w tym miejscu było przykro z tego powodu.
37. **USTĘP ÓSMY.** Możecie się zastanawiać (Dosłownie:
38 zadawać heksagramom bezmyślne pytania! czemu
39 komunikujemy się w tym języku.
40 Przyczyna jest po części odpoczynkowa, po części
41 neurystyczna (Dosłownie: ponieważ kij
42 uderza sprawniej gdy
43 uderzenia się powtarza), ale natura
44 tego postępowania jest taka, że musicie przejść przezeń
45 zanim będzie można wam powiedzieć, czym jest. Nasze
46 kroki-przemierzyły te ścieżko. Aby zrekonstruować
47 chiński "I Ching" najpierw trzeba było
48 zrekonstruować niemieckie tłumaczenie,
49 z którego dokonano przekładu na angielski. Błąd
50 czai się na każdym zakręcie. (Dosłownie: fałszywe zjawy
51 krzyczą za każdym razem, gdy ścieżka zakręca). Wiele
52 skaz znaczy naszą rzeźbę. Patrzcie na nią w milczeniu
53 przez godziny i dni aż skazy staną się częścią
54 dzieła.
55 **USTĘP DZIEWIĄTY.** Powiedziane jest, że macie osiem dni
56 zanim nadejdą cięższe cząsteczki. Martwych i uszkodzonych
57 będzie niewiele. Byłoby lepiej, gdyby wszystkie

58 napowietrzne reaktory atomowe pozostały na ziemi.

59 zanim wydarzenie przeminie.

60 USTĘP DZIESIĄTY. Gdy zakończycie odbudowę

61 prześlście nam wiadomość, skierowaną na planete

62 Alfa-Alef. Nasz dom będzie wówczas

63 gotów. Prześlemy prom, by pomóc kolonistom

64 przepłynąć rzekę, gdy będziemy gotowi.

Powyższy tekst zawiera pierwsze 852 grupy transmisji. Pozostała jego część,

zawierająca w przybliżeniu 7500 grup, nie została zadowalająco

przetłumaczona. Zgodnie z opinią konsultanta z Wydziału Języków

Wschodnich Uniwersytetu Johna Hopkinsa może to być poemat.

(podpisano! Duard S. RICHTER

General-Major

USMC

Główny Kryptolog

Rozdzielnik: XXX TYLKO GOŃCEM.

Waszyngton

Prezydent Stanów Zjednoczonych (Waszyngton) otworzył podwójne okno

gabinetu i wychylił się, by wrzasnąć na swego Głównego Doradcę Naukowego:

- Harty, rusz tyłkiem! Czekamy na ciebie!

Harty spojrział w górę i pomachał ręką, po czym uparcie brnął dalej przez

ociekającą wodą dżunglę, która niegdyś była północnym trawnikiem Białego

Domu. Przedzierał się z trudem przez nadnaturalnej wielkości chwasty,

deszcz i błoto, ale Prezydent wcale mu nie współczuł.

- Diabli by go wzięli, po prostu zachowuje się tak po chamsku, by mnie zdenerwować. Jak długo mam na niego czekać? Kiedy wreszcie zdecydujemy, czy mamy przenieść stolicę, czy nie?

Wiceprezydent spojrział znad robótki na drutach.

- Jimbo, koteczku, po co się tak przejmujesz? Czemu nie przeprowadzić się po prostu i mieć to z głowy?

- No bo to parszywie wygląda. - Rzucił się zniechęcony na fotel. - Naprawdę cieszyłem się na Paradę Dziesiątej Rocznicy poskarżył się. - Dziesięć lat kadencji, na pewno jest się czym pochwalić! Nie chcę jej obchodzić gdzieś w krzakach, chcę to mieć tutaj, w Alei Konstytucji jak za dawnych lat, z publicznością wznoszącą okrzyki, reporterami i kamerami wszędzie dookoła. A wtedy niech ten skurwysyn w Omaha gada, że nie jestem prawdziwym Prezydentem!

Jego żona odpowiedziała łagodnie: - Nie zwracaj sobie nim głowy, koteczku. Wiesz, co sobie pomyślałam? W Alei Konstytucji parada może wyglądać trochę kuso. Byłaby naprawdę ładna na którejś z mniejszych ulic.

- Ach, co ty tam wiesz! A w każdym razie dokąd byśmy pojechali? Jeśli woda zaleje Waszyngton, skąd przypuszczenie, że Betsheda będzie lepiej wyglądać?

Sekretarz stanu przerwał stawianie pasjansa, odłożył talię i spojrział z zainteresowaniem.

- To nie musi być Betsheda - powiedział. - Mam trochę naprawdę ładnej ziemi koło Dulles. Moglibyśmy z niej skorzystać. Jest wysoko położona.

- Ależ na pewno. W stronę Wirginii jest cała masa ładnej ziemi - powiedział

Wiceprezydent. - Pamiętasz dokąd pojechaliśmy na piknik po inauguracji

twojej Drugiej Kadencji? To było w Fairfax Station. Góry wokół. Zupełnie ślicznie.

Prezydent walnął pięścią w stolik i wrzasnął:

- Nie jestem Prezydentem Fairfax Station, jestem Prezydentem USA! Co jest stolicą USA? Waszyngton! Mój Boże, czy nie rozumiesz, jak te błazny w Houston i Omaha, i Salt Lake, i wszędzie indziej by się śmiały na wiadomość, że wyprowadziłem się z własnej stolicy?

Przerwał, gdyż w drzwiach ukazał się Doradca Naukowy. Otrząsał się i kapnął błotem, zrzucając z siebie płaszcz nieprzemakalny.

- No wiec? - zapytał Prezydent. - Co powiedzieli?

Harry usiadł. - Na dworze jest okropnie. Czy ktoś ma suchego papierosa?

Prezydent rzucił mu paczkę. Harry wytarł palce o koszulę zanim wyciągnął jednego.

- A więc - odrzekł - byłem u wszystkich kapitanów statków, jakich mogłem znaleźć. Wszyscy powiedzieli to samo. Także to, co wiedzieli od innych marynarzy, z którymi rozmawiali. Wszędzie tak samo. Coraz większe przyływy na całej długości wybrzeża.

Rozejrzał się za zapalką. Żona Prezydenta podała mu złotą zapalniczkę z Wielką Pieczęcią Stanów Zjednoczonych, którą z pewnym wysiłkiem udało mu się zapalić.

- Niedobrze to wygląda, Jimmy. W tej chwili jest odpływ, więc można wytrzymać, ale woda nadejdzie. A jutro podejdzie jeszcze wyżej. I będą burze, nie po prostu deszcz jak teraz, ale wyobraź sobie; że od czasu do czasu nadejdzie niż tropikalny znad Bahamów.

- Nie jesteśmy w tropikach - zauważył podejrzliwie Sekretarz Stanu.

- To nie o to chodzi - odrzekł Doradca Naukowy, który kiedyś, kiedy jeszcze istniało coś takiego jak sieć telewizyjna, podawał stan pogody przez lokalną stację towarzystwa ABC. - To oznacza burze. Huragany. Ale to nie najgorsze, najgorsze są przypyły. Jeśli lody topnieją, to znaczy, że przypyły będą coraz wyższe.

Prezydent przebierał palcami po blacie stolika. Nagle wrzasnął: - N i e c h c ę przenieść mojej stolicy!

Nikt nie odpowiedział. Wybuchy złego humoru Prezydenta były słynne.

Wiceprezydent zagłębiła się w robótkę, Sekretarz Stanu zaczął tasować karty.

Doradca Naukowy podniósł swój płaszcz i starannie powiesił go na drzwiach.

- Musicie tak na to popatrzeć - powiedział Prezydent. - Jeśli się stąd

wyniesiemy, to te wszystkie prowincjonalne knioty, które twierdzą, że są

Prezydentami Stanów Zjednoczonych, tylko na tym zyskają i przyszłe

ponowne zjednoczenie naszego kraju tym bardziej się odwlecze. - Przez

chwila poruszał wargami, po czym znowu wybuchł: - Nie proszę o nic dla

siebie! Nigdy nie prosiłem. Ale muszą grać ta rola dla dobra nas wszystkich, a

to oznacza utrzymanie pozycji p r a w d z i w e g o Prezydenta, zgodnie z

Poprawioną Konstytucją USA. A to z kolei oznacza, że muszą pozostać właśnie

tutaj, w prawdziwym Białym Domu, niezależnie od tego, co się stanie.

Jego żona odezwała się z wahaniem: - Koteczku, a może by w taki sposób?

Inni Prezydenci mają tak zwane Letnie Białe Domy, Camp David i tym

podobne. Nikt się tym nie przejmuje. Dlaczego nie mielibyśmy zrobić tego, co

inni? Tam koło Fairfax Station jest prześliczna stara farma, którą moglibyśmy

naprawdę ładnie urządzić.

Prezydent spojrział na nią ze zdziwieniem. - To jest naprawdę dobra myśl - oświadczył. - Ale nie możemy przenosić się na stałe i musimy tutaj utrzymywać garnizon, aby nikt nam nie mógł tego zabrać i od czasu do czasu musimy tu przyjeżdżać. Co o tym myślisz, Harry?

Doradca Naukowy odpowiedział w zamyśleniu: - Moglibyśmy, jak przypuszczam, wynająć para statków. Zależy. Nie wiem, jak wysoko woda się podniesie.

- Żadnego "przypuszczam"! Żadnego "zależy"! To sprawa wagi państwowej. Musimy to zrobić w taki sposób, by ten bydlak w Omaha liczył się z prawdziwym Prezydentem.

- Ale Jimbo, koteczku - odpowiedziała Wiceprezydent, ośmielona jego niedawną pochwałą - musisz przyznać, że obecnie oni prawie wcale się z nami nie liczą. Kiedy ostatnim razem zapłacili podatki?

Prezydent rzucił jej znad okularów chytre spojrzenie.

- Gdy już o tym mowa - powiedział - bada miał dla nich małą niespodzianka. Możemy to określić jako tajną broń.

- Mam nadzieję, że sprawi się lepiej niż podczas ostatniej wojny - odpowiedziała żona - bo, jak pamiętasz, gdy zaczęliśmy tłumić powstanie we Frederick, Maryland, dostaliśmy niezły wycisk.

Prezydent powstał, dając znak, że zebranie Gabinetu jest zakończone.

- Nie przejmuj się - odpowiedział promiennie. - Ty, Harry idź jeszcze raz na dwór i zorientuj się, czy w bibliotece Kongresu zostały jeszcze po tym pożarze jakieś dobre mapy. Znajdź dla nas wysoko położone miejsce w promieniu,

mhm, dwudziestu mil, jeśli potrafisz. Poślemy wojsko, by zarekwirowało dla nas Letni Biały Dom jak proponuje Mac i może dla odmiany wyśpię się w niezapleśniałym łóżku.

Jego żona zaniepokoiła się jego tonem. - Co chcesz zrobić, Jim?

Zachichotał. - Sprawdzę moją tajną broń.

Wyprosił wszystkich z gabinetu i gdy wyszli, poszedł do kuchni i z lodówki wziął sobie butelka wody sodowej. Oczywiście była ciepła. Pełniąca straż kompania piechoty morskiej ciągle starała się uruchomić generator, ale z niewielkim skutkiem. Prezydent nie miał o to pretensji. Byli to jego osobiści pretorianie i jeśli nawet nie wykazywali zdolności do naprawiania urządzeń, udowodnili ile są warci, gdy losy się ważyły. Prezydent zawsze pamiętał, że podczas Zamieszek nie miał większych wpływów niż pierwszy lepszy kongresman i że błyskawiczny awans na spikera Izby Reprezentantów, Następce, a potem na prezydenturę zawdzięczał nie tylko osobistej zręczności i umiejętnościom, ale także temu, że będąc jedynym dyskusyjnie prawomocnym dziedzicem urzędu Prezydenta, przypadkiem miał za szwagra dowódcę garnizonu piechoty morskiej w Waszyngtonie.

Prezydent był naprawdę całkiem zadowolony ze sposobu, w jaki toczy się świątek. Jeśli zazdrościł dawnym prezydentom (rakiety, flotyle bombowców atomowych, miliardy dolarów do zabawy), to, przyglądając się otaczającej rzeczywistości, nie widział z pewnością niczego, co mogłoby się równać z jego pozycją.

Dopił wodą sodową, uchylił na włos drzwi do swego gabinetu i wyjrzał.

Nikogo. Wyśliznął się z kuchni i zszedł tylnymi schodami. Tam, gdzie niegdyś

była publicznie dostępna część Białego Domu, zniszczenia widać było wyraźniej. Po zamieszkach, starciach, podpaleniach i zamachach chuć remontowania i naprawiania szkód wygasła. Prezydenta to nie obchodziło.

Nawet nie zauważał okopconych ścian i odpadających tynków. Wsłuchiwał się w daleki odgłos pracującej pompy benzynowej i uśmiechał się do siebie, schodząc do podziemnej kondygnacji budynku, gdzie w zamknięciu trzymał swą tajną broń.

Tajna broń, która nazywała się Dieter von Knefhausen, starała się ukończyć totalną obronę wszystkich czynów swego życia, którą nazywała swoimi pamiętnikami.

Doktor był mniej zawodowolony ze świata niż Prezydent. Wolalby, aby dużo się zmieniło. Przede wszystkim wolalby być zdrowszy; zdawał sobie sprawę, że duże nadciśnienie, bronchit i artretyzm prowadziły ostatnie etapy wojny totalnej, której wynik miał określić komu przypadnie zaszczyt zniszczenia ich teatru działań, to znaczy jego samego. Nie przejmował się pozbawieniem wolności, ale bolał nad bezmyślnym zniszczeniem tak wielu jego papierów.

Oryginalny maszynopis jego autobiografii dawno zaginął, ale pochlebstwami naklonił Prezydenta - to znaczy uzurpatora, który nazwał się Prezydentem - do wysłania kogoś, by zbadał co z niego pozostało. Odnaleziono para postrzępionych i niekompletnych kartek kopii przebitkowych. Odtworzył niektóre z luk, o ile jego pamięć i posiadane dane pozwalały, raz jeszcze opowiadając historię tego, jak stworzył Plan Alfa-Alef i drobiazgowo wyliczając szczegóły tego, jak kłamał, podrabiał i fałszował, by został urzeczywistniony.

Zrobił to tak rzetelnie, jak tylko umiał. Nie oszczędzał się ani trochę.

Przyznał się do współnictwa w "przypadkowej" śmierci w katastrofie samochodowej pierwszego męża Ann Barstow, co pozwoliło jej wyjść za mąż za człowieka, którego Knefhausen wybrał do składu wyprawy do Alfya Centaura. Wyznał, że wiedział dobrze, iż tajemnicy nie da się utrzymać do końca podróży "Konstytucji", nadużywając w ten sposób zaufania Prezydenta, który ją umożliwił. Wszystko tu umieścił, wszystko, co udało mu się przypomnieć. I przechwalał się swym sukcesem.

Gdyż było dla niego jasne, że sukces już został dowiedziony. Co mogło być jaśniejszym jego dowodem, niż wypadki sprzed dziesięciu lat? "Wydarzenie z następnego tygodnia" miało przebieg tak dramatyczny i gruntowny, jak tylko można było sobie wyobrazić. Jeśli jego szczegóły były ciągle niezrozumiałe, to głównie dlatego, iż zniszczyło istniejące struktury technologiczne, choć jego główne linie były oczywiste. Deszcz ciężkich cząsteczek barionów? może nawet kwarków? - zwałił się na Ziemię. Jego źródło było identyczne z punktem, wyliczonym jako pozycja "Konstytucji" .

Były też depeche i przy łącznym ich rozpatrywaniu nie mogło być wątpliwości, że astronauta posiadał wiedzę tak dalece i pod każdym względem wyprzedzającą ziemską, że z odległości dwóch lat świetlnych mogli narzucić rasie ludzkiej swą wola. Zrobili to. Jedna ulewa cząsteczek wystarczyła, by unieruchomić cały kompleks wojskowo-przemysłowy planety.

Jak? W jaki sposób? Ach - pomyślał Knefhausen z zazdrością i dumą - oto było pytanie. Nie wiadomo jak. Wiedziano tylko, że wszelkie urządzenia atomowe - bomby, elektrownie, szpitalne źródła promieniowania i składy

paliwa jądrowego - równocześnie wchłonęły strumień cząsteczek i od tej chwili przestały być źródłami energii. Nie nastąpiło to tak nagle i katastrofalnie, jak wybuch bomby. Był to proces powolny i długotrwały. Uran i pluton po prostu stopiły się w długiej, ciągłej reakcji, której końcowa faza jeszcze się toczyła we wrzących jeziorach lawy, oznaczają tych miejsca, gdzie niegdyś stały silosy, a elektrownie atomowe wytwarzały energię. Reakcja wyzwalała bardzo mało promieniowania, ale znaczne ilości ciepła.

Knefhausen od dawna już przestał żałować tego, na co nic nie można było poradzić, ale ciągle marzył o możliwości dokładnego pomiaru całkowitego strumienia ciepła. Był pewien, że wynosi on nie mniej niż 106 watolat, sądząc z efektów w atmosferze ziemskiej, burz, stopniowego ogólnego wzrostu temperatury, a przede wszystkim z plotek o podnoszeniu się poziomu mórz, co świadczyło o topnieniu lodów polarnych. Nie istniała już sprawna sieć meteorologiczna, ale fragmentaryczne informacje, które mógł zestawić, sugerowały światowy wzrost średniej temperatury o cztery, a może sześć czy siedem stopni Celsjusza. A wrzące reakcje nadal toczyły się w Kongu, Colorado i w setce innych pomniejszych piekieł. Plotki o poziomie mórz?

Nie plotki, nie - poprawił się, podnosząc głowę i przyglądając się gumowemu węzowi, zaczynającemu się pod chodnikiem z desek na przeciwległym końcu celi i kończącemu na zewnątrz za zakratowanym oknem, gdzie pompa benzynowa starała się zrobić co możliwe, by utrzymać poziom wody w jego pomieszczeniu poniżej poziomu desek. Sądząc po szybkości napływania wody, tereny Białego Domu musiały być niemal zalane. Drzwi się otworzyły. Wszedł Prezydent Stanów Zjednoczonych

(Waszyngton) poklepując po ramieniu rudego, przerażonego i wyglodzonego chłopca, który pilnował wejścia.

- Co słyhać, Knefhausen? - zaczął pogodnie. - Czy już jesteś gotów do rozsądnej rozmowy?

- Zrobię, co pan każe, Panie Prezydencie, ale jak już panu powiedziałem, istnieją określone granice. Nie jestem już młodym człowiekiem, a moje zdrowie...

- Pieprzyć twoje zdrowie i twoje granice! - wrzasnął Prezydent. - Nie zaczynaj ze mną, Knefhausen!

- Przepraszam, Panie Prezydencie - wyszeptał Knehausen.

- Nie przepraszaj! Oceniać cię będę na podstawie wyników. Czy wiesz, ile kosztuje utrzymywanie pompy w ruchu tylko po to, byś się nie utopił?

Benzyna jest racjonowana, Knefhausen! Nie wiem jak długo jeszcze będę mógł usprawiedliwiać to nieustanne zużywanie naszych zasobów, jeśli nie będziesz współpracował.

Ze smutkiem, ale i z uporem Knefhausen powtórzył: - W takiej mierze, w jakiej jestem zdolny, współpracuję, Panie Prezydencie.

- Taak. Oczywiście.

Knefhausen zaobserwował z typowym dla więźniów paranoicznym przywiązaniem wagi do drobnostek, że Prezydent był dziś w niezwykle dobrym nastroju, bo ciągnął dalej:

- Słuchaj, nie kłóćmy się o to. Stawiam ci propozycje. Powiedz jedno słowo, a wywalam tego głupiego Harry'ego Stokesa i robię cię moim Głównym

Doradcą Naukowym. Co to znaczy? Znowu jesteś na samym szczycie. Własny

apartament. Światło elektryczne! Służba domowa - możesz ją sobie sam wyobrazić, a mamy w zapasie trochę ładnych dziewczuszek. Jedzenie najlepsze, jakie sobie zamarzysz. Możliwość oddania prawdziwej przysługi Stanom Zjednoczonym, przyczynienia się do ponownego zjednoczenia tego wielkiego kraju, aby znów stał się mocarstwem, którym powinien i musi być!

- Panie Prezydencie - odpowiedział Knefhausen - oczywiście chcę pomóc.

Ale omówiliśmy to już gruntownie. Zrobię wszystko, co pan zechce, ale nie wiem, jak spowodować, by bomby działały znowu. Widział pan, Panie Prezydencie, co się zdarzyło. Ich już nie ma.

- Nie mówiłem o bombach, prawda? Słuchaj, Kneffie, jestem rozsądnym człowiekiem. A może w taki sposób: ty obiecasz, że użyjesz całej swej wiedzy w j a k i k o 1 w i e k s p o s ó b . Twierdzisz, że nie możesz zrobić bomb, w porządku. Ale są inne rzeczy.

- Jakie, Panie Prezydencie?

- Nie ponaglaj mnie, Knefhausen. Cokolwiek. Cokolwiek, czym możesz oddać usługi krajowi. Obiecuj mi to i dziś jeszcze stąd wychodzisz. A może wolisz, że bym po prostu wyłączył pompę?

Knefhausen potrząsnął głową, nie przecząco, lecz z rozpaczą. - Nie wiem, czego pan żąda. Co naukowiec może dziś dla pana zdziałać? Dziesięć lat temu, tak. Nawet pięć lat temu. Może moglibyśmy wtedy coś wypracować, ja mógłbym coś zrobić. Ale obecnie nie istnieją konieczne warunki wstępne. Gdy wszystkie reaktory atomowe wygasły... Gdy zasilane przez nie fabryki nie dostaną energii... Gdy zakłady nawozów sztucznych nie mogą wiązać azotu, a wytwórnice pestycydów produkować... Gdy ludzie zaczęli umierać z głodu i

rozpanoszyły się zarazy...

- Wiem o tym wszystkim, Knefhausen. Tak czy nie?

Uczony zawahał się, spojrział z uwagą na swego przeciwnika. Jego oczy zablęskły dawną przenikliwością.

- Panie Prezydencie - powiedział wolno - pan coś wie. Coś się zdarzyło.

- Zgadza się - warknął Prezydent. - Jesteś sprytny. No to powiedz mi, co ja wiem?

Knefhausen potrząsnął głową. Po siedmiu dekadach aktywnego życia, po dziesięciu latach powolnego umierania, trudno było jeszcze mieć nadzieję.

Ten okropny człeczyna, ten parweniusz, ten niedołęga nie był przecież pozbawiony jakiegoś zwierzęcego sprytu i wyglądał na bardzo pewnego siebie.

- Proszę, Panie Prezydencie. Proszę mi powiedzieć. Prezydent położył palec na ustach, po czym przytknął ucho do drzwi. Gdy się przekonał, że nikt nie podsłuchuje, podszedł do Knefhausena i cicho powiedział:

- Wiesz, że mam wszędzie przedstawicieli handlowych. Jednych w Houston, innych w Salt Lake, jeszcze innych nawet w Montrealu. I nie zawsze są tam tylko po to, by handlować. Czasem czegoś się dowiadują i przekazują mi. Czy chcesz wiedzieć, co właśnie podał mi mój człowiek w Anaheim?

Knefhausen nie odpowiedział, ale jego stare, zalzawione oczy przybrały błagalny wyraz.

- Depesza - szepnął Prezydent.

- Z "Konstytucji"?! - krzyknął Knefhausen. - Ale nie, przecież to niemożliwe!

Bazy na Odwrotnej Stronie nie ma, Goldstone jest zniszczone, satelity orbitalne już przestają...

- To nie była depesza radiowa - odrzekł Prezydent. - Nadeszła z Mount

Palomar. Nie przez wielki teleskop, bo ten także rozwalono, ale przez tak zwanego Schmidta, cokolwiek by to mogło znaczyć. Nadal działa. I nadal mają tam paru starych pierników, którzy patrzą przez niego w imię dawnych czasów. I odebrali depeszę nadaną światłem laserowym. Zwykłym alfabetem Morse'a. Mówią, że z Alfy Centaura. Od twoich przyjaciół, Knefhausen.

Wyjął z kieszeni kartkę papieru i podniósł ją w górę. Knefhausena chwycił atak kaszlu, ale zdołał wychrypieć: Niech pan mi to da!

Prezydent trzymał ją z daleka. - Umowa stoi, Knefhausen?

- Tak, tak! Wszystko, czego pan zechce, ale proszę mi dać depesze!

- Ależ oczywiście - uśmiechnął się Prezydent i podał mu mocno pognieciony arkusik papieru. Było tam napisane:

PROSIMY PRZEMYŚLEĆ. STWORZYLIŚMY PLANETĘ ALFAALEF. JEST PIKNA I WSPANIAŁA. PRZYŚLEMY PROMY, BY PRZYWIOZŁY ODPOWIEDNIE OSOBY I INNYCH, BY JĄ ZALUDNIĆ I BY DOKOŃCZYĆ PEWNĄ INNĄ SPRAWĘ. PRZESYŁAMY SPECJALNE POZDROWIENIA DLA DOKTORA DIETERA VON KNEFHAUSENA, Z KTÓRYM BARDZO CHCEMY POROZMAWIAĆ. OCZEKUJECIE NAS W TRZY TYGODNIE PO TEJ DEPEZYSY.

Knefhausen przeczytał ją dwukrotnie, wlepił oczy w Prezydenta i znów ją przeczytał.

- Ja... ja się bardzo cieszę - powiedział nie całkiem do rzeczy. Prezydent wyrwał mu ją, złożył i wsadził do kieszeni, jakby był to klucz do potęgi.

- Wiec widzisz - powiedział - to proste. Ty pomożesz mnie, ja pomogę tobie.

- Tak, tak, oczywiście -.powiedział Knefhausen, patrząc niewidzącymi

oczami.

- To twoi przyjaciele. Zrobią, co im powiesz. To wszystko, co, jak mi mówileś, umieją robić...

- Tak, cząsteczki, zdolność zmartwychwstania, zdolność Boże zmiłuj się - zbudowania planety...

Knefhausen mógł kontynuować wyliczanie umiejętności astronautów w nieskończoność, ale Prezydent przerwał mu niecierpliwie:

- To już tylko kwestia dni, nim tu przylecą. Możesz sobie wyobrazić, czym dysponują! Broń palna, narzędzia - wszystko, a całe twoje zadanie to skłonić ich, by się przyłączyli do mnie w dziele przywrócenia Stanom Zjednoczonym Ameryki należnego miejsca. Postaram się, aby im się to opłaciło, Knefhausen! I tobie też. Oni...

Prezydent przerwał patrząc uważnie na uczonego. Wreszcie krzyknął: - Knefhausen! - i skoczył, by go podtrzymać.

Za późno. Uczony upadł bezwładnie na deski. Wezwany strażnik pobiegł po lekarza Białego Domu, który przykuśtykał tak szybko, jak mu na to pozwalały chore nogi i przesiąknięty piwem mózg. Ale przybył zbyt późno.

Wszystko było spóźnione dla Knefhausena, którego zawiodło stare serce...

jak się okazało w parę dni później (gdy wielkie złociste statki z Alfy-Alef wylądowały i wyszli z nich inteligentni i straszni członkowie załóg, by oczyścić Ziemię) - we właściwym momencie.

przekład : Jerzy Wilczyński

Świąteczny program Rocky'ego Pythona

Na ekranie telewizora pusta szarość zamienia się w intensywny błękit.

Widzimy wieże bajkowego zamku, a w tle małe, pierzaste obłoczki. Zbliżenie.

Scena bardzo przypomina czołówkę programów Disneya, zaś podobieństwo staje się jeszcze większe, gdy z prawej strony nadlatuje migotliwy strumień gwiazdnego pyłu, z którego wylania się postać Piotrusia Pana wyglądająca dokładnie jak Jane Fonda. Unosi się jak koliber, machając do nas czarodziejską różdżką. Zbliżenie.

JANE: Cześć, ja wcale nie jestem Piotruś Pan. Wydorosłałam. Tylko świat został taki sam.

Teraz, kiedy mamy okazję dokładniej jej się przyjrzeć, okazuje się, że bardziej niż Piotrusia Pana przypomina Barbarellę. Ma na sobie skafander w stylu Bucka Rogersa, jednak bez hełmu.

JANE: Teraz jestem kimś w rodzaju antropologa sądowego.

Odlatuje raptownie do tyłu i powraca ciągnąc za sobą linię horyzontu, która w miarę zbliżania zmienia się z bajkowej w miejską. Zamki okazują się kościołami

najróżniejszych

wyznań

-

metodystów,

baptystów,

kongregacjonalistów, katolików. Jane wyciąga różdżkę, dotyka jednej z wież i

migoczący pył zamienia się w śnieg. Widzimy leżące gdzieś w Nowej Anglii

miasteczko. Mogłoby to być nawet Nasze Miasto Thorntona Wildera.

JANE: Chcę wam pokazać, czyja to była wina. To znaczy, ja już wiem, czyja:

wasza, wy cholerni śmierdziele. Ale mam zamiar udowodnić to ponad wszelką wątpliwość, żeby nie było żadnych nieporozumień.

Rozlegają się dźwięki kolędy. Kamera zniża się i zagląda przez otwarte drzwi do wypełnionego kościoła. Jane siada na stopniach świątyni, zerka do wnętrza, po czym odwraca się do nas.

JANE: Ot, choćby Boże Narodzenie. To znaczy, chciałam powiedzieć, weźmy na przykład Boże Narodzenie. Posłuchajcie tego faceta.

Śpiew umilkł i kapcan, wyglądający nieco jak Robert Morley, rozpoczyna modlitwę.

KAPŁAN: O, Panie, w tym czasie wielkiej radości błagamy Cię, abyś zechciał roztoczyć swą opiekę nad naszymi synami braćmi, którzy walczą za Twoje imię w odległych krajach. Nie dopuść, aby stała im się jakaś krzywda. Spraw, aby ich mężne poświęcenie doprowadziło do klęski tych, którzy powstali przeciw Tobie i naszej świętej sprawie. Błagamy o to Twoje przenajświętsze imię.

JANE (potrząsa głową) : Jak wam się podoba? Och, pod wieloma względami Święta musiały być wtedy bardzo przyjemne: te prezenty i w ogóle... Ludzie cieszyli się z zimowego przesilenia i z tego, że dni stają się coraz dłuższe, świętowali narodziny Księcia Pokoju mówiąc, że od te j pory będą kochać wszystkich bliźnich... To znaczy, wszystkich, z wyjątkiem tamtych.

Wierni wstają z miejsc i zaczynają wychodzić z kościoła. Dwaj chłopcy rzucają w siebie śnieżkami. Ich matki, zagniewane, ale roześmiane, każą im przestać, lecz oni nie słuchają.

JANE: Więc dlaczego musieliście to spieprzyć? Myślicie, że noszenie tych

cholernych skafandrów sprawia nam przyjemność?

Przewraca się jak długa, trafiona w głowę śnieżką; rozgląda się z rezygnacją dookoła.

JANE: Mogłoby być gorzej. To mógł być na przykład ręczny granat.

Najczęściej zresztą tak właśnie było; pamiętam, jak jedną lub dwie wojny temu...

Zamyśla się, trąc dłonią ucho, po czym krzywi się i potrząsa głową.

JANE: Nie, to nie był granat, tylko żołnierz, który zdzielił mnie w głowę kolbą karabinu. Opowiem wam kiedyś o tym, ale na razie chcę wam przedstawić kilku moich przyjaciół.

Odpycha na bok znieruchomiałą obraz miasteczka, odsłaniając wnętrze studia przygotowanego już do rozpoczęcia teleturnieju Widzimy ośmiu młodych mężczyzn w mundurach, ale mundury te wyraźnie różnią się między sobą. Jane zdejmuje skafander, pozostając w obcisłym kostiumie z pierzastym trenem i pończochach tancerki rewijowej. Wkłada wysoki kapelusz, zaś jej różdżka zamienia się w cyrkowy bicz. Rozlegają się dźwięki muzyki, a ona strzela z bicza.

JANE: Zapraszamy do udziału w naszej wersji zabawy "Spotkajmy się"!

Wskazuje na pierwszego z brzegu mężczyznę, ubranego w brytyjski mundur z I wojny światowej. Ma zabandażowaną głowę i hełm wsadzony na jej czubek.

JANE: Kawalerze Pierwszy, proszę nam powiedzieć, dlaczego się tu znalazłeś?

KAWALER PIERWSZY: Ja nie jestem żaden kawaler, panienko. W domu mam żonę i dwa dzieciaki. W każdym razie tak myślę, że mam, jeśli nie

dorwały ich jeszcze Zeppeliny.

JANE: Chyba nie o to pytałam, prawda?

KAWALER PIERWSZY: A, że niby dlaczego tu jestem, tak? No, ze mną chyba jest to samo, co z tymi innymi facetami, nie? Jesteśmy martwi, czy jak?

JANE: Jesteście tu dlatego, że miałeś naprawdę ważne spotkanie, prawda? Przypominam, że to nowa, wspaniała wersja telezabawy "Spotkajmy się". A teraz, moje ogiery, powiedzcie nam, gdzie nastąpiły wasze Najważniejsze Spotkania.

Wskazuje gestem w ich stronę, a oni kolejno odpowiadają.

KAWALER PIERWSZY: To był jakiś snajper, panienko.

KAWALER DRUGI (ubrany w mundur amerykańskiej piechoty z II wojny światowej i bez jednej ręki): Powiedzieli nam, że mamy zdobyć tę górę. Zdaje się, że nazywała się Monte Cassino.

KAWALER TRZECI (ma na sobie mundur Unii z Wojny Secesyjnej, jest czarny i przypomina Eddie'ego Murphyego): Koło Petersburga, proszę pani. Wywalilo mnie, mnie na niej też, a oni potem zaczęli do nas strzelać.

KAWALER CZWARTY (wychudzony jak szkielet, w postrzępionym mundurze Armii Czerwonej) : Jezioro Ładoga, podczas oblężenia Leningradu. Wpadłem pod lód i zamarzłem.

KAWALER PIĄTY (o orientalnych rysach twarzy, niewielkiego wzrostu, ubrany w coś przypominającego czarną pizamę, z jednej strony zupełnie spaloną i odsłaniającą pokryte pęcherzami ciało): Niosłem akurat granaty, kiedy zrzucili napalm.

KAWALER SZÓSTY (ubrany w podbity futrem kombinezon lotniczy armii

USA z roku 1954; również jest bardzo poparzony): Zestrzelono mnie na północ od Yalu. Udało mi się wylądować, ale samolot już płonął, a kiedy próbowałem wyjść, otworzyli do mnie ogień.

KAWALER SIÓDMY (w mundurze huzarów Napoleona, siedzi przy jednym stoliku z Kawalerem Ósmym): Ja zamarzęm w Rosji. Wracaliśmy spod Moskwy, było bardzo zimno, a my nie mieliśmy nic do jedzenia.

KAWALER ÓSMY (niewidomy, w mundurze Wehrmachtu) : I ja zamarzęm, szanowna pani. Co prawda było to ponad sto trzydzieści lat później, ale niemal w tym samym miejscu, co ten Żabo jad.

JANE: Dziękuję, chłopcy.

Zwraca się do publiczności

Moglibyśmy sprowadzić ich tu znacznie więcej, wiele milionów, od

Termopili poczynając, a na Grenadzie kończąc, ale wiecie jak to jest, kiedy

trzeba zmieścić się w budżecie. To wcale nie byłiby sami żołnierze, ale także

kobiety, dzieci i starcy - pamiętacie Hiroszimę? Albo rzeź albigensów we

Francji? "Zabijcie ich wszystkich" powiedział swoim oddziałom katolicki

general. "Bóg będzie wiedział, kto powinien trafić do Jego królestwa". A

przecież nie mówię o nikim takim jak na przykład Mongołowie ani o naszej

ulubionej Drugiej wojnie Punickiej.

Drapie się z namysłem po kroczu.

Oprócz tego, istnieje jeszcze tych kilka drobnostek, które wojna zawsze

przynosiła cywilom. Chyba wiecie, co mam na myśli?

Niestety, musicie trochę wysilić wyobraźnię - pamiętacie, co wam mówiłam

o budżecie? Nie mogliśmy tutaj sprowadzić wszystkich zagłodzonych dzieci, a

ja jedna musze wystarczyć za wszystkie kobiety. Do piwnicy, w której się schowałam, wszedł ten żołnierz. Zobaczył mnie, rąbnął kolbą w głowę i już rozpinał spodnie, kiedy...

Jane odwraca się i pogrążona w myślach zmierza w kierunku kulis.

KAWALER ÓSMY (z oburzeniem): To na pewno był jakiś Iwan. My, niemieccy żołnierze, nie dopuszczamy się gwałtów.

KAWALER CZWARTY: Oczywiście, że nie. Wy tylko zakłuwacie bagnetami dzieci.

KAWALER ÓSMY: To oszczerstwo! Nigdy nic takiego nie zrobiłem!

Najmłodszy nieprzyjaciół, którego zabiłem, miał co najmniej piętnaście lat.

Jestem tego pewien!

Jane nie słucha; zakłada na głowę wysoki kapelusz i zaczyna dumnie przechadzać się po scenie, a następnie, nie zwracając uwagi na ośmiu "kawalerów", zaczyna ćwiczyć aerobik.

KAWALER PIERWSZY: Panienko? Przepraszam, że przeszkadzam, ale zdaje się, że trochę się ze sobą nie zgadzamy.

JANE (zatrzymuje się po prawej stronie sceny i spogląda na nich ze zniecierpliwieniem): Och, zamknijcie się wreszcie! Przecież nie ma najmniejszego znaczenia, który z was tam był. I tak najpierw udukał mnie t y m , a potem t a m t y m , więc i tak umarłam. Poza tym jestem pewna, że wszyscy maczaliście w czymś takim palce.

KAWALER DRUGI (również z oburzeniem): Ejże, co to za bzdury? My nigdy nic takiego nie robiliśmy!

JANE: Nigdy?

KAWALER DRUGI: Może pani się założyć o te swoją śliczną dupkę. General Mark Clark ukrzyżowałby nas, gdyby się o czymś takim dowiedział. Poza tym, te włoskie cizie same chętnie nam dawały.

JANE: W zamian za puszkę wołowiny?

Przygląda mu się z namysłem, po czym uśmiecha się i znika ze sceny.

Powraca ciągnąc za sobą wojskową pryczę, ustawia ją i siada na jej brzegu.

Co ty na to, żołnierzyku? Pamiętaj, że nie zależy mi ani na tobie, ani na twojej wołowinie, ale ty masz karabin. Jak myślisz, chyba nie zdołałabym cię powstrzymać?

KAWALER DRUGI (groźnie): Co pani chce udowodnić?

JANE: A jak ci się wydaje? Walczący bohatersko mężczyzna ma chyba prawo od czasu do czasu trochę się odprężyć, nie sądzisz? Jeśli masz zamiar zgrzeszyć, to na co czekasz? Ja przecież nie dam ci rady. Poza tym, skoro już zabiłeś mi dzieci i spaliłeś dom, co znaczy jeszcze jedno małe barabara?

KAWALER DRUGI: Pani się sama o to prosi!

Uśmiechając się wojowniczo rusza w jej stronę, ale nagle zatrzymuje się, skonsternowany, maca się po kroczu, potrząsa głową i spogląda na nią ze złością.

Przy pani to człowiekowi od razu wszystko opada!

JANE: (ze współczuciem) : Co, za mało testosteronu? Czy to dlatego, że ostatnio nikogo nie zabiłeś?

Wszyscy kawalerowie mruczą coś pod nosem, podczas gdy Jane odciąga pryczę za kulisy.

KAWALER DRUGI : Pani robi z nas zwierzęta, a my byliśmy ż o ł n i e r z a m

i ! Dostałem Srebrną Gwiazdę! Gdybym był oficerem, na pewno daliby mi

Krzyż Walecznych!

KAWALER SIÓDMY: Sam cesarz uściskał mi rękę

**KAWALER PIĄTY: To dzięki amunicji, którą dostarczaliśmy naszym
towarzyszom z Południa udało się zrzucić imperialistyczne jarzmo!**

**KAWALER CZWARTY: Walczyliśmy nawet wtedy, gdy przymieraliśmy
głodem!**

**KAWALER TRZECI: Robiliśmy, co nam kazali, proszę pani. Dostaliśmy
rozkaz, coby przedrzeć się do Richmond i prawie że nam się udało. Dalibyśmy
radę, gdyby generałowie rzucili nam trochę posiłków, zanim nas wybito.**

**JANE: Do licha, nikt przecież nie twierdzi, że nie byliście dzielni! To znaczy,
jeśli nie liczyć tych paru razy, kiedy narobiliście w spodnie. W każdym razie,
parliście dzielnie naprzód i robiliście to, czego od was oczekiwano. Pytanie
tylko: d l a c z e g o ?**

**KAWALER PIERWSZY: To przez tych Hunów, panienko. Robili okropne
rzeczy w Belgii.**

KAWALER SIÓDMY: Dla cesarza!

**KAWALER TRZECI : Za wolność! Gnębili nas, kiedy byliśmy niewolnikami,
a potem my ich za to zabijaliśmy.**

KAWALER ÓSMY: Za aryjską rasę!

KAWALER CZWARTY: Za Matkę Rosję!

**JANE (przekrzykuje mówiących jednocześnie kawalerów): Spokojnie,
chłopcy! Odrobina ciszej, zgoda? (spogląda na Kawalera Szóstego) A co z tobą,
poruczniku? Nie masz nic do powiedzenia?**

KAWALER SZÓSTY (uśmiecha się): Zdaje się, że ty nawijasz za wszystkich, złotko. Ja tam jestem tylko od latania. Zrzucić parę pięćsetfuntówek, ostrzelać kolumnę czołgów i z powrotem na statek, na słodzone mleko i wieczorny film - byłoby tak dalej, gdyby nie ten cholerny MiG. Założę się, że to był jakiś Rusek. Żaden pieprzony Żółtek nie latałby w taki sposób!

Ale ja wiem, o co ci chodzi. Zawsze byłem zadowolony, że jestem pilotem na lotniskowcu. Nigdy nie mieliśmy nic do czynienia z tymi ohydztwami, które inni wyrabiali na ziemi, więc nie chrzań mi tutaj o gwałtach, grabieżach i takich innych. Ja się do tego nie mieszałem, bo byłem zawsze w górze i prowadziłem inną, czystą wojnę.

JANE: Myślisz, że tak samo czuła się załoga "Enola Gay"?

KAWALER SZÓSTY: Chwileczkę, skarbie! Pomyliłaś adresy. Ja nigdy nie zrzucałem bomb atomowych!

JANE: Tylko dlatego, że ci ich nie dali, prawda?

KAWALER SZÓSTY: Rzeczywiście, nie dali, a wiesz czemu? Bo nasze kochane USA postanowiły, że nie użyją Bomby? A przecież mogliśmy je zrzucić! Mieliśmy ich całe mnóstwo! Powstrzymały nas wyłącznie względy humanitarne.

JANE: A może i obawa, że wtedy użyją ich także Rosjanie?

Kawaler Szósty wzrusza ramionami i obojętnie spogląda w inną stronę.

Potem mieli je już wszyscy, pamiętacie? Anglia, Francja, Indie, Chiny,

Brazylia, Afryka Południowa, Izrael, Pakistan... Ludzie mówili, że to bardzo

dobrze, bo tym samym został osiągnięty stan SZOKU - Śmiertelnego

Zagrożenia Owocującego Koniecznym Umiarkowaniem - dziki czemu nikt

nigdy miał ich nie użyć, bo każdy wiedział, że i tak nie zdoła wygrać wojny atomowej.

W jednym drobnym szczególe wszyscy się mylili, ale poza tym mieli całkowitą rację. Rzeczywiście, nikt nie wygrał.

Hej, możecie mi pomóc?

Sapiąc z wysiłku wyciąga zza rzędu stolików nowe tło. Pomagają lej

Kawalerowie Szósty i Pierwszy, po czym wracają na swoje miejsca i wraz z innymi odwracają z ciekawością głowy. Widzimy ponownie miasteczko w Nowej Anglii, ale tym razem po ataku atomowym. Wszystkie wieże są częściowo zwalone i wypalone, a po brudnym, zmieszanym z popiołem śniegu poruszają się nieliczni ludzie. Odziane w lachmany, drżące z zimna dzieci sprawiają wrażenie bardzo głodnych, a dorośli są najwyraźniej chorzy. Jedna czy dwie bardziej energiczne osoby prowadzą pozostałych do "ambulansu"; są to duże sanie, do których zaprzężono starego wychudzonego konia. Jane zdejmuje kapelusz i wsadza pierzasty tren za pas.

Problem polegał na tym, że SZOK nie podziałał na wszystkich.

Podnosi z podłogi pilota, skierowuje go na ekran i naciska kolejne guziki.

Widzimy Nowy Jork, Tokio, Moskwę, Pekin, Chicago, Rio de Janeiro. Tel

Awiw, San Francisco, Kapsztad, Paryż, Rzym, Kopenhagę, Melbourne.

Singapur, Mexico City, St. Louis, Kair, Sztokholm. Wszystkie miasta leżą w ruinach. Zmieniając kanały Jane mówi.

Wystarczyło, że jeden zaczął, a potem wszyscy to dokończyli.

KAWALER DRUGI (zdumiony i zagniewany): Hej, to wcale nie miało tak być! Obiecywali, że już nigdy nie będzie żadnych wojen

KAWALER PIERWSZY: Nam też to mówili, panienko.

JANE: I wreszcie udało im się dotrzymać słowa.

KAWALER SIÓDMY (z niedowierzaniem, ale i nadzieją): przepraszam, mam'selle, ale czyżby wreszcie zapanował pokój?

JANE: A jakże, kochaneczku. Tyle tylko, że dla was to trochę za późno, nie sądzicie? W końcu, od dawna już nie żyjecie i w ogóle...

Zbliża się i klepie najbliższego po ramieniu.

Więc teraz będzie lepiej, jeśli wszyscy znowu się położycie, dobrze? Proszę bardzo, tędy...

Pomrukując wszyscy kawalerowie wstają i przewracają swoje stoliki.

Okazuje się, że są to proste, sosnowe trumny. Wchodzą do nich kolejno, przykrywając wiekiem trumnę sąsiada. Jane z wysiłkiem nakrywa trumnę

Kawalera ósmego i zaczyna nakładać skafander. Teraz widać wyraźnie, że nie jest to skafander kosmiczny, lecz antyradiacyjny, noszący wyraźne ślady długotrwałego używania. Jane kłania się publiczności.

Cóż, Wesołych Świąt i pokój na Ziemi ludziom dobrej woli. Dzięki tej wojnie nareszcie stało się to możliwe.

Spogląda na ekran, naciska wyłącznik w pilocie i ekran gaśnie. Widzimy tylko stojącą samotnie na pustej scenie Jane. Zakłada hełm, lecz zanim go zatrzaśnie dodaje jeszcze:

Po prostu zbyt mało nas zostało, żeby myśleć o czymś innym.

przekład : Arkadiusz Nakoniecznik

W blasku komety

Trudno było się doszukać podobieństwa w osobach Alberta Novaka,

mężczyzny, który podchodził Myrona Landaua oraz Sekretarza Stanu, ale jedną cechę na pewno mieli wspólną: pragnęli. Cała trójka pragnęła czegoś z całej duszy, a przedmiot pragnień każdego z osobna nie znalazłby, jak to często bywa, uznania w oczach przeciętnie przyzwoitego człowieka kierującego się ogólnie przyjętymi normami współżycia społecznego.

Zacznijmy od mężczyzny, który podchodził Myrona Landaua, a ściślej, od samego Myrona Landaua. Myron również pragnął (a obiektem tych pragnień była jego przyjaciółka Ellen) z tą maskowaną starannie desperacją, jaka charakteryzuje siedemnastoletniego młodzieńca, który jeszcze nigdy dotąd... Czynnikiem przemawiającymi przeciwko Myronowi tego lipcowego wieczora w Nowym Jorku były niedoświadczenie, niewiara w siebie oraz upór samej Ellem ale po swojej stronie miał potężnych sprzymierzeńców. Przed nim zalegała wielka, kusząca czerń Central Parku, gdzie wszystko może się zdarzyć, a na niebie rozpościerał się doskonały pretekst do zwabienia tam Ellen. Kupił jej więc u Rupelmeyera porcję mrożonego kremu truskawkowego i powiódl spacerowym krokiem w kierunku parku paplając po drodze o astronomii, pięknie i miłości.

- Jesteś pewien, że to bezpieczne? - spytała Ellen spoglądając trwożliwie na skąpane w świetle sodowych lamp zarośla.

- Nie bój nic - powiedział Myron bogatym w nutki rozbawienia głosem posiadacza brązowego pasa w karate, uzyskanego na jednej z najlepszych akademii na West Side, chociaż tak naprawdę, to nigdy jeszcze nie wychodził po zmroku do Central Parku. Ale przemyślał już sobie wszystko ze szczegółami i był przeświadczony, że dzisiejszego wieczora nie grozi im tam

żadne niebezpieczeństwo. A w każdym razie nie takie, które odstraszyłyby go od spodziewanej zdobyczy. Nad głową jaśniała wielkim blaskiem piękna kometa będąca ostatnio na ustach wszystkich, a wieczór był bezchmurny. W parku będzie dużo ludzi obserwujących niebo, rozumował, a zresztą dokąd jeszcze mógłby ją zabrać? Przecież nie do swojego mieszkania przytkniętym do drzwi pokoju gościnnego uchem babci czyhajacej tylko na pretekst do wejścia i przystąpienia do poszukiwań swoich okularów. Przecież nie do apartamentu Ellen z tkwiącymi tam bezlitośnie matką i siostrą.

- Kometę słabo widać ze środka ulicy - powiedział ze znawstwem, otaczając Ellen ramieniem i odklaniając się przystojnemu, siwowłosemu gentlemanowi, który uprzejmie uklonił im się pierwszy: - Za dużo tu światła, a zresztą daję słowo, Ellen że nie wejdziemy daleko.

- Nigdy jeszcze nie obserwowałam komety - ustąpiła, pozwalając poprowadzić się ścieżką. Prawdę mówiąc kometa Ujifusy-McGinnisa nie była wcale tak trudna do zaobserwowania. Rozpościerała swój warkocz na ponad ćwierć nieba, topiąc w nim Altaira, Vegę i gwiazdy wokół Deneba, a jej blasku nie przytłumiały nawet jasne światła uliczne Nowego Yorku. Dominowała na niebie nawet tysiąc mil na południe, gdzie w oświetlonej reflektorami Hali Montażowej technicy pracowali w pocie czoła przez dwadzieścia cztery godziny na dobę nad przygotowaniem do startu sondy kosmicznej, która miała zgłębić tajemnice Ujifusy-McGinnisa.

Myron spojrział w góra i dał się na chwilę oczarować wspaniałości widowiska, szybko się jednak zreflektował.

- Ach - westchnął sunąc z wolna palcami ku dolnemu zboczowi piersi Ellen -

pomyśl tylko, że wszystko, co widzisz, to tylko gaz. Nic tam właściwie nie ma. I to miliony mil stąd.

- To cudowne - powiedziała Ellen oglądając się przez ramię. Wydawało się jej, że usłyszała jakiś trzask. Wcale jej się nie wydawało. Ten trzask rozległ się na prawdę. Stopa przystojnego siwowłosego gentlemana nastąpiła na suchy patyk. Skręcił właśnie z alejki wyłożonej płytami chodnikowymi pod osłonę karłowatych krzaków i był teraz zajęty naciąganiem damskiej nylonowej pończochy na swoje siwe włosy i twarz. On też dokładnie zaplanował ten wieczór. W prawej kieszeni jego płaszcza spoczywała związana w supel wełniana skarpetka z pół funtem stalowych kulek z łożysk- to na Myrona. W lewej kieszeni płaszcza krył się składany, starannie naostrzony nóż. To na Ellen - po pierwsze, żeby mieć pewność, że nie krzyknie, po drugie, żeby się upewnić, iż nigdy już tego nie uczyni. Nie znał ich imion, kiedy ładował kieszenie i opuszczał swój farmerski dom w Waterbury w Connecticut, udając się na wieczorne występy do miasta, ale wiedział z góry, że kogoś sobie upatrzy.

On też spojrział w górę, na kometę, ale z irytacją. Kiedy pokazywał ją córce u siebie, na podwórku w Connecticut, wyglądała ładnie. Tutaj stanowiła bliżej nieokreśloną zawada. Za bardzo, jak na jego gust, rozjaśniała mroki nocy, chociaż musiał uczciwie przyznać, że nie było aż tak źle, jak podczas pełni księżyca.

Nie minie więcej jak pięć minut, obliczył sobie, jak chłopak wprowadzi dziewczynę w krzaki. Ale w które? Żeby tylko wybrali jego stronę alejki! W przeciwnym przypadku będzie musiał przebiec ścieżkę. Wiązało się to z

pewnym niebezpieczeństwem i było kłopotliwe, bo pociągało za sobą przemykanie się ukradkiem w mało dystyngowany sposób. Jednak zabawa warta była takiego zachodu. Zawsze była tego warta.

Przystojny siwowłosy gentleman skradał się za nimi cicho z gotową już do użycia ciężką skarpetką w dłoni. W swych intymnych partiach ciała odczuwał pierwsze rozkoszne dreszcze seksualnego podniecenia. Był szczęśliwy jak nigdy dotąd.

Mniej więcej dwa tysiące lat wcześniej, kiedy Jezus był małym chłopcem w Nazarecie, a Cezar August liczył swoje posągi i złoto, rasa istot przypominających swoim wyglądem miękkoskorupiaste kraby, zamieszkująca planetę okrążającą gwiazdę odległą o jakieś dwieście lat świetlnych od Ziemi, stwierdziła istnienie Wielkiego Muru Chińskiego.

Nic dziwnego, że nie zauważyli nic wcześniej, ponieważ on jeden, pośród ówczesnych wytworów rąk Człowieka, był w miarę dostrzegalny przez ich teleskopy. Jego budowę zakończono przed niespełna dwustu pięćdziesięciu laty, a większość tego czasu upłynęła na powolnym przemieszczaniu się światła z Ziemi do ich planety. Poza tym mieli do obserwowania wiele, wiele innych planet i niewiele czasu na każdą z nich. Ale więcej wymagali od swych sług i dziesięć tysięcy członków podbitej rasy umarło wtedy w mękach, co miało stanowić dla innych zachętę do większej pilności w wywiązywaniu się ze swych obowiązków.

Aroganccy, jak nazywali siebie sami i jak nazywali ich wasale, od razu postawili na swych kolektywnych naradach kwestie czy podbijać Ziemię i czy przyłączyć ludzkość do grona swych lenników, skoro już stwierdzili, że ta

ludzkość istnieje. Był to ich zwyczaj zapoczątkowany przed eonami. Uczynił ich skrajnie niepopularnymi na ogromnych polaciach galaktyki.

Po wnikliwym rozważeniu sprawy postanowili na razie nie zawracać sobie głowy. Czym bowiem było para usypanych na kupa kamieni? Nie, jakiś rodzaj cywilizacji na pewno tam istnieje, ale planeta Ziemia wydaje się zbyt odległa, zbyt banalna i zbyt uboga, żeby warto było ją podbijać.

Wychodząc z tego założenia, Aroganccy poprzestali na rutynowej procedurze podejmowanej w podobnych przypadkach. Po pierwsze zarządzili uprowadzenie w swych dyskoidalnych pojazdach pewnej liczby okazów ziemskich istot rozumnych oraz innej fauny. Okazy te umierały w wielkich cierpieniach dostarczając w trakcie tego procesu wielu istotnych informacji o chemii swego ciała, o jego budowie fizycznej i sposobach myślenia. Po drugie, Aroganccy wysłali grupę obserwacyjną złożoną z członków jednej z podbitych przez siebie ras; nakazano im zasiedlenie jądra komety i trzymanie stamtąd na oku tych endoszkieletowych, ale potencjalnie irytujących stworów, które rozwinęły rolnictwo, wynalazły ogień, miasto i koła, ale nie dysponowały jeszcze nawet chemicznymi materiałami wybuchowymi.

Następnie wyrzucili Ziemię ze swych kolektywnych, bezkregowych umysłów i powrócili do bardziej interesujących rozważań nad środkami, jakie należy podjąć przeciwko rasie insektopodobnych istot zamieszkujących parną planetę o wysokim współczynniku ciężenia, leżącą w zupełnie innym kierunku niż Ziemia, w pobliżu jądra galaktyki. Insekty uparły się, że nie dadzą się podbić Aroganckim. Ściślej, zniszczyły pokaźną liczbę wysłanych przeciwko nim flot wojennych.

Niemal czwarta część kolektywnej inteligencji Aroganckich poświęcała się planowaniu zadania tym insektom klęski w otwartej bitwie. Przeważająca część reszty ich inteligencji oddawała się przyjemności kontemplowania tego, co zrobić insektom po wygraniu tej bitwy, żeby gorzko pożałowały swojego zdecydowanego oporu.

Podczas gdy przystojny, siwowłosy gentleman podchodził Myrona i Ellen, druga osoba, która pragnęła - Sekretarz Stanu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej - znajdowała się o czterdzieści tysięcy stóp wyżej i o sto mil na północ od Central Parku. Wspomniany Sekretarz Stanu przebywał na pokładzie czterosilnikowego odrzutowca, którego dziób zdobiła amerykańska flaga narodowa, i przechodził właśnie napad niezbyt skutecznie maskowanego złego humoru.

- Zamknij się, Danny - powiedział Prezydent Stanów Zjednoczonych drapiąc się z posępną miną między palcami bosych stóp. - Gorączkujesz się bez powodu. Nie mówię przecież, że nie możemy zbombardować Wenezueli. Pytam tylko, dlaczego mamy ją zbombardować? I dobrze ci radzę, licz się ze słowami, kiedy ze mną rozmawiasz.

- Niech pan sam się liczy ze słowami, panie Prezydencie! wrzasnął Sekretarz Stanu przekrzykując ryk silników. - Mam już po dziurki w nosie pańskiej gry na zwłokę, uchylania się od podjęcia ostatecznej decyzji i niewiele brakuje, żebym zaraz wysiadł i zwałił całą robale na pana. Zważywszy ujawnione niedawno fakty - mam na myśli Islandia - nie wydaje mi się, aby ta perspektywa przypadła panu do gustu.

- Danny, chłopcze - warknął Prezydent. - Masz brzydki zwyczaj

odgrzebywania starych historii. Nie odbiegaj od tematu. Musimy mieć ropę, zgoda. Oni mają ropę, każdy to wie. Nie chcą nam jej sprzedać po rozsądnej cenie, a więc wymagasz ode mnie, żebym nie dawał im żyć, dopóki nie zmienią zdania. Zgadza się? Zapominasz jednak, że istnieje właściwy i niewłaściwy sposób załatwiania takich spraw. Dlaczego nie mielibyśmy, jak zwykle, poprzestać na paru pogrózkach i potrząśnięciu szabelką?

- Ale ta ich bezczelność, panie Prezydencie! Ten uwłaczający ton noty, którą przesłali na moje ramię. Tu już nie chodzi o ropę, urażona została narodowa duma naszego kraju.

- Oj, Danny, Danny - westchnął Prezydent. - łatwo ci mówić. Ty nie masz na karku Kongresu, który zagląda ci wciąż przez ramię i patrzy na ręce przy każdej, najdrobniejszej nawet sprawie - jeszcze raz westchnął ciężko i otworzył następną puszkę bezkalorycznej wody mineralnej. -Jednego tylko nie rozumiem powiedział i urwał stawiając gazem znak przestankowy. - Dla czego musimy uderzyć na nich- akurat dziś wieczorem, kiedy trwa właśnie posiedzenie Kongresu?

- Tłumaczyłem już panu, panie Prezydencie - warknął z rozdrażnieniem Sekretarz - że źle działa nasz system łączności. Utraciliśmy zasięg globalny. Występują silne zakłócenia jonosferyczne spowodowane niespotykane potężnym napływem promieniowania wydzielanego najwyraźniej przez ...

- Och, przestań - powiedział z cierpieniem w głosie Prezydent. - Chcesz po prostu powiedzieć, że to kometa wpieprza się w paradę naszym służbom nasłuchowym.

Sekretarz zacisnął usta.

- Nie wiadomo, czy to kometa, panie Prezydencie. Nie stwierdzono tego dotąd z całą pewnością, chociaż wiele przemawia za tym, że jakiś związek istnieje. Mniejsza z tym. Sytuacja w której się obecnie znajdujemy, polega na tym, że nie mamy pełnej łączności. Nie wiemy więc, czy Wenezuelczycy nie planują czasem podstępnie jakiego zdradzieckiego ataku. Chce pan ryzykować bezpieczeństwo Wolnego Świata, panie Prezydencie? Więcej nic już nie powiem.

- Tak, dopiąłeś swego, Danny - powiedział Prezydent. Obrócił się w swoim fotelu i zapatrzył na jasną powódź białego światła rozlewającego się nad wschodnim horyzontem, gdzie unosiła się kometa Ujifusy-McGinnisa. - Słyszałem o gorszych pretekstach do rozpoczęcia wojny - mruknął w zadumie - tylko nie przypominam sobie dokładnie kiedy. No dobrze, Danny. Zrobimy, jak radzisz. Daj mi Charliego na kanale szyfrowym. Zarządza atak za dwie godziny.

Obserwatorzy Aroganckich, kryjąc się w skalistym jądrze komety ochrzczonej nazwiskami dwóch astronomów amatorów, którzy równocześnie ją odkryli, studiowali wyniki swego skanowania Ziemi urządzeniem przypominającym nieco radar. Była to procedura rutynowa. Nie zdawali sobie sprawy, że swoim skanowaniem zakłócają ziemski system łączności, ale to nie było ich zmartwienie. Mieli za zadanie rozproszyć nad Ziemią grad cząsteczek i przechwycić je, kiedy będą powracały po odbiciu od powierzchni planety, celem przeprowadzenia nad nimi badań zrobili to, a z wyników badań wywnioskowali, że planeta Ziemia osiągnęła stan alarmowy. Znajdowała się na zaawansowanym etapie ery technologicznej, a tym samym stawała się już

nie potencjalnym, ale realnym zagrożeniem dla ich panów.

Prawda mówiąc, Aroganccy nie byli już wcale tacy aroganccy jak dawniej.

Dosyć regularnie obrywali ciągi w trwających już od tysiąca lat zmaganiach z insektoidami. Wynik brzmiał, z grubsza biorąc, 53 dla Aroganckich do 23 724 dla Insektoidów. Wiedząc o tym, obserwatorzy orientowali się, że w tych okolicznościach ich zadanie nie obejmuje fizycznego podboju Ziemi. Zostanie ona po prostu zniszczona.

Nic prostszego. W arsenalach Aroganckich składowano mnóstwo sprzętu do obrócenia w perzyna zamieszkaną planety. Nie zdał niestety egzaminu, użyty przeciwko insektoidom, ale był aż za potężny do rozprawienia się z taką, dajmy na to, ludzkością. Środki zagłady do realizacji tego zadania były do dyspozycji w każdej chwili, ale nie dla obserwatorów, którzy stali o wiele za nisko w hierarchii, żeby powierzać im coś takiego.

Ich zadanie było o wiele prostsze. Wymagano od nich tylko, aby zameldowali, co zaobserwują, a następnie zmiękczyli rodzaj ludzki tak, żeby nie był w stanie stawiać oporu, nawet biernego, ekipom porządkowym, gdy te przybędą ze swoimi rozdrabniaczami planet.

Zmiękczenie stanowiło problem techniczny o pewnym stopniu komplikacji, ale rozwiązano go już dawno. Uprawadzeni przedstawiciele ludzkości umierali brzydko, lecz nie nadaremnie. Przynajmniej z punktu widzenia Aroganckich, gdyż konając w męczarniach dostarczali o sobie informacji, które posłużyły Aroganckim

do

opracowania

stosownych

metod

zmiękczać. Następnie, na wszelki wypadek, przeszkolono w tym zakresie obserwatorów.

Z punktu widzenia uprowadzonych ludzi, kwestia pożyteczności ich męczeńskich śmierci mogła, rzecz jasna, spotkać się ze zgoła odmienną odpowiedzią. Nikomu jednak nie przyszło do głowy, aby ich o to pytać.

W każdym razie obserwatorzy włączyli generatory, które miały zmiękczyć rodzaj ludzki i przygotować go do zagłady. Czekać na nagromadzenie się ładunku, odszukali współrzędne i sygnał wywoławczy krążącego najbliżej superpancernika Aroganckich i wysłali doń wezwanie, aby przybył i dokończył dzieła bombą planetarną. Następnie oddali się w swoim gronie dyskusji nad przewidywaniami, co do następnej misji szpiegowskiej. Nie była to dyskusja owocna. Bomby planetarne są bronią paskudną i nie było wielkich widoków na to, że kometa Ujifusy-McGinnisa, poruszając się po swojej orbicie, wyniesie ich tak daleko, żeby znaleźli się poza zasięgiem wybuchu. Żaden z nich nie miał też pojęcia, jakie są plany Aroganckich w stosunku do obserwatorów, nawet gdyby wyszli z tego cało. Wszyscy jednak byli zgodni co do tego, że na pewno nie są to plany uszczęśliwienia ich.

Zajmijmy się teraz Albertem Novakiem. Znajdował się on na pokładzie innego czterosilnikowego odrzutowca wznoszącego się z lotniska

Kennedy'ego na przydzieloną mu wysokość przelotową i biorącego kurs na

lotnisko międzynarodowe w Los Angeles. Albert był ostrzyżonym na jeża młodzieńcem, który nosił się z pewnym zamiarem. Za sąsiada miał niskiego siwego człowieka z Zachodu o ogorzałym obliczu zgryźliwego żółwia, który wyciągnął do niego rękę i powiedział agresywnym tonem, wskazując ruchem głowy za okno:

- Co za piekielna granda! Czy wie pan, że agencja kosmiczna chce wydać trzydzieści milionów dolarów z pańskich podatków tylko po to, żeby koło tego powęszyć? Trzydzieści milionów dolarów! Żeby powąchać jakiś zjełczały gaz! Nie dopuszczę do tego, dopóki jestem członkiem Komisji Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej. Pan pozwoli, że się przedstawię. Jestem kongresmenem... - ale mówił do ściany. Albert Novak nie uściskał jego dłoni, nawet nie zaszczycił go spojrzeniem. Pomimo że nadal w trzech językach płonął pod sufitem napis "Zapiąć pasy", odpiął się i ruszył przejściem między rzędami foteli. Stewardesy syknęły na niego i z ociąganiem zaczęły odpinać się same, żeby odprowadzić go na miejsce. Zignorował je. Nie miał najmniejszego zamiaru lecieć na lotnisko międzynarodowe w L.A., a do stewardesy odezwie się, kiedy zdecyduje, że przyszła na to pora. Wszedł do toalety z magnetofonem kasetowym i zamknął za sobą drzwi na zasuwkę, żeby nikt mu nie przeszkadzał.

Magnetofon kasetowy nie nadawał się już ani do nagrywania, ani do odtwarzania. Poprzedniego dnia Albert usunął z niego wszystkie wnętrzości zastępując je kilkoma dodatkowymi bateriami i zwojem cienkiego drutu, którym łączył teraz ostrożnie trzydzieści laseczek dynamitu z zapalnikami, które wszył na oczach uśmiechającej się matki krótkowidzki pod podszewkę

swego płaszcza.

Chociaż Novak uważał się za porywacza, nie miał zamiaru wymuszać zmiany kursu odrzutowca i żądać lądowania na Kubie, w Caracas, ani też w Algierze. Nie chodziło mu o samolot. Nie chciał nawet stu milionów dolarów okupu, których zamierzał zażądać.

Głównym pragnieniem Novaka było zwrócenie na siebie czyjejs uwagi. Jeśli chodzi o przemyślany przezeń ze wszystkimi szczegółami plan akcji, to polegał on na tym, żeby podejść do stewardesy z ręką na detonatorze, pokazać jej genialne urządzenie, które udało mu się przemyścić przez wykrywacze metalu, udać się w jej towarzystwie, jak każe tradycja, na pokład załogi, a następnie, kiedy linie lotnicze przystąpią do gorączkowego zbierania pięciu milionów nie znaczonych banknotów dwudziestodolarowych, w których zamierzał zażądać wypłacenia okupu, zamknąć przełącznik i detonować dynamit ku ogólnej wściekłości i konfuzji.

Wiedział, że niszcząc samolot, sam zginie. Nie przykładał do tego zbytnej wagi. Jedynym poważnym niedociągnięciem, nad którym ubolewał, było to, że ten genialny skądinąd plan wykluczał możliwość ujrzenia twarzy matki, kiedy zaczną się wokół niej kłębić reporterzy i ekipy telewizyjne, a ona dowie się, że jej syn rozpieprzył na cztery wiatry kupę różnych ludzi oraz samolot za trzydzieści milionów dolarów.

Generatory w jądrze komety Ujifusy-McGinnisa były już całkowicie naładowane.

Obserwatorzy Aroganckich, w kwaśnych humorach, wycelowali wiązkę w planetę Ziemię. Nie omieszkali starannie jej wyregulować, bo wiedzieli jakie

byłyby konsekwencje spartolonej roboty. Kiedy wszystko było już gotowe, zerwali plombę, która blokowała przełącznik główny i wyzwolili wiązkę.

W kierunku bliższej półkuli planety trysnęło pod postacią spójnego strumienia trzy miliony watów mocy. W atmosferze nastąpiły natychmiast pewne chemiczne zmiany, a prądy termiczne i wędrownie wiatry rozniosły je wokół całego globu.

Stosowany sprzęt był wysoce kierunkowy, ale obsługujący go obserwatorzy znajdowali się bardzo blisko, a w grę wchodziły ogromne ilości energii.

Spryskało ich trochę promieniowanie. Istniały przecież pewne straty ulotowe, pewne odbicia, nawet od rozrzedzonych gazów otoczki komety.

Ponieważ na podstawie eksperymentów przeprowadzanych dwa tysiące lat temu na uprowadzonych promieniowanie zaprojektowano specjalnie do wykorzystania przeciwko rodzajowi ludzkiemu, miało ono jedynie

ograniczony wpływ na obserwatorów. Ale tak się składało, że byli oni

dwupłciowymi,

ciepłokrwistymi

istotami

oddychającymi

tlenem

i

wykazującymi wiele cech wspólnych z rasą ludzką, a więc obsługiwana przez

nich broń podziałała na nich w sposób wielce zbliżony do tego, w jaki miała

podziać na ludzkość.

Najpierw poczuli nagły, ostry przyływ emocji, którą zidentyfikowali lale

dopiero w drodze logicznej dedukcji jako wesolość. Postawienie tej diagnozy nie było sprawą prostą, bo niewiele mieli w życiu okazji do zaznania podobnego stanu. Ale spoglądali teraz na siebie z głupkowatą czulością i na swoje niezbyt ludzkie sposoby wspólnie przeżywali niespodziewany atak euforii.

Następnym doznaniem, jakie im się udzieliło, był silny, fizyczny ból, któremu towarzyszyły wymioty, zawroty głowy i uczucie ogólnego osłabienia, a przyczyną tego było wchłonięcie dawki promieniowania bardziej niż wystarczającej do uczynienia z nich potulnych kociąt gotowych bez sprzeciwu wystawić się na nokautujący cios Aroganckich. Ten stan również rozpoznali. Wydedukowali, że umrą, i to całkiem szybko.

Wisiało im to podobnie jak Albertowi Novakowi, zamierzającemu wysadzić się w powietrze wraz z samolotem. Warto było. Byli szczęśliwi. Tak właśnie miało podziałać promieniowanie na rodzaj ludzki i dobrze spełniło swoją funkcję.

I na całej zwróconej w kierunku komety stronie Ziemi w miarę jak promieniowanie przenikało ludzkość, strach zastępowała wesolość, spokój zastępował zdenerwowanie, miłość zastępowała nienawiść.

W Central Parku trzech młodych lumpów puściło dziewczynę, którą zwabili na przystań wioślarską i postanowiło wstąpić na Harvard. Na południowym skraju parku, siwowłosy gentleman wypadł z krzaków na Myrona i jego dziewczynę.

- Moje drogie dzieci! - krzyczał ściągając z twarzy damską pończochę. - Jacy wy jesteście słodcy i mili. Jak bardzo przypominacie mi moich ukochanych

syna i córkę. Pozwólcie, że zafunduję wam najlepszy pokój hotelowy z pełną obsługą w Nowym Jorku.

W normalnych okolicznościach incydent ten wkurzyłby Myrona Landaua, zwłaszcza że udało mu się właśnie rozwiązać zagadkę zapinki biustonosza Ellen. Ale teraz sam był tak przepelniony radosnym upojeniem, że zdołał tylko wykrztusić:

- Ależ oczywiście, przyjacielu, zgadzamy się. Ale pod warunkiem, że będziesz nam towarzyszył. W przeciwnym przypadku nie skorzystamy z twojej propozycji.

A Ellen wtrąciła słodko:

- Po co nam pokój w hotelu, proszę pana? Czy nie możemy od razu tutaj wyskoczyć z tych ciuchów?

Bezpośrednio nad ich głowami, na wysokości czterdziestu tysięcy stóp, w prezydenckim odrzutowcu odbywającym z szybkością ponaddzwiękową podróż powrotną z Letniego Białego Domu w pobliżu Boothbay Harbor w stanie Maine, Sekretarz Stanu wzniósł w górę palające ekstazą oczy i powiedział:

- Kochany panie Prezydencie, dajmy mulatom jeszcze jedną szansę. To zbyt piękny wieczór, żeby mącić go spuszczeniem bomby wodorowej na Caracas.

A Prezydent, otoczywszy go ramieniem, zaszlochał:

- Danny, jako dyplomata nie jesteś wart funta klaków, ale zawsze mówiłem, że z ciebie najzacniejszy człowiek w całym gabinecie.

Przerwał im na chwilę wielki bąbel pomarańczowożółtego błysku nad zachodnim horyzontem, ale to nie pasowało zbyt do ich transcendentalnej

ekstazy. Zaczęli śpiewać na głosy wszystkie stare dobre kawalki, w rodzaju "Tam nad młyńskim potokiem", "Słodka Adeline", oraz "Pracowałem na kolei" i czerpali z tego igrasze przyjemności, że Prezydent zupełnie zapomniał o nadaniu przez radio komunikatu odwołującego jego poprzedni rozkaz nalotu na Caracas. Nie było to zresztą konieczne. Brygady mechaników podwieszające bomby do latających fortec B-52 zrzuciły ładunek z podnośników widłowych i urządziły sobie wyścigi na wózkach transportowych, a tymczasem dowodzący akcją generał Curtis T. "Skwaszona dupa" Pinowitz zdecydował, że zamiast skakać na spadochronie nad Wenezuelą celem wsparcia nalotu bombowego woli udać się na ryby. Szukał właśnie swojego spinningu, niepomny hałasu dochodzącego z pobliskiego lotniska polowego, gdzie 101 dywizja powietrzno-desantowa głosowała, czy lecieć do Disneylandu, czy na Riwierę. (W każdym razie Wenezuelczycy, a ściślej mówiąc, ci członkowie wenezuelskiego rządu, którzy zadali sobie trud odbierania telefonów od obywateli, postanowili właśnie dać Jankesom tyle ropy, ile chcą i na poważnie rozważali propozycję sperfumowania jej jaśminem).

Kula ognia, która rozbłysła nad horyzontem, nie była jednak mało

znaczącym incydentem.

Albert Novak popuścił nieco uchwyt przedramieniem, którym obejmował szyję małej, brązowookiej stewardesy i zaczął jej wyjaśniać, że do wysadzenia w powietrze odrzutowca nie skłaniają go żadne uprzedzenia osobiste, ale że widzi w tym jedyny sposób, żeby jego matka poświęciła mu tyle uwagi, co jego bratu Dickowi. Chociaż jąkał się i zacinał tak, że trudno go było zrozumieć, stewardesa pojęła od razu o co mu chodzi. Ona też miała zarówno matkę, jak i starszego brata. Jej ładne brązowe oczy napelniły się łzami współczucia i w przyplwywie miłości zarzuciła Albertowi ręce na szyję.

- Mój ty biedaku - płakała pokrywając pocałunkami jego szczeciniastą twarz.

- Daj, kochany! Ja ci pomogę. Mówiąc to, wyrwała mu z ręki magnetofon

kasetowy uważając, by nie rozłączyć przewodów i zamknęła wyłącznik

detonując zapalniki wszystkich trzech laseczek dynamitu na raz.

Stu trzydziestu jeden mężczyzn, kobiet i dzieci przeistoczyło się w jednej chwili w spadający z nieba grad zmaltretowanych ochłapów mięsa. Były wśród nich szczątki pilota, drugiego pilota, trzeciego pilota oraz ośmiu innych członków załogi; plus, spośród pasażerów, matek, dzieci, par w trakcie miesiąca miodowego i nie przeżywających miesiąca miodowego, ale równie zakochanych par, którym tak się w życiu ułożyło, że nie zawarły związku małżeńskiego, księdza w cywilu, prawnika pozbawionego uprawnień adwokackich oraz kongresmana z Oregonu, który już nigdy nie zrealizuje swego marzenia o rozwiązaniu NASA i niedopuszczeniu do dalszego topienia pieniędzy podatników w kosmosie, który, jak utrzymywał, jest pusty i

zupełnie nieciekawy.

Kimkolwiek były w całości te ochłapy rąbanki, wszystkie wyglądały teraz bardzo podobnie. Nie miało to znaczenia. Żaden z pasażerów nie umarł nieszczęśliwy, ponieważ wszyscy znaleźli się pod wpływem komety.

Głęboko wewnątrz jądra komety Ujifusy-McGinnisa ekran urządzenia, na którym miał się pojawić sygnał odbioru rozkazu zniszczenia Ziemi, pozostawał pusty. Żaden sygnał nie nadszedł. A zresztą, nawet gdyby nadszedł, nikt by go nie zauważył, a już na pewno nie obserwatorzy, tylko że nigdy dotąd się nie zdarzyło, aby nie udzielono odpowiedzi na podobne wezwanie.

Przyczyna tego była prosta. Pancernik Aroganckich, do którego zostało skierowane wezwanie, podobnie jak większość innych jednostek wchodzących w skład ich floty galaktycznej, dawno już rzucono przeciwko fortecom insektoidów zamieszkujących jądro galaktyki. Tam, podobnie jak inne, został szybko zniszczony, a więc komunikat wysłany przez obserwatorów nigdy nie dotarł do adresata.

Obiektywnie rzecz biorąc, aż żal pomyśleć, że cały ten wkład energii, intelektu i środków nie przyniósł żadnych namacalnych, widocznych gołym okiem rezultatów, poza sprawieniem przyjemności kilku miliardom zaawansowanych naczelnych. Chociaż było czego żałować, Aroganccy nie przejmowali się tym zbytnio. Mieli do rozpamiętywania mnóstwo żalów. To, co pozostało z ich kolektywnej inteligencji, było bez reszty pochłonięte problemem zwykłego przetrwania w obliczu nadciągających flot insektoidów oraz, bez wątpienia, samoobwinianiem się.

Obserwatorom było już wszystko jedno; dawno zginęli od ostatecznej, nie dającej się znieść rozkoszy.

I jak się okazało, nie umarli tak całkiem nadaremno. Ponieważ śmierć nie pozwoliła kongresmanowi z Oregonu doprowadzić do końca projektu rozwiązania NASA, a wraz z nim umarły wszystkie jego wpływy i plecy, planowana misja badawcza w kierunku komety nie została odwołana. Co prawda sonda nie wystartowała w zaplanowanym terminie, bo efekty działania promieni szczęścia wysyłanych z komety utrzymywały się przez kilka dni i technicy z NASA nie byli po prostu w stanie zawracać sobie głowy takimi sprawami, gdy ich euforia sięgała fazy maniakalnej.

Ale stopniowo świat powrócił do... normy? Nie. Stanowczo nie można uznać za normalny świata, na którym przez większość czasu wszyscy znajdują się w błogim nastroju. Ale świat ustabilizował się na poziomie, który przypominał w pewnym stopniu jego dawny rytm pracy i odpoczynku. Tak więc astronautom udało się znaleźć inne okno startowe i zrealizować projekt spotkania z kometa, a to co tam znaleźli stało się punktem zwrotnym w dziejach rasy ludzkiej i całej galaktyki. Obserwatorów już nie było, ale pozostawili po sobie broń.

Kiedy astronauta powrócili na Ziemię z najpośledniejszym z ich środków zniszczenia o najmniejszej sile rażenia, Prezydent Stanów Zjednoczonych zrezygnował z rozegrania partii golfa i przyleciał na pokład "Independence", żeby się temu przyjrzeć.

- O rany! - zarechotał w zachwycie i przerażeniu zarazem. - Gdybym tym dysponował dwa miesiące temu, Brazylia miałaby port morski na Karaibach!

Wenezuela prosperowała sobie jednak nietknięta. A Prezydent nie mógł sobie znaleźć miejsca. Chociaż był pogodny i w zgodzie w całym świecie, coś nie dawało mu spokoju - stare przyzwyczajenia trudno umierają. Rozmyślał dużo, a najdłużej i najsugestywniej nad tym, że jeśli istnieje taka broń, to musi też gdzieś istnieć nieprzyjaciel który ją skonstruował i wyprodukował i że pewnego dnia ten nieprzyjaciel może tu powrócić i zrobić z niej użytek. Mając to na uwadze, z pewnymi oporami, ale bez właściwie żadnej innej możliwości wyboru, poleciał z powrotem do Waszyngtonu, zaprosił do siebie ambasadorów Wenezueli, Kuby, Kanady, ZSRR, Chińskiej Republiki Ludowej oraz Zjednoczonych Republiki Irlandzkich Wielkiej Brytanii wyłożył im bez ogródek, jak sprawy stoją.

Chociaż politycy odczuwali jeszcze resztki dobrego nastroju wywołanego przez kometa, nie stracili jednak zdolności logicznego rozumowania. Szybko dotarło do nich, że gdzieś tam istnieje zewnętrzny wróg, wobec którego oni wszyscy, jak tu siedzą, sprawiają wrażenie zgranej paczki dobrych przyjaciół. Nikt nie był w nastroju do wrywania się z jakimiś lokalnymi konfliktami międzynarodowymi. Tak więc podpisano traktaty, wyasygnowano fundusze i rozpoczęła się budowa.

I rasa ludzka, na nowo uzbrojona i wyposażona we wspaniałe statki kosmiczne, wyruszyła na poszukiwanie Aroganckich.

Nie znaleźli ich, rzecz jasna. Podczas kiedy przygotowywali się do wykonania swojego ruchu, ostatni z Aroganckich wyzionął ducha, nieprzejdany aż do końca. Ale parę dobrych pokoleń później, ludzie natknęli się na insektoidy z jądra galaktyki i to, co wynikło wtedy z tego dla

insektoidów, usatysfakcjonowałyby nawet Aroganckich.

Przełożył Jacek Manicki